This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

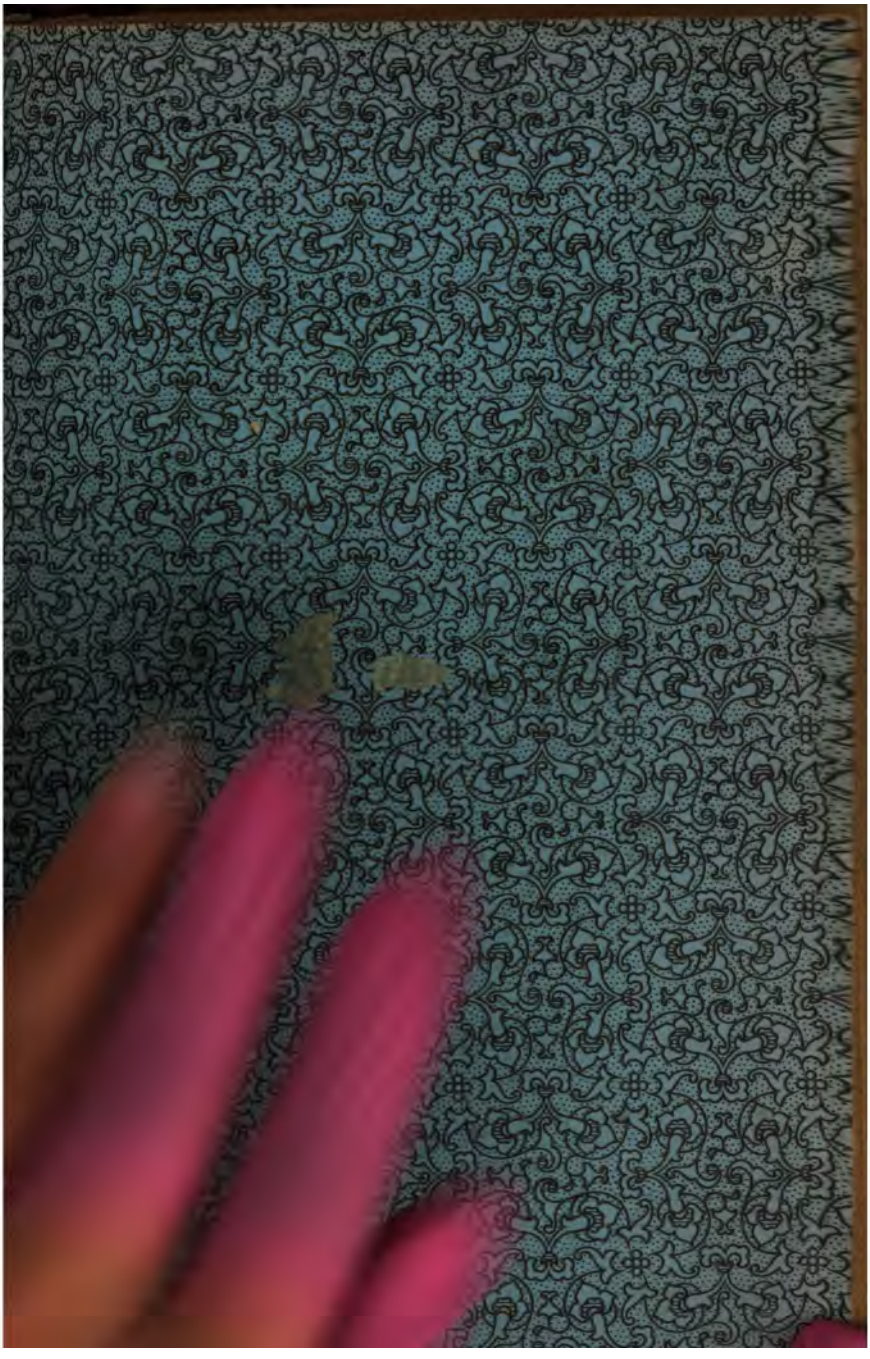

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

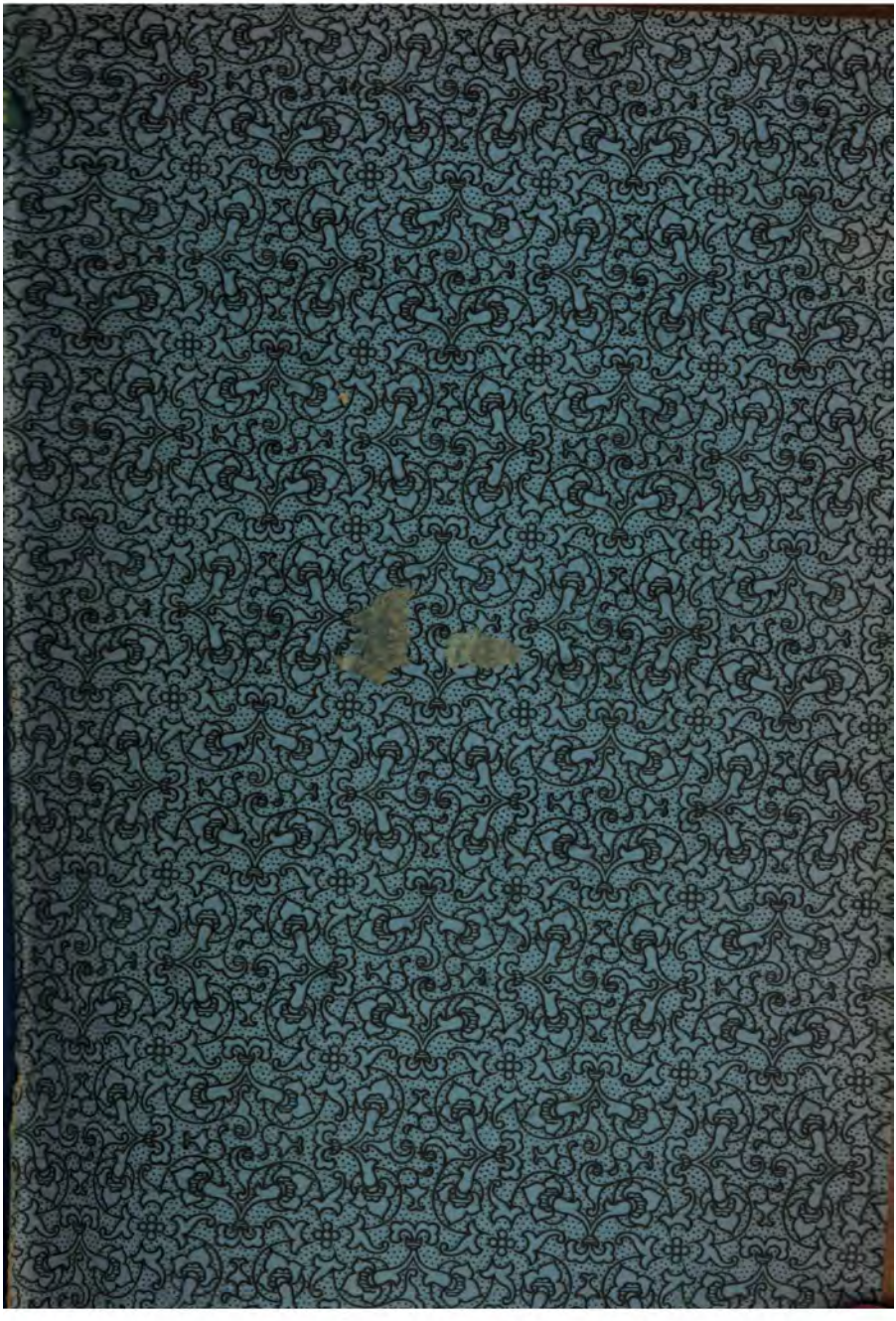

Gabryela Zapolska.

WODZIREJ

POWIEŚĆ.

Tom I.

WARSZAWA.

Kurjer Warszawski
Krakow.-Przedmieś. № 40.

S. Lewental
Nowy Świat № 41.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 28 Декабря 1896 года.

PG
V. I

Warszawa, Druk S. Lewentala Nowy-Świat Nr. 41.

I.

— A więc *décidément* idziesz pan do domu?

— *Décidément.*

— Szkoda! szkoda!.. Poszlibyśmy trochę na Szkarpy, potém na Rury, potém... jakże to się nazywa?

— Na Pohulankę...

— Aha! aha! na Pohulankę... Napilibyśmy się mléka prosto od krowy... Pan wiész... *une vache*... ciepłe mléko... delicye... potem wrócilibyśmy do miasta i wpadlibyśmy na chwilę, gdy szwaczki idą do pracowni... i pensyonarki do konwiktów... *Il y en a!*.. A ładne to, a młode... a... *des anges!*.. *décidément!*.. *des anges*!..

Mówiąc te słowa, Melunio Orlicki krzywił się, marszcząc swą twarz, twarz podobną do przegniłéj gruszki, podciągnął w górę brwi nakreślone grubo czarną mazią na skórze bez śladu zarostu i oczy swe czerwone, obwieszone dokoła workami ze skóry, a zaciągnięte bielmem starości, ku niebu ciągle podnosił.

Odziany był w wielki płaszcz czarny z peleryną, który wlókł mu się po ziemi i plątał pod stopami; na głowie, cokolwiek na bakier, z pewną fantazyą, szapoklak wspaniały, przyklejony do płasko ułożonych i wyczernionych silnie włosów.

Majowy ranek był zimny; stary Melunio trząsł się z wiosennego chłodu, lecz junacko pierś starego *viveur*'a naprzód wystawiał. Lśniący gors koszuli balowéj, w drobniuchne zakładeczki cały, cokolwiek zwiędły w atmosferze nocy balowéj, bielił się pomiędzy fałdami płaszcza. Nos Melunia był siny, cera trupia; wargi obwisły, nitka śliny sączyła się powoli, spadając na wyfiksaturowaną hiszpankę.

Lecz Melunio wracać do domu nie chciał. Obrzmiałemi oczyma po przestrzeni ulicy Jezuickiéj wodził, powtarzając:

— *Des anges!.. des anges!..*

— Stojący naprzeciw niego Wielohradzki zaledwie mógł utaić swoje zniecierpliwienie.

— Na podobne wycieczki trzeba miéć siły hrabiego! — wyrzekł wreszcie, zapinając szczelnie pod szyję swoję palto — *Il fait diablement froid*, a kotylion trwał dłużéj niż zwykle...

— *Oui! oui!* — odparł z roztargnieniem Melunio. — Trzeba miéć *mes forces* i moją siłę życiową.

Uśmiechnął się, pokazując nagle cały rząd sztucznych zębów.

Złoto haczyków, ciemna chorobliwa massa kauczuku zagrały w blaskach wschodzącego słońca.

— *J' irai seul!*..—dodał z komiczną rezygnacyą.

— Żegnam hrabiego!..

— Żegnam! żegnam!..

Melunio rączkę, podobną do ręki kościotrupa, lecz starannie opiętą w jasną rękawiczkę, z fałd peleryny wysunął.

Wielohradzki, widząc ten giest, swą prawą dłoń już wyciągnął.

Lecz Melunio kilka razy tylko swą ręką w powietrzu potrząsł, nie podając jéj bynajmniéj Wielohradzkiemu.

— Żegnam!..

Zawrócił się i sztywno, prosto, skrzypiąc lakierkami, iść zaczął.

Za nim wlókł się tren płaszcza, zgarniając kurz uliczny i świeże kałuże wody, ociekłe z konewek i dzbanków sług, które co chwila przebiegały wzdłuż chodników przechylone, zaspane, z roztarganemi włosami, pełnemi pierza i zardzewiałych szpilek.

Wielohradzki szybko iść zaczął pod górę ulicy, mruknąwszy przez zaciśnięte zęby:

— Stara mumia!..

Myśl, iż „stara mumia" nie podała mu ręki, wprowadzała go w zły humor. Gryzł ładne różowe usta, palcami miął kieszenie palta. Błękitne oczy, duże, wypukłe, lecz mimo to dość sprytne, biegały teraz ze

złością po pustéj ulicy. Nozdrza nosa, dużego, lecz niezmiernie kształtnie wykrojonego, poruszyły się nerwowo.

I znów z poza zaciśniętych, drobnych, jak u myszy, zębów wypadł syk:

— Stary idyota!..

Tymczasem wstawał tryumfalnie ranek wiosenny, biały różowy, liliowy, pełen delikatnych, pastelowych tonów.

Wszystkie te światła, te smugi, biel jasna i czysta powoli rozświetlającego się ponad domami nieba zdawała się istnieć po za jakąś taflą szklaną, która łamała światło i przepuszczała je napozór złagodzone, lecz błyszczące zimniejszym blaskiem.

Okna kamienic, zamknięte, zakryte firankami, tu i owdzie krwawiły się purpurowemi zasłonami, złociły się żółtą gipiurą lub zieleniały od szmaragdowych jedwabnych stor, bufowanych, jak suknie prababek.

Dzielnica to była arystokratyczna, uśpiona, cicha.

Wielohradzki szedł wciąż, kurcząc ramiona, strawiony wewnętrzną gorączką.

Szampan, który podawano u Boteckich, był złéj marki i ciepły, kawałek pasztetu, który zjadł w bufecie dla dotrzymania towarzystwa hrabinie Gwozdeckiéj — nieświeży, w mazurze mylono się ciągle w *chaîne* i figura z zaprzęgiem chybiła efektu wskutek niezdarności kobiet, upuszczających ciągle końce chu-

stek, które miały reprezentować lejce; w dodatku ten idyota Melunio nie podał mu ręki...

Stanowczo: dzisiejsza noc była... pechową!

Spojrzał przed siebie i przeraził się tą dużą przestrzenią, którą miał jeszcze do przebycia.

— Nie dolezę! — pomyślał, ciskając się coraz więcéj w ataku nerwowym.

Nagle na skręcie ulicy pojawiła się jakaś postać w długiéj, ciemnéj sukni.

Wielohradzki, jak każdy mające wypukłe źrenice, był krótkowidzem.

Dostrzegł jednak fałdy spódnicy, które wiatr rozwiewał, i duży oskrzydlony kapelusz.

Szybko rozpiął swe palto i rozrzucił klapy podbite jedwabiem.

Zabłysnął gors koszuli, zmięty i zwiędły, krawat jak postronek, kołnierzyk wykładany, z rogami zawiniętemi ku górze.

Lecz na klapach fraka zajaśniały srebrem, złotem, barwami turkusów, rubinów, szmaragdów olbrzymie ordery kotylionowe.

Przez pierś krzyżowały się szerokie wstęgi, obwijając tors Wielohradzkiego jakby powijakiem jaskrawych barw, jakichś fantastycznych legij, orderów, znaków zaszczytnych, zdobytych na poległych setkach trupów nieprzyjacielskich.

Ordery błyszczały, mieniły się, grały kolorami tęczy. Niektóre, gazowe, ustrojone sztucznemi róża-

mi, fijołkami, niezapominajkami, miały w sobie lekkość motyli; niektóre, obwieszone brzękadłami, dzwoniły wyzywająco. Na samym środku, na tle szafirowéj morowéj wstęgi rozkładało się olbrzymie słońce, a w niém kot czyścił but, z którego wyrastały lilie. Lecz już owo słońce wspaniałe niknęło co chwila, kryte przez kościaną grzechotkę ze srebrnemi grelotkami, zawieszoną na szyi za pomocą różowéj wstążki. Świstawka, trąbka i flecik dopełniały kolekcyi. Na brzuchu tańczyła duża, prawdziwa rzepa w siatce purpurowéj, przyczepiona do pasa nabijanego gwiazdami, z błękitnéj, jasnéj gazy.

Wielohradzki oczy zmrużył i szedł tak dumny i zwycięski z rozpiętém paltem, dzwoniąc brzękadłami, grelotkami, błyszcząc motylami orderów, jakby pancerzem, utkanym z cacek kosztownych i ze srebrnych i złotych nici.

Postać czarna zbliżała się powoli ku niemu, a on przybrał teraz minę znudzonego dandysa. Usta wygiął w podkowę i szedł jak lalka w tém słońcu wiosennem, zgrabnie stawiając dość duże, lecz wązkie stopy, obute w nowe, błyszczące lakierki.

Nagle na twarzy wodzireja odbiło się znów niezadowolenie.

Stanowczo nie miał dziś szczęścia!

Sądził, że to jedna z „dam",—ktoś z towarzystwa, śpieszący na mszę ranną lub na wody do Jezuickiego ogrodu.

Tymczasem, był to stary ksiądz, w długiéj, fałdzistéj sutannie i wielkim kapeluszu o kresach podniesionych.

Ksiądz poszedł powoli, pocierając ręką o swój sinawy podbródek.

Wielohradzki, zły, nagle popadły w śmieszność, zapinał szybko swe palto, czując teraz chłód, który się przez szczelinę gorsu koszuli wkradał.

Lecz teraz, powoli, ulica zapełniła się ludźmi śpieszącymi do swych zajęć, do biur, do sklepów, po pożywienie.

Jakkolwiek dzielnica była arystokratyczna, toć jeszcze była tu falanga gęsta i liczna tych, co obsługę pełnili i drobne lokale na tyłach kamienic zajmowali — nieśmiało kurcząc się, przemykając cicho wśród owego spokoju uśpionych „państwa" po za firankami z czerwonego lub żółtego jedwabiu.

Teraz, o porannéj porze, wysuwali się z bram ciężkich, przy których połyskiwały metalowe guziki dzwonków. Byli to ludzie ubrani czysto, ciemno, z widoczną starannością i chęcią nieobrażenia estetycznych pojęć osób zamieszkujących fronty kamienic. Kobiety zwłaszcza szły z jakąś godnością, przybierając mimowoli ton i maniery hrabin i dam spotykanych często na przejściu bramy lub na asfalcie chodnika.

I kobiety te przeważały, sunąc ku miastu, ukrywając starannie pod fałdami długich rotund koszyki

z jarzynami i odrobiną mięsa, a niosąc z ostentacyą książki duże, o wyzłoconych grzbietach, z klamrami, jedyny luks i zbytek nabyty oszczędnością wśród mizernych kłopotów szczupłego budżetu.

Wszystkie te kobiety miały wygląd dewotek, tych czarno ubranych motyli trzepocących skrzydłami wielkiego kapelusza dokoła ogniska, roznieconego dla nich białemi rękami dam z arystokracyi.

Tuliły się do téj dzielnicy skurczone, pomarszczone, pokorne na pozór—legion czarny i dziwny, wiecznie do siebie podobny, o masce pełnéj pretensyi, patrzący z góry na nędzarzy przygodnych — tworząc arystokracyę nędzy i nosząc z dumą hidalga rozwiany welon swego wiecznego wdowieństwa, nos czerwony spiczasty, i ową czarną torbę, która była rodzajem broni, tornistra i całego ładunku téj specyalnéj pomiędzy kobietami armii.

I było ich setki, tysiące, legiony, nietylko we Lwowie, nietylko w Austryi, ale wszędzie, gdzie tylko „arystokracya" zamurowuje się w pewnéj dzielnicy miasta.

Wielohradzki, zirytowany zawodem, jaki go spotkał, szedł teraz z paltem zamkniętém i jedynie pod szyją rozchylił nieco kołnierz, aby pokazać wspaniały order *„Króla kotylionu"*, zawieszony tuż pod krawatem na blado-zielonéj wstążce.

Niektóre z czarno ubranych kobiet witały go ski-

nieniem głowy. On oddawał im ukłon z tą samą miną, z jaką Melunio Orlicki pożegnał go przed chwilą.

— A!.. a!.. pan Tadeusz!.. zkądże to? od kogo?..

— Od Boteckich! — odrzucił niedbale Wielohradzki.

Czarno ubrana kobieta wzniosła w górę oczy.

— A! godny dom!.. wielcy państwo!..

— Żegnam panią!.. —rzucił jéj przez plecy młody człowiek.

Ręką nawet powachlował kilka razy w powietrzu.

— A mamunia, zdrowa?.. — pytała czarno ubrana dama.

Lecz nie było odpowiedzi.

Wielohradzki przyśpieszał kroku, czując się coraz więcéj zmęczonym.

Teraz tu i owdzie przed bramę wychodzili lokaje, stangreci, świéżo ubrani i ogoleni, w kamizelkach i fartuchach, niektórzy w pantoflach filcowych na płaskich, ordynarnych nogach.

Stróże oczyszczali chodniki; dopomagały im żony, odziane w jasne kaftaniki.

Na balkonie jednéj z kamienic pojawiła się pokojówka i zaczęła wynosić z głębi salonu doniczki z palmami. Jasna jéj głowa tonęła w massie liści, które rozwiewały się wysoko, tworząc nad jéj włosami las zielonych wachlarzy.

Kilka kropli wody spadło z wazonu na ulicę.

Stróż, młody chłopak o ciemnych oczach i zdro-

wych zębach, podniósł głowę i pogroził dziewczynie miotłą.

Pokojówka pokazała mu język i zaczęła śmiać się, zatykając usta kułakiem.

Stróż śmiał się także, a lokaj, założywszy ręce na brzuchu pod fartuchem, dogadywał ochrypłym głosem dowcipy, od których dziewczyna kryła się aż za gąszcz palm i po za wyzłoconą balustradę balkonu.

Wielohradzki minął tę grupę, zakrywając ręką swój złocisty order.

Wiedział bowiem, iż na tych ludzi wspaniałość jego trofeów kotylionowych nie działa: przeciwnie, do ironii i żartów pobudza.

Lokaj powiódł za nim wzrokiem i, widząc poły fraka wysuwające się z pod krótkiego paletka, zapytał z ironią w głosie:

— A nie potrza tam u panny *frotera*?

Dziewczyna przechyliła się przez balkon.

— Bez co się mnie pan o to pyta?

Lokaj ręką wskazał na oddalającą się sylwetkę Wielohradzkiego.

— A bo!.. — wyrzekł — no!.. tam...

Dziewczyna aż kucnęła ze śmiechu pomiędzy palmami.

Tymczasem Wielohradzki dochodził już do bramy kamienicy, którą wraz z matką zamieszkiwał.

Zły humor jego wzrastał.

Zapiął nawet teraz szczelnie kołnierz od palta i nasunął szapoklak głęboko na oczy.

Słońce bowiem wiosenne, jasne i przejrzyste, zaczęło przebijać chmury i słać złote strzały (uśmiechnięte gońce) w błękitne źrenice młodego człowieka.

Lecz źrenice te, od pyłu posadzek balowych i migotliwego blasku sztucznego oświetlenia zmęczone, biły powiekami, jak jaskółki skrzydłami.

Tadeusz słońca, jasności i czystego powietrza nie lubił.

Z bramy kamienicy wyszła powoli młoda dziewczyna, prowadząca za rękę małego chłopczyka w szarym, zbyt krótkim paltociku.

Dziewczyna była blada, prawie żółta, i tylko oczy jéj wielkie, czarne świeciły wśród bladéj maski twarzy i czerniały zdaleka.

Odziana była dziwacznie, niezgrabnie, z pewną ubogą a smutną pretensyą.

Więc— jersey ciemno-czerwony, jersey złego gatunku, gdyż pod trykotową tkaniną sterczały brutalnie fiszbiny gorsetu. Na wierzchu od szyi ku stanowi kawałek zmarszczonéj satyny, w kremowe i czerwone kratki, stanowił klassyczną kamizelkę. Spódnica szara, zbyt krótka z przodu, z tyłu wlokła się po ziemi. Na kształtnéj i ładnie uczesanéj głowie kapelusz kastorowy z rozfryzowaném piórem.

Pomimo téj pstrokacizny, dziewczyna potrafiła je-

dnak zachować pewien kształt, wdzięk, urok młodzieńczy.

Drobna była, szczupła, z gorsem zapadłym.

Wyglądała, nie na młodą dziewczynę, lecz na dziewczynkę dorastającą.

Aureola włosów słonecznych ratowała jéj urodę: słońce włosów i przepaścista czerń oczów.

Chłopczyk, którego prowadziła, był podobny do niéj, jak cień: mały i skurczony.

Miał główkę ostrzyżoną przy skórze, czerwone pończoszki, buciki z rozluźnioną gumą, tabliczkę z szyfrem pod pachą i kieszenie wypchane massą nieokreślonych przedmiotów.

Idąc, piszczał:

— Żeby tak Tecia kupiła chleba świętojańskiego.

— Nie! — odparła młoda dziewczyna — kupię ci papatacz, to zdrowsze!..

Malec podciągnął nosem.

— Nie lubię papatacza — piszczał — chcę chleba świętojańskiego...

— Aha! żebyś znów pestki popołykał... Jutro rano!

Nagle urwała i stanęła w ponsach.

Spostrzegła Wielohradzkiego.

Mimowolnym, a każdéj kobiecie właściwym ruchem sięgnęła ręką ku grzywce.

Przypomniała sobie, iż dzisiaj nie zapiekła żelaz-

kiem włosów, śpiesząc się odprowadzić Felka do freblowskiéj szkoły.

Lecz Wielohradzki, najeżony, napuszony, z brodą utopioną w kołnierzu palta, przemknął szybko, dotykając ręką kresów szapoklaka.

Dziewczyna niezgrabnie oddała ukłon i pociągnęła Felka za rękę.

— Chodź prędzéj... spóźnisz się!..

— A kupi Tecia chleba świętojańskiego?

Lecz Teci nagle nosek poczerwieniał i powieki szybko mrugać zaczęły.

— Chodź!.. —zawołała, zaciskając zęby—kupię! tylko nie skrzecz mi nad głową.

. . . . . .

Tymczasem Wielohradzki, przeszedłszy wspaniałą bramę i asfaltem wyłożony dziedziniec, zaczął wspinać się po schodach oficyny, w któréj na dole mieściły się stajnie i wozownie lokatorów frontowéj części domu. Schody te, przeznaczone dla służby, ciemne były i niewygodne.

Lecz Wielohradzki, dobywszy ostatek sił, sadził po trzy i cztery stopnie, aż zatrzymał się na czwartém piętrze przede drzwiami swego mieszkania.

Sięgnął do kieszeni palta, chcąc wyjąć klucz, lecz drzwi otworzyły się na oścież i ukazała się czarna jama zupełnie ciemnego przedpokoju.

Wielohradzki wszedł i, przestępując próg, wyrzekł szybko znudzonym głosem:

— Dzień dobry, mameczce! Proszę bardzo mameczki nie robić mi wymówek za moje opóźnienie. Kolacyę podano bardzo późno... Kotylion trwał dwie godziny, a później jeszcze tańczyliśmy białego mazura... Umieram ze znużenia...

W kącie przedpokoju zaszeleściała suknia kobieca.

— Widzisz, Tadeczku... Namiestnictwo...

Wielohradzki ręką klamki szukał w ciemności i nareszcie, otworzywszy drzwi, rzucił niedbale:

— To i cóż?.. Namiestnictwo nie ucieknie... wszyscy z mego kąta byli u Boteckich... Charłupko, Wojsa, Dobrojowski... wszyscy przyjdą później... poszli do łaźni... A zresztą!.. *Décidément*...

Machnął ręką i ostrożnie szapoklak z głowy zdejmować zaczął.

— Niech mi mameczka da jaką tacę! — zawołał.

Za chwilę wsunęła się do pokoju „mameczka", niosąc dużą blaszaną tacę.

— Proszę cię, mój Tadziu — wyrzekła, podając tacę, na którą Wielohradzki zaczął wysypywać z szapoklaka całe massy malutkich bukiecików, owiniętych w koronki i blondyny.

— Bukieciki? — zdziwiła się matka.

— Tak!.. dla kaprysu Muszki Dobrojowskiéj zmieniłem zwykły porządek. Och! tylko na jeden *tour*. Panie dostawały ordery, my zaś bukieciki...

Lecz *décidément* nie jest to porządek klasyczny. Tak!.. dla rozrywki... dla kaprysu...

Bukieciki leżały teraz na tacy, zwiędłe, zmięte, zniszczone...

— Zabrałem tę trochę... resztę musiałem zostawić... miałem dwadzieścia siedem...

— O! o! — zdziwiła się matka.

Była to kobieta wysoka, silnéj budowy, odziana skromnie, lecz niezmiernie czysto, we flanelowy ciemny szlafrok i filcowe pantofle.

Dwa pasma siwiejących włosów zakrywały uszy małe, zręcznie wykrojone. Owal twarzy, trochę tłuszczem podbródka zepsuty, był niemniéj jeszcze piękny, a dołek w brodzie nadawał cechę jakiegoś figlarnego wdzięku. Nos piękny, prosty, arystokratyczny, oczy podobne do oczu syna, błękitne, wypukłe, czoło nizkie i kształtne, przecięte dwiema zmarszczkami.

Widoczném było w téj kobiecie pochodzenie rasowe i staranne pielęgnowanie ciała, chęć pozostania miłą dla oka, nawet w chwili krytycznego ku starości przejścia.

Jedynie ręce były zniszczone i czarne, paznogcie zjedzone ługiem i mydłem, pomimo gliceryny i cold-creamu, którym nacierane były.

Świadczyły one o pracy domowéj, ciężkiéj i niemiłéj, o braku posługaczki, o bieliźnie, pranéj po nocach, o samowarze i rondlach, szorowanych cegłą.

Lecz jeśli ręce były zużyte, postać cała trzymała się prosto, z fantazyą, z szykiem damy, z pewną dystynkcyą zdetronizowanéj królowéj.

Błękitne źrenice patrzyły z pod przymrużonych powiek, a usta miały arystokratyczne, niedostrzeżone skrzywienie.

Flanela szlafroka była tania i biedna, lecz szlafrok miał tren i fałdę *Vatteau,* spadającą od karku, po którym wiły się drobne siwe włosy.

Wielohradzka wzięła w rękę jeden z bukiecików i zaczęła przyglądać się kwiatom.

— Białe fijołki!.. — wymówiła, kręcąc głową.

— Och!.. akcesorya kotylionowe były niezłe, nawet bogate... ale kolacya fatalna!.. struli mnie majonezem i jakąś mieszaniną naśladującą pasztet.

Wielohradzka porwała się i zaczęła biedz w stronę kuchni.

— Nastawię samowar! — zawołała.

Lecz on wstrzymał ją ruchem ręki.

— Nie, nie... barszcz wystarczy. Jest barszcz?..

— Naturalnie... jednakże ja radzę ci...

Tadeusz za głowę się złapał.

— Błagam mamę... błagam mamę, niech mama nic nie radzi, głowa mi pęka!..

Głos jego brzmiał ostro, krzykliwie — niecierpliwym ruchem zaczął ściągać z ramion palto.

Jedna z gwiazdeczek zaplątała się o guzik.

Tadeusz zaczął szamotać się, zgrzytając zębami ze zdenerwowania.

Wielohradzka, która stała już na progu kuchni, zbliżyła się ku niemu.

— Pomogę ci! — wyrzekła łagodnie.

Zręcznie, szybko odplątała wstążkę. Tadeusz zesunął palto i schwycił matkę za rękę.

— Przepraszam mameczkę — wyrzekł dość potulnie — zapomniałem się przed chwilą... ale... jestem dziś szalenie zdenerwowany!..

Wielohradzka przesunęła ręką po jego niemal przy skórze ostrzyżonéj głowie.

— Ja wiem... ja wiem... — wyrzekła — ja to rozumiem! ja się nie gniewam.

Morze miłości macierzyńskiéj było w jéj błękitnych oczach.

Zachrobotało coś koło drzwi wejściowych.

— To Tecia!.. — zawołała Wielohradzka — kazałam jéj przynieść świéże *salzsztangi* — może zjész jedną z barszczem.

Tadeusz skrzywił się wykwintnie.

— Wątpię!..

— Sprobujesz!..

Pobiegła do przedpokoju otworzyć drzwi. Podszewka jéj szlafroka, złatana z kawałków jedwabiu, szumiała po wyfroterowanéj sosnowéj podłodze.

Do pokoju weszła Tecia.

Ochłonęła już ze swego wzruszenia.

Ukłoniła się niezgrabnie, nie patrząc nawet na Tadeusza, który przyglądał się swym zębom i uszom w lustrze, i położyła kilka bułek na brzegu stołu.

Jedna z nich, długa *salzsztanga*, obsypana kminkiem i solą, osunęła się na tacę pomiędzy bukieciki.

Lecz Tecia nie zwróciła na ten szczegół uwagi, tylko podeszła ku oknu i pudło z maszyny do szycia, stojącéj we framudze, zdejmować zaczęła.

W kuchni Wielohradzka krzątała się, nalewając barszcz do dużéj filiżanki.

— Odprowadziłaś Felka? — zapytała, podnosząc głos.

Tecia zarumieniła się gwałtownie.

— Tak, proszę pani.

— A wstąpiłaś do babki?

— Tak, proszę pani.

— Ma wszystko, co jéj potrzeba?

— Tak, proszę pani; ale o dwunastéj będę musiała pójść, żeby drzwi otworzyć, bo przyjdą te panie od świętéj Eulalii, żeby babcię obejrzéć...

— A nie wiész, kto przyjdzie?

— Nie, proszę pani...

— Dobrze — weź tymczasem tę aksamitną pelerynę pani Kozanackiéj i odpruj frendzlę. Mamy z tego zrobić kapelusz „rydikiul" i mufkę... A żwawo.

— Dobrze, proszę pani.

Tecia sięgnęła na stół, na którym leżała złożona w serwecie peleryna.

Tadeusz odwrócił się skrzywiony i zadzwonił brzękadłami, które miał na piersiach i biodrach.

— Cóż ten barszcz?

— Już gotów!..

Wielohradzka ukazała się we drzwiach.

— Niech mameczka zaniesie do mego pokoju. Wypiję, przebierając się. Gdzież ta salzsztanga?

Do stołu się zbliżył i nagle bułkę pomiędzy kwiatami ujrzał.

— Kto to wrzucił bułkę pomiędzy bukiety? — krzyknął. — Pewno panna Tecia... Panna Tecia wié, że dotykać się do moich kwiatów i orderów nie wolno...

Wyrzucił salsztangę i ze złości zaczął gnieść i tak zgniecione bukieciki.

— O! o!.. jakie to wszystko pomięte!.. jak to wszystko wygląda!.. to skandal!.. to zgroza!.. Przecież tego do archiwum włożyć niepodobna...

Teci ręce drżały.

Wzięła pelerynę i chciała oddalić się od stołu. Nagle dostrzegła, jak z potrząsanych przez Tadeusza bukietów wypadła na ziemię maluchna zwinięta karteczka.

Tadeusz zirytowany bił się teraz po gorsie koszuli. Wszystkie brzękadła dzwoniły, jak orkiestra w jarmarcznéj budzie.

— Jak Boga kocham! — krzyczał — w tym domu utrzymać nic nie można... wszystko się...

Nagle urwał.

Tecia podawała mu ów znaleziony maluchny bilecik.

— Wypadło z bukietów!.. — wyrzekła, nie patrząc na Tadeusza.

On umilkł nagle, porwał karteczkę i, nie rzekłszy ani słowa, wpadł do swego pokoju i drzwi zatrzasnął.

Z kuchni wysunęła się cicho Wielohradzka.

— Dlaczego Tecia nie uważa?— zaczęła szeptać, prostując pomięte bukieciki. — Tadzio jest dziś bardzo rozdrażniony i zmęczony, byle co go w złość wprowadza... Trzeba uważać!

Tecia, dławiąc, się od łez, usiadła na krześle i zaczęła pruć pelerynę.

Obok niéj — na wysokim stołku bez oparcia — zasiadła Wielohradzka i wyjęła z kieszeni okulary, które na nos włożyła.

— Tecia nie ma czego beczyć!—zaczęła znów półgłosem — tylko na drugi raz należy uważać! Tecia wié, że pan Tadeusz przynosi zawsze do domu najładniejsze akcesorya i chowa do swego archiwum. Dosyć trudu i pracy kosztuje go zdobycie tych pięknych rzeczy... przytém, to są pamiątki, dowody jego zręczności, „preferencyi", jaką mu dają damy przed innymi mężczyznami... To wszystko ma swoją cenę, i Tecia powinna zrozumiéć, dlaczego pan

Tadeusz tak bardzo dba o te wszystkie ordery i emblemata...

Lecz Tecia nie chciała nic zrozumieć, tylko podciągała zaczerwienionym noskiem i zawzięcie próla frendzlę, z któréj podnosiły się tumany wiekowego kurzu.

Wielohradzka tymczasem nawlokła igłę, wpięła ją w stanik i, wstawszy, zaczęła szukać linijek i figurek metody Głodzińskiego, które sterczały w dużym koszyku tuż obok okna.

— Trzeba przerysować talię pani Kokonieckiéj — wyszeptała — pani Kokoniecka bowiem trochę przytyła, i dawny patron na nic się już nie przyda.

I znalazłszy wszystkie linijki, centymetry, kółeczka i ołówki, zaczęła rysować na kawałku glasy obszerną talię pani Kokonieckiéj.

. . . . . .

Tymczasem Tadeusz zbliżył się do maluchnego, umieszczonego w górze okienka i czytać zaczął ową karteczkę wypadłą z bukietu.

Kartka owa widocznie była oderwana z balowego karnetu, gdyż był to gruby papier, naśladujący nieźle pergamin, mający kształt listka koniczyny. Cieniuchnemi literkami pośpiesznie nakreślone były słowa:

Demain, chez les Jesuites, six heures.
Attendez à l'entrée.

M.

Twarz Tadeusza rozjaśniła się nagle niekłamaną radością.

Pokręcił głową, przeczytał raz jeszcze karteczkę, obejrzał ją na wszystkie strony i nareszcie od okienka odstąpił.

— Proszę!.. proszę... — wyrzekł sam do siebie przez zaciśnięte zęby.

Zaczął zdejmować z siebie akcesorya kotylionowe i układał je starannie kolejno na stole, przykrytym jutową serwetą.

Poczém zdjął frak, kamizelkę i zaczął ściągać lakierki. Wdział filcowe pantofle i skierował się ku umywalni. Dzbanek pełen ciepłéj wody stał obok konewki napełnionéj zimną deszczówką. Gąbki, włochate ręczniki, rękawice do nacierania pleców i szyi wisiały w systematycznym porządku. Flakon z wodą kolońską i pudełeczko z kredą stały obok mydła, benzoesu, szczoteczek i pilniczków.

Na te wszystkie przybory, świadczące o doskonałéj chęci pielęgnowania ciała, padało światło smutne, skąpe, przyćmione.

Ów pokój, zajmowany przez Wielohradzkiego, był pokojem bez okna, opatrzonym jedynie w rodzaj niewielkiego jednoszybowego otworu, wykrojonego wysoko, prawie pod samym sufitem.

Ukośny promień światła wpadał więc i nie rozświetlał wiele w téj małéj przestrzeni, w któréj łóżko żelazne, pokryte wełnianym kocykiem, i umywalnia

były głównemi sprzętami. Mały stolik, półeczki, na których drzemało kilka zapylonych książek, pudełeczko ze spinkami, koszyk ze zniszczonemi rękawiczkami balowemi, szczotki i flaszeczka doskonałych perfum angielskich — dopełniały umeblowania.

Na łóżku, porządnie ułożony, leżał codzienny garnitur Tadeusza i koszula, w któréj gors wpięte były spinki. Obok stały wyczyszczone buty i laska, zwieszało się z krzesła palto i kastorowy kapelusz.

Tadeusz ubierał się powoli, nie śpiesząc się, szczotkując starannie włosy, skrapiając kark i szyję wodą kolońską.

Przeglądał się w małém lusterku, zawieszoném nad umywalnią, i wytarł delikatnie i dyskretnie wąsy i włosy olejkiem rycinowym, zaprawionym esencyą heliotropową.

Zmienił bieliznę i włożył codzienny garnitur.

Poczém odświeżony, powróciwszy do humoru i równowagi, lecz mając jeszcze ciągle resztki *katzenjammeru*, wypił duszkiem filiżankę czystego barszczu i zagryzł go ową nieszczęsną salzsztangą.

Wziął ze stołu karteczkę, przeczytał raz jeszcze, uśmiechnął się, pokręcił znów głową i schował kartkę do pugilaresu. Uderzył w tamburyno, zagrzechotał grzechotką, zagwizdał na fleciku i już zupełnie dobrze usposobiony gotował się do wyjścia.

Przejrzał się jednak raz jeszcze w lustrze, i powróciwszy do stołu, policzył ordery.

Poczém drzwi otworzył i wszedł do pokoju, w którym pracowały Tecia i Wielohradzka.

Zastał tylko jedynie Tecię, gdyż Wielohradzka krzątała się znów w kuchni, przygotowując rogalik, który on codziennie do namiestnictwa z sobą zabierał, i tam o 12-éj zjadał w towarzystkie hrabiów i innych obiecujących młodzieńców, pełniących funkcyę concept-praktykantów, funkcyę będącą pierwszym szczeblem dyplomatycznéj i państwowéj karyery.

Wszedłszy więc do pokoju, Tadeusz ujrzał samą Tecię, stojącą przy stole i układającą systematycznie kawałki poprutéj peleryny, z któréj miała być mufka, kapelusz i „rydikiul" dla pani Kozanackiéj.

Tadeusz krótką chwilę spoglądał na posmutniałą dziewczynę.

Był teraz w dobrym humorze; woda kolońska, którą kark wytarł, barszcz, karteczka, naznaczająca mu *rendez vous*, zabarwiły mu życie różowo.

Zbliżył się do Teci i, biorąc delikatnie w palce, na których błyszczały, jak jasne opale, wyszlifowane gładko paznogcie, guzik swego palta, wyrzekł, udając obojętne roztargnienie:

— Nie mogłaby mi panna Tecia przymocować tego guzika? Oderwałem go, chcąc zdjąć z szyi gwizdawkę.

Tecia śpiesznie zaczęła igłę jedwabiem nawlekać.

— Dobrze... ja przyszyję!

Podeszła posłuszna i już uradowana tonem jego głosu, żądaniem przysługi, o którą mógł się przecież zwrócić do matki.

On, patrząc na ten pośpiech, zaczął się uśmiechać.

— Niech się panna Tecia nie śpieszy. Mnie do biura nie pilno!

Lecz jéj pilno było zadowolnić jego żądanie. Tyranizował ją od lat dwóch, od chwili, kiedy babka oddała ją do „pomocy" pani Wielohradzkiéj. Wszystkie zmiany jego humoru, kaprysy nerwowca, człowieka, szamocącego się nie w swojéj sferze, odbijały się, jak w zwierciadle, na sposobie, w jaki traktował tę dziewczynę, zakochaną w nim do szaleństwa.

Wiedział o tém, miłość tę tolerował, bawił się nią, wywoływał ją, zachęcał, a czasem maltretował, kopał i szydził.

Wychowany przez matkę, do lat sześciu nosił sukienki dziewczęce i długie zakręcone w loki włosy. Bawił się lalkami i wykałał im oczy, przeglądając się późniéj w tych szklanych źrenicach, które trzymał do światła, badając, czy nie dojrzy czegoś nadzwyczajnego w tych perełkach turkusów lub dżetu.

Miał wszelkie cechy kobiety, połączone z niektóremi odcieniami, właściwemi jedynie mężczyźnie. Było to głównym jego czarem, urokiem, ta mieszanina podwójna i nieokreślona.

Wiedział o niéj i, łasząc się, jak duża płowa

kotka, tyranizował matkę i nieszczęsną Tecię, której serce miało ciągłe palpitacye pod połamanemi fiszbinami gorsetu.

I teraz, gdy zbliżył się ku niéj, zwycięski i pachnący, ręce jéj dygotały, jak w febrze. Uczepiła się klapy palta i szyć zaczęła, pochylając nizko głowę... On patrzył na tę massę złocistą włosów, spiętą zręcznie na czubku głowy szpilkami z celluloidu. Bił z tych włosów odurzający zapach orzecha, jakaś woń młodości, pomimo anemii, widocznie trawiącéj dziewczynę.

— Dlaczego się Tecia na mnie chmurzy? — zapytał szeptem, rozdmuchując swym oddechem krótkie kręcone włosy, pokrywające kark dziewczyny.

Ona wzruszyła ramionami i szyła daléj, nie mogąc znaléźć słowa odpowiedzi.

— Nie trzeba się na mnie gniewać!.. — szeptał znów Tadeusz z uśmiechem. — Tecia wié, że jestem zwykle rozdrażniony, gdy z balu powrócę... że mam „kociokwik"... A przytém nie trzeba bułek kłaść na kwiaty. Będzie o tém Tecia pamiętała?

— Będę!.. — odparła cichutko dziewczyna.

— To bardzo dobrze... a teraz... proszę podnieść główkę... i popatrzéć mi prosto w oczy...

Lecz dziewczyna ładnym chłopskim ruchem zakryła twarz spracowaną ręką.

— Proszę mi spojrzéć w oczy!.. — nalegał Tadeusz.

Tecia powoli oderwała rękę od twarzy i podniosła na Tadeusza swe olbrzymie czarne źrenice.

W téj saméj chwili jednak poczuła na lewéj skroni gorące usta młodego chłopaka.

Cofnęła się szybko, zmieszana, ciągnąc za sobą nitkę jedwabiu przymocowaną do palta.

Tadeusz tryumfował, śmiał się, podkręcając cienkie wąsy.

— Przestraszyłem... co?.. — pytał.

Ona, rumiana nagle, trzymała teraz oczy wlepione w ziemię. Nagle urwała nerwowo nitkę i wpięła igłę w kamizelkę.

— Gniewa się jeszcze Tecia?.. — pytał Tadeusz.

Lecz już w téj chwili wchodziła Wielohradzka, trzymając w ręce rogalik zawinięty w papier.

— Mam doskonały twarożek i masło majowe, świéże...— wymówiła nieśmiało — może nasmarować ci bułkę?.. Zjész z apetytem...

Tadeusz wzruszył ramionami.

— Co téż mamcia wygaduje! —wyrzekł zgorszony. — Do czego to byłoby podobne, gdybym jadł twaróg w obecności... tych panów!

— Mógłbyś wyjść na kurytarz...

— Naturalnie, żeby mnie woźni widzieli. Mamcia nie wié, jak u nas, w namiestnictwie, trzeba być ostrożnym, ażeby nie wpaść w śmieszność. Nie mam ochoty zostać takiém pośmiewiskiem, jak Kafthan...

Wielohradzka wzruszyła ramionami.

— Co też ty pleciesz!.. Kafthan to karykatura... widziałam go kilka razy u Jezuitów. Rozumiem, że się z niego śmieją...

— Tak! tak się to zdaje, ale paść na języczek któremu z tych panów, to człowiek zgubiony. *Enfin* niech mamcia da rogalik, bo idę do budy!

Wziął w rękę rogalik i ostrożnie wsuwał go do kieszeni.

— A cukier jest?

— Jest, włożyłam dwa kawałki.

— Dobrze!

Od pewnego czasu „ci panowie" wprowadzili w modę jedzenie na drugie śniadanie rogalików suchych i pogryzanie kawałkami cukru.

Naturalnie, Tadzio musiał także jeść suche rogaliki i ssać cukier.

Wielohradzka, niezadowolona, kręciła głową.

— Mógłbyś wziąć choć plasterek szynki...

— Ależ nie! nie!

Zbliżył się do matki układnie i wziął ją za rękę.

— Mamuś!.. daj mi kilka papierków na papierosy.

— A twoja pensya?

— Fiu!.. na dachu — rękawiczki, krawat jedwabne skarpetki... cóż tam taka marna pensya!

Wielohradzka sięgnęła do kieszeni szlafroka.

— Masz pięć guldenów, tylko oszczędzaj! —prosiła.—Kropielnicki dziś przysyła po ratę.

— Po ratę... za co?

— Za twój frak czerwony. Nie pamiętasz?..

Tadeusz uderzył się w czoło.

— Ach!.. *si! si!* pamiętam teraz... myślałem tylko, że to już zapłacone od świętéj pamięci... *Décidément* pamięć tracę!

Przejął ten wyraz francuski od Melunia Orlickiego i szafował nim wobec osób, które Melunia nie znały.

Schował pięć guldenów do pugilaresu, cmoknął matkę w ramię i obejrzał się po pokoju.

— Skoro wrócę do domu, ułożę bukiety i ordery w archiwum! — wyrzekł, idąc już ku drzwiom.

I nagle, wspaniałomyślnością zdjęty, szerokim, uprzejmym giestem tacę z bukiecikami wskazał.

— Możecie panie wziąć sobie po jednym bukieciku...—wyrzekł uprzejmie, lecz natychmiast dodał:

— Bierzcie tylko te, które mają podartą koronkę... całe proszę zostawić!..

Wysunął się do przedpokoju, zginął w ciemnéj głębi i nagle ukazał się znów na progu, mrugając na matkę w tajemniczy sposób.

— Mamo!.. proszę mamy tu na chwileczkę!..

Wielohradzka wysunęła się z szelestem.

W przedpokoju Tadek ją za rękę złapał.

— Zostawiłem trzydzieści dwa ordery!.. wyszeptał — trzydzieści dwa!.. niech mamcia pamięta!..

Wielohradzka ramionami wzruszyła.

— Dobrze!.. będę pamiętała... ale dlaczego mi to mówisz? wiész, iż nikt tam nie wchodzi, tylko ja i Tecia...

— Wiem, wiem... ale strzeżonego Pan Bóg strzeże! Trzydzieści dwa: gwizdawka, tamburyno, trąbka, flecik, uprząż, baletowa spódniczka, fałszywy nos, sześć szarf i rzepa w siatce... Wszystko policzone!.. A teraz idę!.. do widzenia mamci!..

Cmoknął ją w rękę i drzwi wejściowe otworzył.

— A prosiłbym wyprasować mi na dziś wieczór koszulę...

— Czy idziesz na bal?

— Och!.. na niewielką *kręciołkę* do Andrzejewiczów... nic szczególnego... mało osób z towarzystwa... Przyrzekłem prowadzić... muszę!.. Niech mamcia wyprasuje którą z tych dawnych, gładkich: tam się na modzie nie znają!..

— Dobrze... mógłbyś jednak wypocząć...

— Nie mogę!.. dałem słowo!.. *enfin décidément* uciekam!

I zbiegł ze wschodów jak huragan.

Wielohradzka wróciła do pokoju i, wziąwszy z tacy dwa pomięte bukieciki, jeden z nich podała Teci, która teraz bardzo pilnie wyskubywała nitki z poprutéj peleryny.

— Ma Tecia! — wyrzekła Wielohradzka— niech

Tecia sobie sceruje koronki manszetu i zasuszy fijołki, będzie miała Tecia ładną pamiątkę.

Tecia wzięła w rękę bukiecik i machinalnie zaczęła palcem wiercić pomiędzy kwiatami.

Wielohradzka patrzyła na nią zdziwiona.

— Co téż Tecia wyprawia? — zapytała surowo — czego Tecia szuka pomiędzy kwiatami?

Dziewczyna zarumieniła się gwałtownie i szybko położyła bukiecik na oknie.

— Musiała znów Tecia czytać jakie romanse! — ciągnęła Wielohradzka, chowając swój bukiecik do małéj szkatułki — i zaraz się Teci wydaje, że w bukietach kryją się listy i jakieś tajemnicze przesyłki... Niech sobie Tecia to wybije z głowy... Pisarze komponują fakty, które z życiem nie mają nic wspólnego. Zresztą — domy, w których Tadzio bywa, są to najpierwsze domy w Galicyi, a panienki w nich są dobrze wychowane i nie mają nic wspólnego z heroinami powieści, któremi nas obecnie autorowie częstują...

Tecia milczała, pochyliwszy nad robotą swą złotowłosą głowę — złotą całą od promieni słońca, które wiosennym snopem przez okno wbiegało — a po ustach dziewczyny przemknął się cień smutnego uśmiechu.

Wielohradzka zabrała się do swych linijek, kółek i ołówków; Tecia wyskubywała wciąż nici pokłótemi igłą palcami.

Zaległa wielka cisza, tylko z oddali dolatywały siekące tony fortepianu.

Pięć tonów systematycznie biło powietrze, szło w górę i powracało jak koń, wprzągnięty w koło karuzeli.

II.

Wielohradzki wszedł w głąb kościoła, lecz cofnął się natychmiast, widząc, iż majowe nabożeństwo miało się ku końcowi.

Klęcząc, tłum śpiewał ostatnie zwrotki. U ołtarza gaszono powoli świéce. Błyszczał jednak jeszcze zdaleka ten ołtarz w bukiecie złotych światełek. Żółte światło oblewało pęki białych kwiatów, pośród których zielone liście kładły ciemne plamy.

Dokoła morze głów wypełniających szczelnie wnętrze kościoła. Jedynie tylko tu i owdzie sterczały chorągwie aksamitne, szychem dziane, i kołysały się popychane przez tłum, tłoczący się już ku wyjściu.

Wielohradzki zbiegł ze stopni kamiennych i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Zbici w gęstą gromadę, stali już tam mężczyzni, oczekując na wychodzący z kościoła tłum. Niektórzy czekali tu na żony, siostry, matki, które, zdjęte potrzebą duszy w to wiosenne popołudnie, w woni

kadzideł, kwiatów i płynących pod sklepienie hymnów, czyniły zadość swéj czci ku Świętéj Dziewicy.

Inni przychodzili dla zabicia czasu, dla ujrzenia dam z arystokracyi, téj lub owéj głośnéj z urody pani lub panny z mieszczańskiéj sfery, lub poprostu z nałogu, z przyzwyczajenia, tak, jak szli o pewnéj oznaczonéj godzinie na Wały, do Jezuickiego ogrodu.

Stojąc na rogu ulicy, zbici w gęstą kolumnę obserwowali, często robili półgłośne uwagi, które daléj nieco odsunięta massa pospólstwa chwytała, powtarzała, przerabiała według swoich pojęć i umysłowéj potrzeby.

Lecz już po za ową massą sług, ulicników, bab i téj gawiedzi, która zdaje się rodzić z kamieni jak owi legendowi ludzie, rżały konie pojazdów i biły kopytami o bruk, niecierpliwiąc się w ciasnéj przestrzeni placyku, na którym ekwipaże, ustawione w podwójnym szeregu, czekały na ukazanie się swych właścicieli w kamiennéj ramie drzwi głównych.

Liberye były przeważnie ciemnéj barwy. Konie także maści ciemnéj, zaprzęgi wytworne bez przeładowania stalą, lokaje i stangreci o ponurych, bladych twarzach, wygolonych starannie i o regularnych rysach chłopów, rodem ze wschodniéj części Galicyi.

Lokaje podchodzili teraz ku wschodom, wchodzili na nie, starając się wzrokiem odnaléźć swych chlebodawców, stangreci zbierali lejce, gotowali się do wyruszenia z miejsca. Tłum zaczął wylewać się już

na wschody i zasypywać chodniki. Był to jednak tłum szary i bezbarwny, kobiety ubogie w chustkach na głowie, małe dziewczynki ślizgające się w zbyt dużych trzewikach, sługi wypomadowane w perkalikowych kaftanikach.

Wielohradzki wsunął się pomiędzy grupę mężczyzn i stanął na stopniu, prowadzącym do sklepu nożownika. Oparł się plecami o futrynę drzwi i odziany w swe dość jasne nowe palto, w zgrabny bronzowy kapelusz, przerastał innych mężczyzn o głowę, górując nad nimi, nietylko wskutek podwyższenia, jakie zajmował, ale wskutek swego wzrostu, urody i białości cery, która w tém popołudniowém wiosenném oświetleniu nabiera tonów perłowéj masy, grającéj w promieniach słonecznych.

Wytężonym wzrokiem patrzył na drzwi, z których wysypywały się teraz postacie kobiece, czarno ubrane, skurczone, z czarnemi torbami na rękach, odzianych w niciane mitenki.

Stawały na stopniach, witały się, rozmawiały, czyniły sobie honory i grzeczności, czując się na tym krużganku jak u siebie. Niektóre z nich były bardzo małe i wątłe, w sukniach zbyt długich, w kapeluszach zbyt wielkich, z torbami i książkami olbrzymiéj wielkości. Inne zaś, wysokie i chude, miały suknie nadto krótkie, podniesione dziwacznie z boku i z przodu, małe mantylki, dostające zaledwie do łopatek, niewielkie kapelusze na czubku głowy i małe

książeczki w kościstych rękach. Dwie czy trzy szły tryumfalnie, niosąc z sobą koło krynoliny, która, jak balon, kołysałą się dokoła ich wyschłych bioder. Gdyż wszystkie one — małe czy wysokie wzrostem — były chude, przerażające w téj chudości, o nosach i szczękach szpiczastych, policzkach zapadłych, ustach wązkich i bladych, poruszających się, jakby ciągłém żuciem do tego ruchu zmuszonych.

Wszystkie były podobne do siebie, smutne siostry bliźniacze, niemające w sobie czaru abnegacyi sióstr klasztornych, tak białych i wdzięcznych w obramowaniu czystém dziewiczych welonów.

Za niemi zaczęło się teraz wysuwać mieszczaństwo. Mężczyźni, stojący na rogu ulicy, ożywili się nagle i niektórzy zaczęli przybierać zwycięskie pozy.

Każda z kobiet wychodzących na światło dzienne miała ładny ruch nagle olśnionéj blaskiem słoneczcznym gazelli.

Mieszczanki ubrane były zręcznie, szykownie; figury miały dobre, twarze uśmiechnięte. Całe aureole złotych i czarnych włosów wydobywały się z pod kapeluszy, trochę wyzywających, z egretkami piór i pękami wstążek po nad czołem. Młode panienki i młode kobiety nie różniły się strojem. Gdzieniegdzie tylko dwa bicze warkoczy opadały na cokolwiek zgarbione plecy pensyonarki.

Lecz wszystkie prostowały się, idąc śmiało i zgrabnie, dzwoniąc obcasami o kamienie wschodów, wie-

dząc, iż są obserwowane, krytykowane, uwielbiane i chwalone.

Doszedłszy do podnóża wschodów, zatrzymywały się jeszcze, papląc, śmiejąc się, dzieląc się na grupy, rade, że żyją w tę wiosnę, która takim rozkosznym majem śmiała się dokoła.

Zatrzymywała je jeszcze chęć zobaczenia dam z arystokracyi, które w swoich ławkach zamodlone oczekiwały, aż cała *foule* wyjdzie z kościoła. Te małe mieszczaneczki żywiły pewien kult, trochę zazdrosny, dla tych dam, odzianych tak skromnie, a jeżdżących wspaniałemi ekwipażami.

Mściły się, strojąc się według ostatniéj mody, lecz za to mogły pozwolić sobie tylko na jednokonkę lub spacer pieszy. Często, mówiąc o „damach z towarzystwa", wzruszały pogardliwie ramionami. „Adoptowały kostyum angielski pod pozorem szyku — mówiły — a to jedynie dlatego, że nie umieją się ubrać ani francuską ani wiedeńską modą!.."

Niemniéj przeto były ciekawe i zatrzymywały się umyślnie na chodniku, aby być świadkami wsiadania dam do czekających na nie ekwipaży.

Wielohradzki zaczął się niecierpliwić.

Oczy bolały go od ciągłego patrzenia, pozycya nie należała do najwygodniejszych; nie mógł jednak zejść na ziemię: zniknie wówczas w tłumie, a na karteczce był przecież rozkaz „oczekiwania przy wyjściu".

Nagle mężczyźni, którzy do téj chwili z dość bierną obojętnością przyjmowali pojawienie się koteryi mieszczańskiéj, z obawy, aby jakaś uszczypliwa uwaga nie uraziła kogoś z blizkich obmawianéj kobiety, zaczęli się nagle popychać, pragnąc docisnąć się po nad brzeg chodnika, który był granicą ich terrytoryum.

W drzwiach zaczęły się pokazywać cienkie sylwetki panien, odzianych w ciemno-granatowe, ciemno-zielone, ciemno-bronzowe kostyumy, postaci matek w szarych lub czarnych płaszczach i młodych mężatek w zgrabnych kurtkach, o morowych wyłogach i długich żakietach. Jedna z nich miała nawet rodzaj palto-saka, spiętego z tyłu na patkę z sukna i schodziła tak powoli, mimo ohydnego worka, zgrabna, wdzięczna, pełna téj nieokreślonéj „dezinwoltury", którą mają wielkie damy, a która nie będąc arrogancyą, graniczy z nią prawie, łagodząc subtelną linią to, co jest w arrogancyi nazbyt brutalnego.

Powozy zaczęły podjeżdżać z turkotem. Lokaje biegali, rozwiewając fałdy swych paltotów liberyjnych. Damy oczekiwały na swe pojazdy, rozmawiając pomiędzy sobą cicho, bez gestów, bez śmiechu. Wszystkie były uczesane gładko, bez grzywek, z włosami doskonale wyszczotkowanemi.

Panienki miały po większej części męskie kołnierzyki, mankietki i filcowe kapelusze.

Rysy ich były regularne, ale nic nie znaczące, oczy bez wyrazu, jakby zgaszone nagle pochodnie.

Mężczyźni, stojący na chodniku, zaczęli wskazywać sobie niektóre wybitniejsze osobistości.

— Patrz! ta w granatowym żakiecie, to Muszka Chotkiewiczówna, a ta w zielonéj sukni, to Muszka Birówna, a ta blondynka, taka czerwona na twarzy, to Muszka Zdatnicka.

— Cóż to wszystkie Muszki?

— A jakże!.. taka teraz u nich moda!

— A ta w jasnym żakiecie, która w téj chwili oddaje swoją książkę lokajowi?

— To Orzecka, z domu Charłupczanka.

— Ładna, bo ładna!..

— To też dlatego wziął ją Orzecki, bo Charłupkowie, oprócz tytułu, nie mieli ani centa...

— Charłupkowie to co? baronowie? hrabiowie?..

— Hrabiowie, idyoto!.. tu wszyscy w Galicyi są hrabiami.

— E! takie tam hrabstwo galicyjskie...

— Cicho! cicho!.. jeszcze jedna! aa! ta, proszę siadać... warta grzechu!

— To Muszka Dobrojowska!

— A!..

Środkiem wschodów szła teraz młoda dziewczyna dziwnéj, niezwykłéj piękności.

Wysokiego wzrostu, wysmukła, giętka, owinięta jasno-bronzową wełną, idąc, miała ruchy odaliski dotującéj się do tańca. Linie jéj ciała nie były liniami posągu, lecz liniami ryciny mód z jakiegoś paryskie-

go żurnalu. Niezmiernie długi stan, silnie ściśnięty paskiem z bronzowéj skóry, szczupłe biodra, obciśnięte wybornie skrajaną spódnicą, szerokie ramiona, poszerzone jeszcze wolantami morowego, bronzowego koletu, tworzyły całość przypominającą raczéj jakieś smukłe ciało bronzowo-złotéj, o strzępiastych łapkach, gadziny.

Głowa, twarz — było to arcydzieło sztuki, tak prześliczny był mahoniowy kolor włosów obfitych, skarbowanych i nad czołem falą gęstą podniesionych. Lecz już uszy były do połowy zakryte tą massą rudawo-bronzową o złocistych, gorących połyskach. Cera twarzy była nadzwyczajnéj białości, widocznie sztucznie wypielęgnowana, usta drobne purpurowe, nos cokolwiek zadarty, lecz zgrabny i mały. Oczy szafirowe, niewielkie, lecz błyszczące silnie pod powiekami o błękitnym, zmęczonym odcieniu.

W obramowaniu tych włosów ciemno-rudych, łamiących się czerwonemi i złotemi skrętami, twarz ta blada, o ciężkich sinych powiekach, rzucała się gwałtownie w oczy. Wspaniały zarys czoła, nizkiego i trochę zmysłowego, migotanie oczu, śliczny czysty owal — dopełniały wrażenia.

Zapięta była szczelnie pod szyję w swym wełnianym kostyumie, który spowijał ją, odznaczając jéj kształty, jak szata Westalki.

Muszka Dobrojowska do linii biustu miała wszel-

kie cechy panny z arystokracyi, odzianéj w angielski kostyum krojem Redferna.

Lecz od biustu począwszy, wolanty koletu, podbite mieniącą się materyą, kołnierz, łamiący się na karku w fałdy, massa włosów, skarbowanych, przepiętych strzałą, na któréj świecił szmaragdami sadzony monogram, a zwłaszcza kapelusz z dwoma białemi skrzydłami Walkyryi, zwycięski i wyzywający, zbliżały tę śliczną dziewczynę do rycin francuskich dzienników, do tych sylwetek Guillaume'a lub Mars'a, do afiszów Cheret'a, na których rude smukłe lalki gną się wężowemi ruchami pomiędzy miękkiemi liniami draperyi swych strojów. Wszystko było w niéj sztuką, graniczącą z artyzmem, tak umiejętnie ślady sztuki zatarte były. Mahoniowego koloru włosy, ich lekka ondulacya, białość przejrzysta cery, szerokość ramion i przedziwna cienkość kibici — rzucały się w oczy, lecz ciągnęły zarazem, wabiły, czarowały, nawet zazdrosne oczy kobiet.

Młoda dziewczyna schodziła powoli ze wschodów, oblana złotawą jasnością zachodzącego słońca. I wszystko mieniło się dokoła niéj od gorących barw miedzi: włosy, podszewka koletu, wełna sukni, rączka parasolki.

Jedynie tylko twarz bieliła się zdaleka i czyniła wrażenie tych płaskich twarzyczek z kości słoniowéj, któremi japończycy inkrustują wachlarze.

Dokoła niéj, dokoła téj pięknéj lalki o zwycięskich

skrzydłach Walkyryi na miedzianym kasku włosów, zrobiła się nagła pustka, jakby kobiety inne, spłoszone jéj nadzwyczajną pięknością, nie śmiały się do niéj zbliżyć, aby nadto na porównaniu nie tracić.

Hrabina Dobrojowska zatrzymała się u wejścia i rozmawiała z damami. Widać było tylko jéj proste plecy, z których spadał *cache poussière* z popielatego jedwabiu.

Gdy Muszka ukazała się we drzwiach kościoła i powoli ze stopni schodzić zaczęła, tłum stojący na ulicy zaszemrał:

— Muszka! Muszka Dobrojowska!

Było to bowiem dziecko lwowskie, wyrosłe w alejach Strelnicy i ławkach jezuickiego kościoła. Znano ją dobrze, interesowano się nią od dzieciństwa. Dziś Lwów cały pysznił się jéj niezwykłą urodą. Kraków miał kilka pięknych mieszczanek i jedną uroczą francuską księżnę, lecz Lwów za to posiadał... Muszkę Dobrojowską.

Muszka była obecnie jedną z ciekawości Lwowa. Mówiono cudzoziemcowi, który chciał odjeżdżać:

— A widziałeś pan Muszkę Dobrojowską?—nie? — to pan zostań jeszcze!..

Muszka wiedziała, iż była popularną. Znać to było po sposobie, w jaki owa lwowska *professional beauty* schodziła ze wschodów.

Szła powoli, jakby gotując się do tańca, jedno ramię odsunęła od ciała i wdzięcznym ruchem *Mer-*

veilleuse'y opierała się lekko na dość długiéj parasolce o ciemnéj gałce.

Za każdym krokiem tkanina sukni łamała się i jedwab podszewek szumiał jak rozrzucane liście jesienne. Muszka szła, patrząc napozór obojętnym wzrokiem na cisnące się dokoła niéj tłumy. Z pod rzęs nawpół przymkniętych migotał szafir jéj oczu i, patrząc na wszystkich, Muszka zdawała się nie widzieć nikogo.

Powóz zajechał, elegancki, wytwornie zaprzężony, z kozłem nizkim, na którym stangret zdawał się zapadać w ziemię.

Hrabina zeszła szybko ze wschodów, podnosząc wysoko suknię i ukazując tłumom batystową, haftowaną spódnicę i aksamitne buciki.

Lecz nikt nie patrzył na matkę; oczy wszystkich były zwrócone na córkę, która chłodna, obojętna, spokojna, wsiadała do powozu pierwsza i stanąwszy na dywanie, zaczęła układać bronzową kołdrę, którą odrzucono na przód powozu. Stojąc tak na podwyższeniu, przerastając cały tłum wysokością swéj postaci, Muszka zatrzymała się chwilę, i nieruchoma, z rękami opuszczonemi, potoczyła wzrokiem dokoła.

Szafiry jéj oczu ślizgały się z szybkością motyla po otaczających powóz postaciach i jedną sekundę zatrzymały się na grupie mężczyzn, nad któremi górował Wielohradzki.

Lecz w téj saméj chwili, gdy Tadeusz podnosił

On spostrzegł ją także i, nagłą potrzebą okrucieństwa zjęty, w chwili, gdy dziewczyna kłaniała mu się niezgrabnie, prześlizgnął się po niéj wzrokiem, naśladując wzrok hrabianki, i odwrócił się tym samym wiewiórczym ruchem, jakim odwróciła się od niego Muszka Dobrojowska.

Lecz znalazł się nosem na szybie drzwi nożownika, który, biorąc go za wchodzącego klijenta, drzwi szybko otworzył, chcąc ułatwić mu wejście do sklepu.

Rad nie rad, Wielohradzki wejść musiał i głosem wzburzonym zażądał pokazania angielskich scyzoryków.

Gdy kupiec rozkładał przed nim całą szufladę błyszczącą od stali, Wielohradzki przeklinał w duszy Tecię, przez którą do sklepu wejść musiał.

Powoli jednak ochłonął i zaczął szukać sposobu wykręcenia się od kupienia czegokolwiek.

— Widzę, że pan nie masz scyzoryków z Birmangh-Chaster — wyrzekł, nadrabiając miną—to najlepsza firma, kupiłem scyzoryk taki w Londynie przeszłego roku... był kolosalny!.. Zgubiłem go, a prawdopodobniéj służba mi ukradła. Poszukam w innych sklepach... jeśli nie znajdę, sprowadzi mi pan... ale koniecznie „Birmangh-Chaster".

Wziął za kapelusz i wyszedł ze sklepu, skrzypiąc butami, zadowolniony na razie, że znalazł sposób wykręcenia się od kupna zbytecznego mu sprzętu.

Lecz na ulicy znów go ogarnęło rozdraźnienie i niepewność.

Być może, że popełnił czyn niewłaściwy, kłaniając się Muszce? Może należało stać nieruchomo i tylko oczyma dać jéj do poznania, iż „życzenie jéj było dla niego rozkazem". Mając mało przygód podobnego rodzaju, nie znał przepisów obowiązujących mężczyznę, któremu kobieta naznacza podobne *rendez-vous*.

A gdyby nawet był jakiś kodeks w tym rodzaju, czyż podobna go zastosować wobec charakteru tak pełnego niespodziewanych zwrotów, jakim był charakter téj dziwacznéj istoty?

Czyż raczéj ona sama nie tworzyła osobnego swego własnego kodeksu, który zmieniała stosownie do potrzeby chwili?

Idąc ulicą ku domowi, Wielohradzki przechodził myślą wszystkie fazy swego do Muszki stosunku. Wyróżniała go nagle, podczas składkowego pikniku, gdy kotylion zapowiadał się z nadzwyczajną świetnością, i Wielohradzki, prowadzący tańce, zdawał się wahać z wyborem tancerki.

Dokoła szeptano o jakiéjś koronie z róż białych i tuberoz, która miała uwieńczyć przy dźwiękach walca głowę królowéj balu. Od Wielohradzkiego zależało prawdopodobnie kierować wyborem królowéj. Stał we drzwiach hotelowéj sali, w któréj się piknik odbywał, obramowany zielonemi fałdami go-

belinu, którym komitetowi starali się zręcznie zamaskować pospolitą futrynę drzwi. Stał i wodził dokoła wzrokiem pełnym powagi, gryzł usta i zdawał się upadać pod ciężarem myśli. Lecz postać jego była kształtna, głowa śliczna, młodość aż olśniewała z téj postaci zdrowego, ładnego chłopaka. Przez pierś wypukłą czerwieniała wielka wstęga nabijana srebrnemi gwiazdami, wstęga wodzireja (*conducteur de cotillon*), dziwaczna jeszcze i oczekująca na grad orderów i odznak, które zasypać ją miały deszczem złotych motyli.

I nagle Muszka iść ku niemu zaczęła, cała złota w swéj gorąco-żółtéj gazie, w kasku swych rudych włosów, śląc gońce szafiry swych oczów w błękitne źrenice chłopaka.

Szła powoli, swym tanecznym krokiem, rozwiewając dokoła gazę swéj sukni, jak figurki, zdobiące florentyńskie wazy. Miała olbrzymie rękawy bufowane, pod któremi widać było jéj ramiona, trochę chude i pokryte skórą o połyskach atłasu.

Idąc, uśmiechała się dziwnym, zagadkowym uśmiechem sfinksa, który rzuca w téj chwili śmiertelną zagadkę wybranemu przez siebie śmiałkowi.

Uśmiech ten migał po jéj ustach, jak noże w rękach żonglera; igrał iskrząco, jak złote punkciki, błyszczące i znikające w skrętach jéj olbrzymich włosów.

Gdy znalazła się przed Wielohradzkim, który, zdziwiony tém nagłém objawieniem się wyłącznego dla niego uśmiechu, stał, oczekując na jakiś fakt niezwykły, przewyższający banalność salonowego flirtu, miała w sobie tryumfalną pewność siebie, doskonale pięknéj istoty, połączoną z nerwowością nagle zbudzonego kobiecego niepokoju.

Z uśmiechem tym samym, zagadkowym i zimnym, wysłuchała jego zaproszenia do kotyliona, do owego kotyliona, który chowała w głębi karnetu, od chwili przybycia na piknik; lecz już oczy jéj, błyszczące z pod długich, fryzowanych rzęs, ślizgały się niespokojnie po całéj postaci wodzireja — ślizgały się, migotały, płonęły, cofały się w głąb i znów powracały.

Zdawało się, że po raz pierwszy widziała go tak dokładnie, tak dobrze, tak „*bien*", w całém słowa tego znaczeniu.

Urodą, szykiem, elegancyą strojnego motyla przewyższał wszystkich otaczających ją galicyjskich arystokratów.

Zaczęła się dziwić sobie, iż do téj chwili nie zwróciła na niego uwagi. Tańczyła z nim przecież chętnie, spotykała się z nim często, gdyż bywał prawie we wszystkich domach, w których i ona bywała, dopiero dziś dostrzegła jego piękność i tę jakąś błyskotliwość, która ją zawsze wabiła. Wszyscy męż-

czyźni gaśli przy nim i wydawali się jéj *ternes*. Stanowczo ten flirt ciągnął ją ku sobie.

I przy końcu kotyliona, gdy wirowali pod baldachimem wstążek, trzymanych wysoko przez olbrzymiego Stenia, oczy ich co chwila spotykały się, ręce szukały, usta podawały uśmiechy, które zakwitały nagle wśród warg purpurowych i gasły, jak gwiazdy spadające.

Wieczór ten dla Wielohradzkiego, nagle wyrwanego ze swego *métier* wodzireja patentowanego i uprzywilejowanego pomiędzy arystokracyą lwowską, miał wielkie, doniosłe znaczenie.

Zwykle, cały wieczór zajęty jedynie prowadzeniem tańców, akcesoryami kotylionowemi, zgrzany, schrypnięty, zmęczony, obarczony najuciążliwszą missyą, jaką na barki tancerza wkłada gospodyni domu, a przytém przejęty ważnością swéj godności, pragnący jak mistrz baletu godnie zaprezentować swych tancerzy,—nie miał czasu na flirty, szepty, miłosne awanturki, nawiązywane w kątach cieplarni lub postronnych buduarów, pod zielonemi wachlarzami palm lub fałdami tkanin oryentalnych, spadających tęczowemi barwami ze złoconych dzid po nad miękkim aksamitem jedwabnych dywaników Muezina.

Na to trzeba było mieć więcéj czasu. Wielohradzki myślał jedynie o udaniu się kotyliona i o rozpowszechnieniu Bostona, którego pierwszy na posadzkę salonów lwowskich wprowadził. Obecnie ten flirt

z Muszką — z piękną Muszką, Muszką *la Belle, l'Incomparable* — wprowadził go nagle w świat inny, w świat, który otaczał go dokoła, lecz do którego zajrzéć nie miał czasu, a może i odwagi.

Panna uczyniła pierwszy krok, i gdy szła tak ku niemu uśmiechnięta, cała złota, wiotka i piękna, zdawało mu się, iż zbliża się nagle ku niemu zaczarowana kraina, pełna kuszących i rozkosznych obietnic.

Lecz była to jedynie... obietnica, nic więcéj!

Muszka bowiem, zdjęta ową naglą fantazyą, pociągnąwszy go ku sobie, prowadziła na nitce pajęczych kaprysów, nie dopowiadając nigdy swej woli, swéj chęci, cofając swe źrenice, myśli słowa, uśmiechy, które posyłała naprzód, jak gwiazda promienie, i zanim promień ten mógł dotknąć oczu, serca, uszu Wielohradzkiego, już znikał w pół drogi, rozpływając się we mgle chłodu i wielkopańskiéj arrogancyi.

Wielohradzki postępował ostrożnie, nie awansując się, nie narzucając, czekając skinienia, gestu, zachęty, uśmiechu. Często czekał długo, nie przybierając wszakże postawy żebraka. Zrozumiał, iż rola jego powinna ograniczać się do „przyjmowania" téj niespodziewanéj *bonne-fortune*'y, która spadła na niego w chwili, gdy orkiestra stroiła instrumenty do walca z „Miss Helyet". Sam nie ośmielał występować z czemś od siebie, z jakąś własną inicyatywą, posuwającą naprzód ten flirt dziwaczny, tajemniczy, podobny raczéj do jakiegoś początku skrywanego

przed ludźmi wiarołomnego romansu. Było w téj przygodzie coś nienaturalnego, przewrotnego, coś, co się czaiło kociemi ruchami i cofało się szybko w głąb źrenic hrabianki. Szczególniéj Wielohradzki zauważył, iż Muszka pragnęła, aby nawet cień ich zbliżenia nie przekradł się do wiadomości ludzkiéj. Wobec innych traktowała go z lodowatą obojętnością i tańcząc z nim, na czele korowodów kotylionowych, miała zawsze pozór zimnéj statuy, obracanéj w ramionach obojętnego jéj manekina.

Lecz w chwili rozdawania orderów, bukietów, wstążek, w chwili najniespodziewańszéj a tajemniczéj, nerwowe uściśnienie ręki, półwzrok, półuśmiech spadał nań nagle z szybkością jastrzębia. Zanim zdołał się opamiętać, odpowiedzieć, już Muszka odwracała się spokojna, wyniosła, mierząc go arroganckim wzrokiem wykołysanéj w impertynencyach dziewczyny.

Nigdy nie zdradziła się jednym wyrazem, nie rzuciła mu jednego słowa, które mogłoby rozjaśnić zagadkę jéj postępowania. Zamieniali zwykle banalne słowa tyczące się tańca. Po raz pierwszy wyszła ze swéj rezerwy, rzucając mu ów bukiecik. Zmieniła sama porządek figury kotylionowéj, i dziś Wielohradzki przypominał sobie dokładnie rozkazujący wzrok, z jakim mu wskazała bukiecik podawanych fijołków. On zaś — idyotycznie, mógł zgubić ową karteczkę i gdyby nie Tecia...

Złość go porwała na siebie, na Tecię, na Muszkę, na wszystkich...

Czuł, iż postąpił jak głupiec, kłaniając się hrabiance. Pewną ulgę przyniosło mu odemszczenie się na Teci, lecz niemniéj przeto czuł policzek, jaki mu wymierzyła Muszka, odwracając się od niego w chwili jego ukłonu.

— Jeżeli do mnie jeszcze napisze — myślał, idąc wielkiemi krokami po koszlawych chodnikach i dziurach asfaltu — nie pójdę!... Nie chcę widzieć jéj pleców... mam już téj zabawki dosyć.

Niemniéj przecież w głębi duszy przyznawał, że jest „wzięty". Nie miał czasu, wcześnie rzucony na posadzki salonów, strawić się w atmosferze tanich miłostek. Rozdając całusy Teci, czuł się na seryo „wzięty" przez Muszkę i owo „wzięcie", trwające od dwóch miesięcy, denerwowało go swą zagadkową i dziwaczną niepewnością.

— Nie pójdę już nigdy, skoro mnie wezwie! — zaręczał w duszy. — Wolę pójść do domu i dokończyć „Wołodyjowskiego"!

Po chodnikach snuły się tłumy.

Był to dzień wiosenny, jasny i przejrzysty, bladoliliowy od samego poranku, ku wieczorowi w ciemnię szafiru powoli przechodzący.

Wały zaczynały szumieć zielonością, a pod drzewami zaszumiała nagle fala kobiet, ubranych jasno, świątecznie, na cześć Wiosny, na cześć Mai o zielo-

nych warkoczach, białawo liliowym welonie nieba i oczach z gwiazd złotych utkanych.

Zielone warkocze Mai, i jasne suknie kobiet; aureole kapeluszy podlotków, i białe paltociki dziewczynek; tu i owdzie jaskrawa plama czerwonéj parasolki, złagodzona łagodną barwą bławatków, fijołków, któremi przeważnie kobiety kapelusze swe tego roku przystrajać zaczęły.

I ciągle—wzdłuż chodników, koło szeroko otwartych drzwi sklepów i cukierni — fala sukien szumiących jedwabnemi spodami, całe słońca włosów złotych, kręconych ponad rozjaśnionemi czołami młodych dziewczyn...

Wielohradzki, włożywszy ręce w kieszenie palta, szedł, złożywszy usta jakby do gwizdania. Miał na twarzy wyraz gryzącéj ironii i niewysłowionéj pogardy. Żadna z tych kobiet nie interesowała go: przeciwnie, postaci ich uśmiechnięte, słońca ich włosów gniewały go i dręczyły.

— Gęsi!... myślał—gęsi mieszczańskie!... i czego to w domu nie siedzi? czego się to po ulicach włóczy?..

Mała odarta dziewczyna zabiegła mu drogę, podając bukiecik liliowych sasanek, sztucznie naśladujących fijołki.

Odsunął ją końcem buta, rad, że może na kimś swój gniew wywrzeć.

Dziewczyna zemściła się, rzucając za nim cienkim głosikiem.

— *Sztucer*!... *)

Wielohradzki przejrzał się w szybie magazynu i ujrzał rzeczywiście „sztucera". To go pocieszyło trochę, zwłaszcza, że właśnie przeszło mimo niego kilku ludzi źle ubranych. Jeden z nich miał spodnie prawie fioletowe! Wielohradzki wzruszył ramionami. Gdzie ten człowiek wynalazł podobne spodnie?

Nagle zamyślił się. Być może, iż w Paryżu lub Anglii ten kolor wszedł już w modę? Na strojach kobiecych fioletowa barwa przeważała. Wielohradzki ubierał się modą wiedeńską. Obejrzał się raz jeszcze za owym młodzieńcem o fioletowych spodniach, lecz tłum ludzi przyjął go pomiędzy siebie jak morze wpadającą rzekę. W każdym razie — myślał Wielohradzki — ten pan z pewnością nie nosi, tak jak ja, pończoch i angielskich podwiązek. To było widać po fatalnym układzie fałd sukna.

Lecz znów myślą powrócił do Muszki.

Jeżeli kazała czekać na siebie, musiała mieć w tém jakiś cel, choćby dla zobaczenia go, dla zamienienia z nim jednego spojrzenia. Dlaczego więc prześlizgnęła się po nim wzrokiem z taką lodowatą obojętnością? A może .. nie widziała go wcale?

Teraz już Wielohradzki nie był nawet pewnym czy hrabianka dostrzegła go wśród tłumu.

— Jeśli mnie zaraz nie odnalazła, czemuż nie

*) Sztucer—elegant w żargonie galicyjskim (*przyp. aut.*).

szukała wzrokiem? czemuż nie chciała mnie szukać? —Wzruszył ramionami i zaczął iść szybciéj, stukając o asfalt obcasami.

— Niech ją tam! — zakonkludował — skończę tę głupią awanturę, zaczyna mi to jeść zdrowie i spokój odbiera... Nie mogę pracować... Od wczoraj czytam cztery kartki „Wołodyjowskiego" i w żaden sposób nie mogę wymyślić jakiejś szykownéj figury do kotyliona u Orzeckich.

I pełen najlepszych zamiarów dodał, wyciągając szyję, i jakby wietrząc w powietrzu projekt owéj „figury":

„Zajmijmy się czemś seryo... dosyć tych głupstw bez sensu..."

Dochodził do domu i, spostrzegłszy to, zwolnił kroku. Myśl o zobaczeniu matki i Teci, o wejściu do téj ciemnéj nory, która nazywała się „jego pokojem" — stała mu się poniekąd przykrą. Wychodził pełen dobrego humoru i w doskonałém usposobieniu; teraz nie miał odwagi wnieść swych nagle osowiałych nerwów w tę ubogą ciszę, przerywaną jedynie turkotem maszyny i zgrzytem nożyczek.

— Przejdę się jeszcze... — pomyślał, kierując się ku ogrodowi Jezuickiemu.

Lecz nagle z bramy kamienicy wysunęła się jakaś ciemno ubrana kobieta.

Była bardzo brzydka i nad czołem jéj sterczała duża czarna grzywka, która formowała po nad jéj oczyma rodzaj daszka z czarnéj ceraty.

Była ubrana w granatowy wełniany kostyum i kapelusz z piórem. Małe oczy latały przenikliwie wśród żółtéj cery twarzy.

Ujrzawszy Wielohradzkiego, zbliżyła się szybko.

— Pan Wielohradzki? — spytała.

Tadeusz stanął i uchylił kapelusza.

— Tak... — odparł zdziwiony.

— Jestem panna służąca hrabianki Dobrojowskiéj...

Wielohradzki nałożył kapelusz, lecz serce mu zaczęło kołatać tak szybko, iż musiał aż usta otworzyć dla nabrania oddechu.

— Hrabianka kazała pana prosić, aby pan dziś był w teatrze!

Ukłoniła się i szybko przyciskając łokcie do bioder, uciekła.

Ani na chwilę nie przebiegła przez umysł Wielohradzkiego myśl: nie pójść! Pełen nadziei wbiegł do bramy, wdrapał się na schody, cały zajęty myślą wydostania od „mamusi" trzech guldenów, potrzebnych na bilet i wynajęcie lornetki. Radośnie, wesoło zadzwonił i, wpadłszy do pokoju, od progu zawołał:

— Mamusiu złota! jedyna! królowo! herbaty, bo Tadzio idzie do teatru!

Wielohradzka, szyjąca przy oknie, szybko podniosła głowę. Wiedziała, że gdy syn jéj zaczyna mó-

wić o sobie w trzeciéj osobie, jest w doskonałym humorze i nerwy jego (o które tak bardzo się lękała) są najzupełniéj uspokojone.

Żwawo więc powstała od stołu i, biegnąc do kuchni, zawołała:

— Samowar gotów!... odgrzeję tylko pierożki!

Tadeusz pobiegł do swego pokoju i zaczął myć się, czesać, perfumować. Zamyślił się długo nad pudełkami, w których leżały krawaty.

Wreszcie zawołał:

— Mamuchno!... chodź tu na chwileczkę!

Wielohradzka, trzymając w ręku patelnię, na którą wrzuciła już kawałek masła, weszła szybko do pokoju.

— O co ci chodzi? — spytała.

— Nie wiem sam, jaki krawat włożyć do teatru... czy ten w ciapeczki? czy ten w podkówki? Jak mamcia myśli?

Wielohradzka postawiła patelnię na krześle i włożyła na nos binokle.

— Ja radzę ci w ciapeczki — wyrzekła — w podkowy strasznie obnoszone i teraz byle kto rzeczy sportowych się czepia!...

— Mameczka ma racyę! — zadecydował Tadeusz — trzeba będzie krawat w podkowy darować stróżowi!...

I zaczął się ubierać, wciągać kamizelkę, lecz

teraz Wielohradzka nie odchodziła, tylko przez binokle przyglądała się z upodobaniem synowi.

— Wiesz, Tadziu!..: — wyrzekła nareszcie — zdaje mi się, że ty tego roku jeszcze urosłeś... Przerastasz mnie teraz o głowę, a przecież ja nie ułomek!

Prostowała się z pewną butą — blada, a mimo to bardzo ładna w tém obramowaniu siwych włosów. Szalone przywiązanie, jakie miała do swego jedynaka, zdobiło jéj rysy, a zwłaszcza wyraz ust, prześliczną i żywą młodością.

Tadzio nadstawił swą głowę wytartą wodą kolońską.

— Niech mamuś pocałuje swego urwisa — prosi dziecinnym głosikiem.

Wielohradzka kilkakrotnie, gorąco, szczerze ucałowała głowę syna.

— Ach! ty pieszczochu! — wymówiła z lekkiém wzruszeniem w głosie.

Nagle zasyczało coś w kuchni.

— Jezu! coś się przypala!

Wielohradzka wybiegła z pokoju z szumem fałd swego szlafroka.

Teraz — Tadeusz był gotów.

Wonny, czysty, uśmiechnięty, wyglądał jak lalka wycięta z żurnalu.

Oglądając paznogcie, wszedł do pokoju matki, która szybko nakrywała stół obrusem i ustawiała na nim przybory do herbaty.

— Ja pomogę!... — odezwał się Tadeusz.

— Nie! nie!—zaoponowała matka—możesz sobie powalać mankiety, a zresztą to babska robota!...

On, *bon prince*, uśmiechając się, usiadł do stołu. Zgarnął łyżeczką kożuszek z garnuszka ze śmietanką i połknął go jednym haustem.

Poczem obejrzał się dokoła.

— Gdzież to Tecia?

— Głowa ją boli... — odparła Wielohradzka. — Pozwoliłam jéj chodzić na majowe nabożeństwo. Dziś wróciła z oczyma zaczerwienionemi i prosiła, aby jéj pozwolić odejść do domu.

Tadeusz smarował ostrożnie cieniuchną kromeczkę chleba grubą powłoką masła.

— Jak ją mamcia jutro zobaczy—wyrzekł—to niech mamcia jéj powie, że dlatego się jéj dziś nie ukłoniłem na ulicy, ponieważ jéj nie poznałem... Dopiero, kiedy przeszła, domyśliłem się, że to ona.

Teraz, kiedy on był zadowolniony, pragnął, aby inni byli także zadowolnieni.

— Dobrze! — odparła Wielohradzka — choć to dziwne... nie poznać Teci...

— Mamcia wie, że mam wzrok krótki.

— Prawda!...

Westchnęła i podsunęła mu cały talerz odgrzewanych pierogów.

— Jedz... pierożki odgrzewane... wiem, że je lubisz!...

— Naturalnie!

Zabrał się do jedzenia, popijając herbatą.

Nagle Wielohradzka spytała:

— Znasz kanoniczkę Martel?

— Znam.

— To szkoda!

— Dlaczego? Czy chciała dać mamie robotę?

— Tak!... przez babkę Teci...

Wielohradzki podniósł szybko głowę.

— Niechże mamcia nie bierze!... — zawołał niespokojnie. — Kanoniczkę spotykam bardzo często, bywa na wszystkich wieczorach...

Wielohradzka uspokoiła go łagodnym gestem.

— Nie bój się... skoro tylko znasz tę panią, możesz być przekonany, iż nie przyjmę od niéj roboty.

Umilkła na chwilę, poczem dodała:

— A jednak szkoda... podobno dobrze płaci...

— Mieszczanki także dobrze płacą! — podjął Tadeusz żywo — a mając pomiędzy niemi klijentki, nie może mi mamcia zaszkodzić!...

Zjadł pierogi, otarł usta, zagryzł ciastkiem i powstał z krzesła.

— Idę, a skoro wrócę, opowiem mamci, co grali i jak panie na scenie były ubrane!... — wyrzekł, biorąc kapelusz.

Wielohradzka, przez chwilę zafrasowana, uśmiechnęła się wesoło.

— Może tam będzie jaki oryginalny szlafrok; uważaj dobrze... to mi go później narysujesz!

— Dobrze!...

Wziął ją za rękę i pocałował z przymileniem.

— A na bilet da mamuś Tadziowi? — zapytał.

Wielohradzka bez wahania sięgnęła ręką do kieszeni.

— Ileż ci trzeba?

— Trzy guldeny!...

— Aż tyle?

— Muszę iść na balkon pierwszego piętra... tam wszyscy z namiestnictwa chodzą... nie mogę bywać w krzesłach...

Podała mu z pośpiechem żądane pieniądze, tak była rada widzieć go w tym dobrym humorze, który rozjaśniał jéj smutne mieszkanie ciepłym, wiosennym promieniem.

Odprowadziła go na schody.

— Zapalę wieczorem lampkę i postawię na schodach — wyrzekła, opierając się o poręcz — zawsze się boję, skoro powracasz tak późno i możesz się poślizgnąć!

On, już na niższém piętrze, podniósł głowę z uśmiechem.

— Mam zapałki!... — wyrzekł.

— Pewnie w pudełku!... — troszczyła się znów Wielohradzka — tyle razy cię prosiłam, ażebyś nosił w tym metalowym futeraliku, który ci kupiłam. Je-

szcze kiedy zapalą się w twéj kieszeni, a to fosfor.., siarka... niech Bóg broni!...

Lecz on już zbiegał ze schodów.

— Nie bój się, mamuś... do widzenia!...— wołał, posyłając jéj pocałunki.

. . . . . .

Z trudnością dostał Wielohradzki bilet do teatru. Dnia tego bowiem była wielka uczta artystyczna dla publiczności lwowskiéj, jedna z tych uczt, które pozostaną pomnikowemi w repertuarze sceny skarbkowskiéj.

Przybyło do Lwowa dwunastu studentów hiszpańskich, „*Estudiantina*", *ma chère!* — jak mówiły damy, ciesząc się, iż posłyszą prawdziwy brzęk mandolin i zobaczą krucze włosy synów Andaluzyi. Mandoliny te brzęczeć miały w antraktach „jakiejś" sztuki! Ach, Boże! o sztukę tu nie szło... ale Estudiantina! prawdziwa Estudiantina!...

I pełno było w lożach gwaru, szelestu i śmiechu. Wachlarze powiewały, bo ten majowy karnawał przedwyścigowy upalny był i gorący, jak nigdy.

Gdy Wielohradzki wszedł na balkon pierwszego piętra, wszystkie miejsca oprócz kilku lóż parterowych i pierwszego piętra zajęte były przez publiczność. Kurtyna podniosła się powoli i ukazał się w jamie sceny kartonowy ogród z nadzwyczajnemi, bo rozpiętemi na siatkach dębami, łatanemi kawał-

kami płótna. Na scenie stało dwanaście krzeseł giętych, pustych.

Wielohradzki przecisnął się do swego miejsca i zajął je, cokolwiek oszołomiony gorącem, zaduchem i oślepiającym blaskiem gazu, który bił płomieniami z brudnych kloszów, umieszczonych tuż przed poręczą balkonu. Usiadłszy, starał się odzyskać równowagę, gdy usłyszał nagle nosowy, nizki głos:

— Dobry wieczór!

Obok niego siedział Kafthan, urzędnik z namiestnictwa, rozrosły, silny mężczyzna, trzymający się pochyło, mówiący wolno, przeważnie rzeczownikami, i służący za pośmiewisko „panom z kasyna".

Wielohradzki przywitał się z nim dość ozięble. Ogarnęła go złość, iż wypadek dał mu miejsce obok Kafthana. Bał się, aby „ci panowie" nie pomyśleli, iż on jest „dobrze" z Kafthanem. Śmieszności lękał się jak ognia. Zdawało mu się, iż samo sąsiedztwo Kafthana już na niego szyderstwo sprowadza. A widział ich dokładnie, rzucali się w oczy natychmiast każdemu wchodzącemu do sali teatralnéj. Mieli swoją własną lożę kasynową, tak zwaną „końską", i siedzieli w niéj teraz dwoma rzędami, poddając pod światło gazu swe jasne twarze i nieposzlakowanéj białości bieliznę.

Wbrew zapewnieniom niektórych powieściopisarzy nie była to rasa skarlała ani nędzna. Owszem — twarze tych ludzi były regularne, doskonale odży-

wione, ciała wybornie rozwinięte i utrzymane. Przeważnie rasa była szykowna, wielkopańska, trochę czasem mieszaniną parweniuszów lub ormian zepsuta. Gdzieniegdzie migały wielkie orle nosy lub duże kościste ręce, lecz przeważnie głowy były dziwnie kształtne i harmonijne — niektóre nawet zadziwiająco piękne, ramiona szerokie, ręce wązkie i ładnie pielęgnowane.

W pierwszym zaraz rzędzie, jak mumia, nagle do życia powołana, siedział Melunio Orlicki, wyczerniony, wyróżowany, w podwatowanym na ramionach *smockingu*, z różą świeżą w ustach. Siedział, mrugając oczyma, sztywny i wyprostowany pomiędzy tymi młodymi, którzy śmiali się zdaleka urodą, białością cery i zdrowiem. Wyglądał pomiędzy nimi jak plama atramentu. Lecz „końska łoża" nie mogła istnieć bez Melunia. Stary kawaler zajmował to miejsce od lat tylu. Chwilami zdawało się, że umrze na tém krześle, na którém jego twardy skielet wysiedział już jamę grobową.

Wielohradzki odwrócił się od Kafthana i z niepokojem ujrzał, iż krzesło obok niego pozostało niezajęte. Kto je zajmie?

Wielohradzki rzadko bywał w teatrze, ale zawsze dbał, aby być dobrze „otoczonym". Tymczasem dziś rozkaz Muszki zmusił go do wzięcia niemal ostatniego biletu, jaki w kasie pozostał. Z najwyższém rozdrażnieniem dostrzegł, iż zbliża się do niezajętego

miejsca drugi urzędnik z namiestnictwa, Wojsa, młody ormianin, parweniusz, trzymany zdaleka przez „tych panów" i nie należący do kasyna.

Wojsa, nizki krępy brunet, z twarzą wesołéj papugi, usiadł, kiwając niedbale głową Wielohradzmu. I on widocznie nie rad był z sąsiedztwa Kafthana i Wielohradzkiego, gdyż wszyscy na tém targowisku próżności pogardzali jedni drugimi, pnąc się rozpaczliwie na szczeble, które w ich przekonaniu o tyle „wyżéj" w ustroju społecznym postawione były.

Lecz już Kafthan wyjął afisz i rozkładać go zaczął, mrucząc:

— Estudiantina... o!... Pampillos, Madrillos, Ciquitos... granie... śpiewanie... o!...

Grubym palcem po afiszu wodził, wreszcie dodał:

— „Dom otwarty"...

Wielohradzki nieznacznie teraz po lożach spoglądał, obiecując sobie nie ukłonić się nawet Muszce, skoro widocznie sobie tego nie życzyła. Miał zamiar tylko oczyma, wzrokiem dać jéj poznać wiele... co? sam nie wiedział, tak dziwne uczucie było w jego sercu dla niéj olśniewającéj dziewczyny. W każdym razie przygotował oczy melancholijne, głębokie, o ile jego wypukłe źrenice mogły mu na to pozwolić. Czuł jednak, że nie wygląda tak, jak tego pragnął. Kafthan psuł mu całą harmonię; zasłaniał go swem olbrzymiem ramieniem. Przytém ta płachta rozwieszonego afisza, bielącego się na tle różowawéj ballustra-

dy, była wprost śmieszna. Subtelnie banalny charakter Wielohradzkiego odczuwał te drobiazgi i truł się niemi fatalnie. Była to zawsze męka jego życia.

Muszka jeszcze nie przybyła. Spóźniała się tak zawsze i wszędzie, wchodząc ostatnia, wychodząc najpierwsza. Zjawiała się zawsze, gdy już przestano ją oczekiwać, i odchodziła, gdy jeszcze nie zdołano się na nią napatrzyć. Wielohradzki wiedział o tém, czekał, ale niemniéj czuł pewną gorączkę, która mu ciągle wzrok do niezajętych lóż ciągnęła.

Nagle na pustą scenę wypadło dwunastu czarno ubranych mężczyzn, z których połowa była olbrzymiego wzrostu, a połowa dziwacznie mała. Jeden był tak otyły, iż wlókł się na ostatku, śmieszny w swych trykotach czarnych i krótkiéj kurteczce. Inny, malutki i chudy przerażająco, miał nogi jak dwie zapałki. Kostyumy ich były nędzne, welwetowe zrudziałe; twarze—pospolite, bez żadnych cech charakteru południowców.

Usiedli na krzesełkach, porwali za mandoliny i zaczęli brzęczéć jakieś melodye.

Nastąpiło rozczarowanie.

W lożach wzruszano ramionami. „Estudiantina" zawiodła! Niemniéj przeto las lornetek skierował się na scenę. Hiszpanie grali ciągle, zapatrzeni w struny swych mandolin. I już powoli oswajano się z nimi. Zaczęto nawet przyznawać, iż Pompillos jest interesujący a mały Madrillos bardzo zabawny. Lecz co

najwięcéj zaciekawiało wszystkich, to łyżeczki, które studenci mieli zatknięte za kapelusze. Podawano sobie lornetki, aby lepiéj te łyżeczki zobaczyć, i mówiono pocichu ich legendę. Brzęk mandolin tonął teraz w gwarze rozmowy. Kafthan palec ku scenie wyciągnął, mówiąc grobowym głosem:

— Łyżki!..

Nagle urwano rozmowę. Studenci, śpiewając, porwali się z krzesel, wrzeszczeli „*Olle!*", zdjęli kapelusze i, usiadłszy napowrót, grać zaczęli. Publiczność zdziwiona umilkła. I siedziano tak w monotonném brzęczeniu łaskotanych strun i duszącéj powodzi płonącego gazu. Mandoliny dzwoniły z przerażającą jednostajnością. Powoli jednak brzęk ten usypiać i rozmarzać zaczął. Kobiety pierwsze umilkły i poddawały się téj siekącéj kąpieli dziwacznych dźwięków. Kafthan zaś zadecydował półgłosem:

— Brzęczenie!...

Lecz Wielohradzki poczuł nagle szarpnięcie nerwów. Jedna z lóż pierwszego piętra zaroiła się świeżo przybyłemi postaciami. Wszystkie lornetki skierowały się w tę stronę. Wielohradzki, mimo szalonego wysiłku woli, nie mógł nie pobiedz wzrokiem w tym kierunku.

Oparta o poręcz loży, w narzuconym jeszcze na ramiona pluszowym płaszczu bronzowym, poddając się chętnie pod ogień lornetek, spokojna, chłodna i nad wyraz piękna stała Muszka, nie patrząc na

scenę, nie patrząc na salę — patrząc a nic widząc, widząc a nie patrząc swemi szafirowemi źrenicami.

Powoli zsunęła z ramion płaszcz i usiadła na krześle, odwracając się plecami do balkonu, na którym się znajdował Wielohradzki. Obok niéj zajęła miejsce druga piękność lwowska, Orzecka, z domu Charłupczanka.

Lornetki całéj publiczności bezustannie teraz śledziły każde spojrzenie, każdy gest obu kobiet, a zwłaszcza Muszki, przy któréj bladła świeża i okrągła twarzyczka Orzeckiéj.

Muszka ubrana była w suknię z aksamitu w dziwaczne tygrysie pręgi. Suknia ta niezmiernie szczelnie przylegała do jéj wysmukłego ciała i dawała jéj wygląd dużéj tresowanéj tygrysicy. Rękawy olbrzymie z bronzowego tiulu, naszytego mieniącemi się kamieniami, osłaniały niedokładnie morę obnażonych ramion. W rubinach i topazach grały całe snopy iskier. Z tygrysiéj tkaniny wysuwały się przebłyski delikatnego, jasnego ciała, bo i szyja cała prawie była obnażona i podniesione wysoko włosy odsłaniały kark, po którym wiły się kręcone drobne, miedziancgo koloru loczki.

I włosy te, zczesane wysoko, skręcone w ogromny węzeł przepięty rubinową strzałą, bramujące twarz bladą masą ciemno-rudych promieni, tworzyły kask tryumfatorski nad czołem téj dziewczyny, denerwującéj swą urodą całą salę i pozostającéj w tém ogól-

ném zdenerwowaniu chłodną, spokojną i pamiętającą o wykarminowanych wargach, o układzie ręki, o pięknéj draperyi tworzącego tło płaszcza.

Estudiantina nagle brzęczéć przestała i hiszpanie, uciekli za kulisy, machając mandolinami. Frenetyczne oklaski zmusiły ich do ukazania się, poczém zapadła brudna i zniszczona płachta, nazwana kurtyną.

Kafthan palce w stronę Muszki wyciągnął.

— Dobrojowska! — wyrzekł. — Uroda, fumy, kokieterya, malatura... o!...

Wielohradzki nie odpowiadał, znów niespokojny i podrażniony. Muszka nie spojrzała nawet na balkon, gdzie wiedziała, iż on musi się znajdować. Zresztą nie patrzyła zupełnie na salę i skoro tylko kurtyna zapadła, wstała powoli, rosnąc jak sosna, z aksamitu balustrady, i wsunęła się w głąb loży, nie rzuciwszy nawet okiem po za siebie.

W teatrze tymczasem panował gwar i hałas nadzwyczajny. Orkiestra grała jakąś hałaśliwą polkę. W końskiéj loży pozostał tylko Melunio, wybijający takt futerałem od lornetki.

„Ci panowie" wchodzili teraz do lóż, witali się z damami i stojąc rozmawiali, wybuchając od czasu do czasu głośnym śmiechem.

Wielohradzki czuł się skrępowanym. Nie miał śmiałości oddawania wizyt w lożach damom, w których domach bywał, a nawet prowadził tańce. Wie-

dział, iż na to potrzeba być kimś należącym do „towarzystwa". On zaś, pomimo wszystkich pozorów, nim nie był.

Nie chciał również wyjść na kurytarz. Bał się, ażeby Kafthan nie chciał mu towarzyszyć. Te same pobudki skłaniały Wojsę do siedzenia w fotelu. Wojsa bał się, aby Wielohradzki nie pragnął pokazać się w jego towarzystwie. Siedzieli więc wszyscy trzej kwaśni i niezadowoleni, patrząc na siebie z ukosa.

Wielohradzki bezustannie śledził lożę zajmowaną przez Muszkę i widział, jak Orzecka wstała i, szeleszcząc białą jedwabną suknią, zrobioną według mody z trzydziestego roku, poszła również w głąb loży. Od czasu do czasu słychać było tam wybuchy śmiechu Stania Pozbitowskiego i jego dziwaczny dyszkant, zimny i fałszywy.

Wielohradzki zaczął trawić się wewnątrz szalonem niezadowoleniem. Nie mógł otworzyć drzwi téj loży i wejść tak, jak inni. Na samą myśl tego salonowego zuchwalstwa drętwiał cały. Naraziłby się na śmieszność. Czuł to, wiedział, i to właśnie przeświadczenie sprawiało mu ból dojmujący.

Pocieszał się myślą, iż on jeden właśnie jest połączony z Muszką tą tajemną siecią, która go ciągnie za nią jak cień, siecią plątaną przez samą Muszkę i z jéj własnéj woli. Była to słaba i platoniczna pociecha. Dawało mu to mało radości, nic pra-

wie, a zaczynało rwać mu już na strzępki dawną egzystencyę.

Antrakt miał się ku końcowi. Końska loża zapełniła się znowu i publiczność wracała powoli na swoje miejsca. Kobiety zajmowały brzegi lóż, i nagle zrobiło się w teatrze jasno, biało, różowo, złoto, błękitno, od jasnych barw i twarzy otoczonych aureolami włosów o złotych połyskach. Wachlarze zagrały ponownie, niektóre były tak barwne i delikatne, jak skrzydła motyle. Jakaś chórzystka na trzeciém piętrze miała wielki wachlarz japoński z purpurowego papieru. Zdaleka rzucał się w oczy jaskrawą plamą, zwłaszcza w tym białawym pyle, który teraz powoli zaczynał wypełniać teatralną salę.

Muszka powróciła za dawne miejsce. Napróżno Wielohradzki wysunął się na przód balkonu i sterroryzowawszy Kafthana, ręce wdzięcznie na balustradzie ułożył. Muszka usiadła, nie spojrzawszy nawet w tę stronę. Po za nią zjawił się Stanio Pozbitowski. Orzecka pozostała jeszcze w głębi loży.

Podniosła się kurtyna.

Grano „Dom otwarty" Bałuckiego.

Wielohradzki nie znał téj komedyi. Bywał w teatrze rzadko, nie mając ku temu środków. Pierwsze sceny nie uczyniły na nim wrażenia. Patrzył wciąż na plecy i na kark Muszki. Obok widział ciemne, silnie

przygładzone włosy Stania i jego regularny, nic nie znaczący profil.

Nagle — na scenę wszedł Fikalski.

Wielohradzki zaczął mimowoli zwracać uwagę na tę postać. Kafthan aż trząsł się ze śmiechu. Wciąż czegoś w afiszu szukał. Chodziło mu o dowiedzenie się, jakie imię chrzestne miał Fikalski. Wielohradzki zmusił go do milczenia. Szelest papieru zaczął zwracać uwagę publiczności, a w téj chwili więcéj niż kiedykolwiek Wielohradzki nie chciał, aby się nim zajmowano. Ten Fatalny Fikalski ze swém wodzirejostwem, z owym karnetem, w którym wpisane były wieczory i bale zajęte i zamówione naprzód przez Salomêjki, Pieprzykiewiczów i inne tańcujące osobistości, miał dużo analogii z sytuacyą społeczną Wielohradzkiego. Tadeusz odczuł to i w jednéj chwili zrozumiał. W stanie nerwowego rozdrażnienia, w jakiém się znajdował, nadczułość jego wzrosła do potęgi. Cofnął się w głąb swego fotelu i gryzł gwałtownie wargi. Miał ochotę wypoliczkować, nietylko Kafthana, który śmiał się konwulsyjnie, ale i Wojsę, który nie śmiał się wcale, i całą publiczność, która zdawała się z najwyższém zajęciem śledzić ową postać Fikalskiego.

— A rozmiary sali? — pytał na scenie Fikalski.

Wielohradzki patrzył teraz ukosem na Muszkę. Trzymała przy oczach aluminiową lornetkę, osadzoną na długiéj rączce, i patrzyła na scenę. Stanio Po-

zbitowski coś opowiadał i chichotał się cicho, wtórowała mu Orzecka, która już wróciła na przód loży. Wielohradzki cierpiał męki Tantala. Był przekonany, że ci ludzie muszą mówić o nim i czynić porównanie pomiędzy Fikalskim scenicznym i ich „nadwornym wodzirejem", jak czasem żartobliwie nazywano Wielohradzkiego. Rad był teraz z sąsiedztwa Kafthana, który go swemi wielkiemi plecami krył i zasuwał w cień. Z „końskiéj loży" skierowały się na balkon dwie lornetki. Wielohradzki, blady z gniewu, przysiągł sobie w téj chwili nie prowadzić więcéj tańców. Muszka śmiała się teraz wraz z całą publicznością z krygów aktora grającego Fikalskiego. Wielohradzki zapytywał siebie: „Czy Muszka znała sztukę i czy nie umyślnie sprowadziła go do teatru, aby go ośmieszyć?"

Nareszcie kurtyna zapadła. Wielohradzki chciał wstać i uciec z teatru, lecz prawie nikt z publiczności nie ruszał się z miejsca. Natomiast dostrzegł, iż Pozbitowski daje mu jakieś znaki i wywołuje go na kurytarz. Wielohradzki odął usta i, przymrużywszy oczy, patrzył na Stania z pewnego rodzaju arrogancyą. Mścił się, jak mógł i umiał. Wreszcie Stanio, zamieniwszy kilka słów z Muszką, wyszedł z loży i w kilka chwil ukazał się we drzwiach balkonowych. Śpiesznie powstał z miejsca Wojsa i Kafthan, pragnąc przywitać się z młodym „kasynowcem". Lecz on minął ich, kiwnąwszy im obojętnie głową, i ku

Wielohradzkiemu zmierzał. Krzesło po za Tadeuszem właśnie opustoszało. Stanio zajął je i ku Wielohradzkiemu się pochylił.

— Jak się masz!...

Wielohradzki kwaśno odparł:

— Dobrze! cóż to?... masz do mnie jakiś interes?

— Tak!... chciałbym, ażebyś w przyszłym antrakcie wyszedł na kurytarz.

Wielohradzki w téj chwili wyobraził sobie, że to Muszka wydelegowała Stania. Uznał za stosowne podrożyć się.

— Nie wiem!... prowdopodobnie wyjdę zupełnie z teatru po Estudiantinie... nudzę się!...

Mówiąc to, odwracał się plecami do Wojsy, który teraz stał się uśmiechnięty, odwrócony twarzą ku Staniowi, czekając dobrego słowa ze strony młodego arystokraty.

Za kurtyną zaczęły brzęczeć mandoliny.

Stanio powstał z miejsca i z jedną ręką w kieszeni od spodni kierował się ku wyjściu.

Miał maniery dziwaczne, nawpół rubaszne, nawpół dystyngowane, i chwilami robił wrażenie stajennego parobka, przebranego w wykwintną odzież.

— W każdym razie liczę na ciebie... po Estudiantinie wyjdź na kurytarz... będę czekał... — wyrzekł, przechylając się przez poręcz ku Wielohradzkiemu.

— *Enfin*, skoro ci tak o to chodzi!... — wycedził przez zęby wodzirej.

Mówili sobie *ty*, gdyż pięć lat przesiedzieli w gimnazyum na jednéj ławce i razem zdali maturę. Późniéj, spotykając się ciągle w salonach, pozostali na stopie pewnéj poufałości.

Stanio odszedł i Wielohradzki używał teraz w pełni rozkoszy zadowolenia, wynikającego z pognębienia Wojsy i Kafthana. Stanio zajmował pewne wybitne stanowisko pomiędzy złotą młodzieżą, był silnie protegowany w namiestnictwie i, przeskakując awanse, miał już miejsce c. k. komisarza. Przytem majątek wielki, dwie siostry wspaniale za mąż do Wiednia wydane i pewna umiejętność noszenia nazwiska. Wszystko to imponowało Wojsie i Kafthanowi.

Wielohradzki uczuł się trochę pokrzepiony na duchu. Wizyta Stania, to wywołanie go konieczne na kurytarz, pochodzące prawdopodobnie z inicyatywy Muszki, wzdęło pierś jego pewną dumą. Zepchnął więc znów łokieć Kafthana z balustrady i wysunął się naprzód, pod oświetlenie płonącego gazu. Muszka nie odwróciła się nawet, ale Wielohradzki nie czuł się tém dotknięty.

Czekał cierpliwie antraktu. Bawił się lornetką i od czasu do czasu oglądał paznogcie. Wojsa zagadał do niego, pokazując mu w loży drugiego piętra siedzące aktorki. Lecz on wzruszył tylko ramionami z pogardą

i rzucił bystre spojrzenie na tygrysie plecy Muszki. Na scenie studenci hispańscy brzęczeli znów na mandolinach, zrywali się, krzyczeli *olle*!... i siadali z impetem na krzesłach. Za niemi chwiały się papierowe dęby, rozpięte na połatanych siatkach. Z jednéj kulisy widać było wypomadowaną głowę jakiéjś sługi, która się wysuwała z krzaka nadzwyczajnych róż i patrzyła na hiszpanów wyłupiastemi oczyma.

Nagle jeden z hiszpanów podniósł się i zaczął tańczyć, bijąc się tamburynem po karku, po nosie, po głowie, po udach, po kolanach, po piętach... Szarpał się, rzucał, jakby zdjęty epileptyczną drgawką. Publiczność śmiać się zaczęła i bić frenetyczne brawo.

Piękno przemawia zawsze do dusz ludzkich...

Hiszpan wierzgał, rzucał się, tamburyno dzwoniło, mandoliny brzęczały. Nagle wszystko ucichło, hiszpanie uciekli, kurtyna zapadła. Antrakt się rozpoczął. Wielohradzki powstał i umyślnie nie śpiesząc się, powoli, wysunął się z balkonu.

Gdy wychodził na kurytarz, serce mu biło gwałtownie. Stanio już stał pod ścianą, tuż obok kołków z paltami, lecz nie był sam. Kilku kasynowców otaczało go. Zobaczywszy Wielohradzkiego, zbliżyli się ku niemu. Szybko Stanio wyłożył mu rzecz całą. Kasyno ma zamiar wydać piknik, chcąc odwdzięczyć się za karnawałowe przyjęcia. Hrabia Dezydery daje do dyspozycyi swoje apartamenty. *Enfin*, będzie to

bal w całém słowa tego znaczeniu. Chodzi teraz o to, aby Wielohradzki przyjął prowadzenie tańców i zajął się przyborami do kotyliona. Trzeba wymyślić jakieś figury, dekoracye, *enfin*, urozmaicić i uświetnić zabawę...

Otaczali go teraz dokoła wytworni, grzeczni, mówiący pomału i dobrze, zaokrąglonemi frazesami. Biła od nich jedynie woń doskonałéj wody kolońskiéj, i to użytéj w niezmiernie dyskretnéj dozie.

Wielohradzki, oszołomiony, porwany swoją manią, upomniał już o Fikalskim i o swoich postanowieniach.

— A rozmiary sali? — zapytał, marszcząc brwi i gryząc usta.

Stanio mu coś odpowiedział, lecz on nie dosłyszał jego odpowiedzi, tak go przed chwilą wypowiedziane przez niego samego słowa niemile targnęły.

Mimowoli powtórzył frazes Fikalskiego. Spojrzał na stojących dokoła mężczyzn, sądząc, iż spotka się z ironicznemi uśmiechami, źle ukrywanemi pod maską chłodnéj grzeczności. Lecz oni zdawali się nie spostrzegać jego zakłopotania. Jeden tylko hrabia Charłupko, brat pięknéj Orzeckiéj, duży rozłosły blondyn o olbrzymich cygańskich źrenicach, patrzył z góry na Wielohradzkiego i zdawał się przeżuwać jakieś szyderstwo w złotych kędziorach swéj brody.

Wielohradzki próbował oponować.

— Dlaczegoż ja?...—pytał niepewnym głosem—

dlaczego nie kto inny?.. wierzcie mi, jestem zmęczony!.. Zresztą *c'est une corvée!..*

— Wiemy, wiemy! . ale nie możesz nam odmówić téj grzeczności.

Wielohradzki wobec tych rasowców, tak doskonale wychowanych i ułożonych, głoszących swój dobrobyt każdym ruchem, przejrzystością cery, krojem odzieży, nie śmiał nawet wyciągnąć postaci Fikalskiego — trywialnéj lalki mieszczańskiéj — zastawić się nią dla usprawiedliwienia swego wahania.

Rzucił jednak z nieśmiałym uśmiechem:

— Cóż więc?.. mam już tak na całe życie pozostać waszym... Fikalskim?

Lecz ci panowie zagłuszyli go protestacyami.

— Cóż znowu?.. oni poprostu proszą go o oddanie im najwyższéj przysługi, wzięcia na siebie najważniejszéj części balu. Zresztą, tu niéma porównań, to śmieszne, jakże można nawet mówić o Fikalskim z powodu ich prośby...

Wielohradzki, podbity, ujęty, uśmiechał się głupkowato.

— Zresztą .. *mon cher* — wyrzekł Stanio, ujmując go uprzejmie pod ramię — musimy przecież wszyscy rozebrać pomiędzy sobą ciężar pracy, który z urządzaniem tego balu na nas spada. Ja zajmuję się dekoracyą salonów, Charłupko winami, Bodrowski kolacyą, Dezydery usługą — słusznie, że ty tak-

że z nami ten trud podzielisz. *Entre nous*, musi być zupełna równość pod względem pracy, inaczéj...

Nie dokończył zdania, lecz owo *entre nous* podbiło do reszty Wielohradzkiego. Tak Stanio, miał słuszność. Należało, aby każdy pracował wedle sił swoich i zdolności. Rozjaśniony już i rozweselony, przyrzekł wynaléźć nowe figury kotyliona. Prosił tylko o kilka dni czasu i *crédit illimité*. Przyznano mu ów kredyt jednomyślnie, zastrzegając wszakże, aby nie chciał rozdawać damom dyademów sadzonych perłami i szafirami. Wielohradzki protestował... cóż znowu! wystarczy kilkadziesiąt łokci gazy, tyleż kaszmiru i pomoc teatralnego dekoratora.

Ożywiał się i uśmiechał tajemniczo. Widząc jednak, że Charłupko, który w téj całéj grupie uchodził za filozofa (czytywał w biurze Platona), patrzy na niego ironicznie, pożegnał się i powrócił na balkon. Wchodząc, prostował się dumnie i oczyma po sali wodził.

Loża zajmowana przez Muszkę i Orzecką była pusta. Wielohradzki wychylił się i dostrzegł, że bukiet Muszki, lornetki, płaszcze — wszystko znikło. Obie kobiety wyszły i odjechały na raut do księżnéj Malenżyny. Tak przynajmniéj zapewnił go Kafthan, który zaszedł na chwilę do „końskiéj loży" i nasłuchał się plotek robionych w głębi przez całą paczkę starszych członków kasyna. Jeden tylko Me-

lunio, prosty, sztywny, ufarbowany, sterczał ciągle na swém krześle jak drogowskaz na pobojowisku.

Wielohradzki cofnął się w głąb i ze drzwi wejściowych patrzył na scenę. Rozpoczął się akt drugi — Fikalski wprowadził swoją galeryę „froterów" — Wielohradzki ramionami ruszał. Może tam gdzieś u małych mieszczan zdarzają się takie typy Fikalskich, on jednak figur podobnych nie znał!.. Mimowoli prostował się, tors wydymał i przybierał ironiczny wyraz twarzy Charłupki. Obok niego stojąca bileterka, stara Matulowa, podobna do jakiéjś poczciwéj szewcowéj w swéj beżowéj szaréj sukni, czuła się sterroryzowaną pogardliwemi minami tego „młodego pana".

Niesmak Wielohradzkiego wzrósł do potęgi, gdy weszła na scenę Ciuciumkiewiczowa ze swemi czterema córkami. Jedna z nich łudząco przypomniała mu Tecię. Ten sam jersey czerwony z białą „kamizelką", spódnica, poddarta z przodu i wlokąca się z tyłu, ta sama krédowa bladość twarzy i szeroko otwarte wielkie czarne oczy.

Wspomnienie téj dziewczyny łączyło się u niego z przypomnieniem smutnéj i tajemniczéj egzystencyi, jaką pędził w domu. Mimowoli wzrokiem pogonił w stronę loży, w któréj niedawno jeszcze siedziała Muszka. W téj pustéj przestrzeni jednak pozostało

jéj widmo strojne, piękne, powabne i tak chłodem swym i spokojem ciągnące. Nagle Fikalski za sceną przeraźliwie zaczął:

— *Grrrrrrande chaîne!..*

Wielohradzki oddał Matulowéj lornetkę i uciekł z teatru.

III.

Nie był to wszakże zły charakter, ani serce w nim nie przeszło w stan znieczulenia. Owszem — miał serce i dość łatwe do sentymentu, a nawet do romantyczności. Lecz nazwisko, które nosił, dawne mienie stracone przez dziada, a do reszty zaprzepaszczone przez ojca, było pierwszym fałszywym motorem jego postępowania. Nazwisko to brzmiało ładnie, pełno, szlachecko i domagało się nawet tytułu hrabiowskiego —przydomka bodaj krótkiego, trochę rycerskiego, przypominającego topory na purpurowém polu, ręce z mieczami na lazurze obramowanym gronostajami paludamentu.

I historya to była banalna napozór, to spadnięcie na bruk Lwowa téj wdowy po „obywatelu" z ładném, zgrabném chłopięciem. Z resztek wydartéj od ostatecznego ogołocenia fortuny zaczęło się łatanie edukacyi Tadzia, edukacyi bez żadnego nakreślonego planu, ani z góry obmyślonego projektu.

Wielohradzka wiedziała, iż należy dziecko „dobrze wychowywać" i „wykształcić" — a więc gimnazyum — gimnazyum bezmundurowe, pełne pretensyi do elegancyi małych gogusiów, zaprawiających się na ławkach szkolnych do objęcia później roli „sztucerów", „kibiców" i „gigerlów". Wielohradzka ubierała syna swego dobrze, strojnie, czysto, zdejmując zeń tę wykwintną odzież, gdy tylko wszedł na próg domu, czyszcząc, cerując, łatając nocami całemi. Chłopak, tak ubrany i noszący takie nazwisko, nie mógł przestawać z kolegami, noszącymi czapki z daszkiem i długie buty, lecz ciągnął, pchany instynktem i radami matki, ku Staniom Pozbitowskim, Charłupkom, książętom Malengom, zajmującym pierwsze dwie ławki w klasie. Chłopcy ci uczyli się dobrze, siedzieli cicho, nie krajali pulpitów scyzorykami i mieli czyste ręce z dobrze obciętemi paznogciami. Nie grali w „stalki", nie kradli książek, nie chowali żab i kokonów w głębi pulpitów i nie brali udziału w ordynarnych farsach, urządzanych profesorom.

Tadeusz, który miał charakter kobiecy, spokojny na pozór i lubiący czystość, porządek i piękno, szybko zbliżył się ku „tym z arystokracyi". Przyjęli go uprzejmie ze względu na nazwisko i piękne maniery. Tadek instynktem odgadł i zrozumiał różnicę, jaka była pomiędzy nim i temi dziećmi.

Właśnie wówczas Wielohradzka, widząc, iż szczupły jéj kapitał wyczerpuje się zupełnie, zabrała się

do krawieczyzny, starając się znaléźć sobie w tajemnicy kilka pewnych klijentek, nieznających się pomiędzy sobą i nienależących do „towarzystwa". Urodzona bowiem z bardzo rasowéj rodziny, nie chciała, aby ktokolwiek wiedział o jéj poszukiwaniu zarobku, wiedziona tym fałszywym wstydem, który był częścią jéj charakteru.

Ten wstyd pracy powoli przeszczepił się i w duszę Tadeusza. Widząc, iż matka kryje się ze swą krawieczyzną, nawet przed sąsiadami i osobami zamieszkującemi tę samą, co i oni, kamienicę, zaczął i on wstydzić się téj pracy. Z początku nigdy w szkołach nie mówił o swym domu. Późniéj kłamał, podniecony tém, co słyszał z ust Charłupki, Pozbitowskiego i innych. Chłopcy ci mówili pomiędzy sobą o swych domowych stosunkach z wielką swobodą. Znali się pomiędzy sobą od dziecka i należeli do téj saméj sfery towarzystwa. Wielohradzki sprytnie pochwytał niektóre szczegóły i z nich zlepiał i sztucznie budował dom fikcyjny, w którym niby to przebywał. Ci i drudzy, widząc go zawsze odzianym tak starannie, ułożonym dobrze, nie troszczyli się o resztę.

Co więcéj, Wielohradzki imponował im często pieniędzmi, które matka dawała mu na „drobne wydatki". Była to jedyna wyższość, jaką miał nad swymi przyjaciółmi. Nadużywał więc jéj, wyłudzając od matki znaczne (jak dla dziecka) summy.

Gdy skończył gimnazyum i zdał maturę, Wielo-

hradzka poradziła mu uczęszczać na... prawo, gdyż prawo według niéj było o wiele dystyngowańsze niż medycyna. Lecz prędko dawnemi stosunkami zdołała wkręcić go do namiestnictwa. Była to według niéj... karyera. Rzecz pewna, awanse—starostwa... kto wié, przy sprycie, powierzchowności i stosunkach, gdzie zajść można!.. I roiła już całe niebo doskonałości dla swego jedynaka. Zachęcała go całą siłą do uprawiania daléj zawiązanych w gimnazyum stosunków. Wprowadziła się na ulicę zamieszkaną „dobrze", aby Wielohradzki mógł dać swój adres bez zarumienienia się. Nie przyjmowali jednak u siebie nikogo, zostawiając się jéj nieuleczalną i ciężką chorobą. Dniami i nocami szyła teraz, potrzebując wiele ze względu na wydatki, jakie pociągało „bywanie w świecie" Tadeusza. Lecz owo „bywanie" stanowiło dla niéj wielką pociechę. Według niéj — stosunki! stosunki!.. to była podstawa karyery Tadeusza.

Skoro Wielohradzki wyrobił sobie owe stanowisko wodzireja i zaczął być rozchwytywanym w salonach, ze względu na prawdziwie genialne zdolności w manewrowaniu tańcami; Wielohradzka nie posiadała się z radości. Bez najmniejszéj logiki, bez chwili zastanowienia się, cieszyła się z owych „stosunków", jakie syn jéj wyrobi sobie, prowadząc mazury i kotyliony przy dźwiękach orkiestry. Dziwiła się tylko, że awansował powoli. Dlaczego? —

przypisywała to brakowi jeszcze odpowiednich stosunków, lecz pocieszała się, iż to przyjdzie.

Tymczasem Tadeusz, w otoczeniu, w jakiém przebywał, powoli wyrobił się na zgrabną lalkę, doskonale wygimnastykowaną, mającą pewien gust artystyczny w aranżowaniu tańców i poetyzowaniu figur kotylionowych. Próżność jego wzrosła, mózg przestał się rozwijać. Lecz próżność ta rozwijała się tylko w podwójnym kierunku, a mianowicie: w noszeniu wykwintnéj odzieży i w królowaniu tanecznem podczas balów, a nawet najzwyklejszych „kręciołek", na których boston zastępował kotyliona. Szło mu usilnie o zdobycie jaknajwiększéj ilości orderów, lecz nie dbał, czyje ręce mu ten order przypinały. Kobiety w sali balowéj istniały dla niego o tyle, o ile istnieją pionki, posuwane wprawną ręką gracza na kwadratach szachownicy. Było to jego „ciało baletowe", którego on był mistrzem. Kokieterya stroju, jaką roztaczał, była to kokieterya kobiety, ubierającéj się zarówno dla olśnienia kobiet, jak mężczyzn.

Zresztą kobiety nie zwracały nań zbytecznéj uwagi w salonach. Wiedziano, iż nie był bogaty, iż nie był to *epuzer*: nie liczył się więc dla panien; a dla mężatek nie przedstawiał ponęty przewrotnego flirtu. Wiecznie biegający, ustawiający pary i krzesła, zaaferowany, nie miał czasu na przedwstępne kokieterye.

Pierwsza Muszka wyróżniła go i pierwsza też to była jego *bonne fortune*'a, i to... królewska. Olśniony, nie wierzący samemu sobie, rzucił się na oślep w otwierającą się przepaść. Lecz charakter jego uległ wielkiéj zmianie. Poprzednio, powróciwszy z biura, zakreślał arkusze papieru nowemi kombinacyami tańców, olśniewał matkę i Tecię opowiadaniami o przetańczonych wieczorach, lub leżał na łóżku, czytając powieści historyczne.

Była to jego pasya, te powieści historyczne, które pożerał z ciekawością młodéj mężatki, czytającéj po raz pierwszy zakazane romanse francuskie. Wyobraźnią autora gnany, galopował na dzianetach i kruszył kopie lub z muszkieterami dokonywał cudów waleczności. Gdy wstawał późniéj z łóżka i szedł do wypicia wieczornéj herbaty, miał w oczach chętkę okrucieństwa i pragnienie dokonania jakichś nadzwyczajnych czynów. Chętka ta rozpływała się w parze buchającéj z samowara i roztapiała się w maśle, którém Tadeusz grubo chléb smarować lubił.

Czasem jednak, nie mogąc, jak ongi rycerze, spadać z warownych zamków i niszczyć okolicznych pól, rzucał się jak jastrząb i terroryzował Tecię i matkę, szeleszcząc skrzydłami swych kaprysów. Lecz szybko, widząc, iż przebrał miarę, stawał się kobietą układną i miłą, uśmiechał się, przymilał i swemi błękitnemi, wypukłemi oczyma o przebaczenie prosił.

W téj ciasnéj przestrzeni nędznego mieszkania był słońcem i chmurą, wszechwładnym panem.

Żył tak w cieple uczucia matki i bałamuconéj przez siebie dziewczyny, nie troszcząc się o prądy, które społeczeństwem wstrząsały. Nie zajmował się nawet polityką i rzadko czytywał dzienniki. Nie był nawet „karyerowiczem" i nie łasił się, nie prosił o awans. Wielohradzka od czasu do czasu rozniecała w nim chętkę „dojścia", lecz szybko ta myśl suggiestyonowana gasła w tym ptasim mózgu, przysłoniętym gazą kobiecych kaprysów.

Nawet wybuchy jego gniewu były to półcienie, półtony. Od dziecka był to pastel delikatnemi barwy nakreślony. Próżność dzwoniła dokoła jego głowy, jak grzechotki tamburyny, które znosił do domu nad rankiem razem z innemi akcesoryami kotyliona.

Lecz z chwilą zbliżania się do Muszki, charakter jego zaostrzył się i pastelowe tony pociemniały nagle. Z początku zdziwiony, zdenerwowany tém zdziwieniem i niepewny, teraz szarpał się w jakiémś kole tajemniczéj zagadki, którą biała ręka panny Dobrojowskiéj zakreśliła dokoła jego postaci. Nie kochał jeszcze Muszki, nie umiał jeszcze kochać, lecz biegł za nią, czując dwuznaczną rolę i grę w jaką ta dziewczyna z nim grać zamierzała. Lecz próżność jego szczególniéj była tu podrażniona chorobliwie i, jakkolwiek strzegł się, aby nikt nie odkrył początku téj

intrygi, niemniéj przeto miłość jego własna czuła się przyjemnie podnieconą. Tém więcéj zatém rozumiał nagłe kontrasty, w jakie bezustannie rzucała go fantastyczność panny Dobrojowskiéj.

Mając niezmiernie impulsywny charakter, przejmował mimowoli ową nierówność postępowania i jak piłkę odbijaną rzucał ją na głowę matki i Teci. Lecz teraz były to już razy bolesne i kobiety zaczynały cierpiéć dłużéj i silniéj. On — pogrążony w swym egoizmie ładnego narcyza — pół chłopca, pół dziewczyny, nie wiedział nic, wiedzieć nie chciał, włócząc się teraz po ulicach, po kątach mieszkania, milczący, to znów nadmiernie i głupio gadatliwy, wyszukując powody do gderania, do złości—lub przeciwnie, objawiając nagle jakieś radosne uniesienia, które zakrawały na początki ataków nerwowych.

Wielohradzka z trwogą śledziła ten dzwoniący spazmatycznym śmiechem głos w powietrzu.

Ojciec Tadeusza był człowiekiem niezmiernie nerwowym; dziecko odziedziczyło poszarpane struny nerwów po ojcu. I był w tym chłopcu cały prąd wieku wspaniałego i cudownego w swych nierównych wątpliwościach, lecz prąd ten płynął głupio, smutno, bezwiednie, w ciele ładnéj lalki koryto swe żłobiąc. Był to okaz „schyłkowca", bardzo prosty, naturalny i nieskomplikowany — zwyczajny nerwowiec o duszy kobiecéj, z odcieniem silnego egoizmu ładnego mężczyzny, romantyk i fantasta, lubiący wojownicze le-

gendy, świeże masło, frak ładnie skrojony i wytworne towarzystwo.

Nie miał żadnych potwornych ani zwyrodniałych zachcianek, dalekim był od gorzkiego pessymizmu, pomimo, iż bynajmniéj nie był optymistą.

Posuwał się po szachownicy życia jak zbyteczny pionek, który jednak nieraz służyć może do zamaskowania pustego miejsca. Wiatr lotosu kołysał nim na prawo i lewo—dłoń matki usuwała mu z pod nóg przeszkody. Ze wspaniałych salonów wpadał nagle do nory czystéj lecz biednéj, nazwanéj jego domem. Miał ciągle olśnienie krótkowidza, wtrąconego do piwnicy i wyrzuconego w snop słonecznych promieni. Nie miał czasu nawet zastanowić się nad swém położeniem. Był Twardowskim społecznym, zawieszonym między niebem a ziemią. *Ave Maria* ocaliło czarownika, *Ave Maria* pracy jego matki i próżność jéj utrzymywała go na tych pasach tanecznych, które kołysały nim w społecznéj przestrzeni. Przywykł do tego kołysania, i dopiéro w chwili zbliżania się do Muszki zaczął szarpać się, nie czując gruntu pod stopami. Lecz było to jeszcze poczucie niewyraźne, do którego przyznać się przed sobą nie chciał.

Przestał jednak czytać powieści historyczne i miał nierówny apetyt. Coraz częściéj spoglądał na oświetlone okna kasyna, do którego na członka dostać się nie mógł.

Zaczęło go już coś gryźć pod sercem i chwilami

zdawało mu się, że stoi na jakiéjś trampolinie, z któréj ma skoczyć w przepaść. Wychodził wtedy na ulicę i szedł napuszony, z miną zblazowanego światowca. Daleką jednak w gruncie rzeczy była ta lalka od gangreny zużycia. Ciało było czerstwe, zdrowe, muskuły gimnastyką taneczną wyrobione — dusza młodego szlagona z pewnym pokostem wyszlifowanego światowca. Lecz zepsucia, zużycia, nie było śladu. Próżność, kokieterya specyalna, płytkość umysłowa, egoizm, zmieszany z tém, co ludzie zowią dobrém sercem, stanowiły podstawę charakteru Wielohradzkiego. Lekkość baletnika, uroda lalki, czar kobiecy, choroba woli, impulsywność dziwaczna, hypertrofia przy najzupełniejszym zastoju umysłowym kryły ten charakter welonem chorobliwego wdzięku.

IV

Puściwszy w ruch walca tańcujące koło, Wielohradzki usiadł na złoconém krzesełku i otarł pot z czoła.

Przed nim wirowała tęcza barw, układająca się w faliste linie, łączących się z sobą par. Orkiestra, ukryta po za lasem palm i oleandrów, grała dyskretnie, jakby nie chcąc płoszyć kręcących się w smugach elektryczności postaci kobiet, z których spływała ku ziemi biel lub błękit gaz, rubin aksamitów i szmaragd jedwabiu. Cały szereg okien szeroko otwartych pozwalał majowéj nocy, czarnéj i ciepłéj, wpływać swobodnie, poruszać drganiem wiatru jedwabie kotar, zwieszających się ze ścian perłowo liliową kaskadą przepysznéj tkaniny lugduńskiéj.

Snopy róż i bzu o srebrnych odcieniach więdły teraz na głowach czterech marmurowych nimf, stojących w czterech rogach sali. Wachlarze elektrycznych lamp po nad pękami kwiatów rozkładały się

olśniewającą koroną, a u sufitu, na którym złocił si niezwykły plafon w stylu Ludwika XVI-go, bogaty i bogactwem tém przygniatający, śmiały się w purpurę odziane boginie z palmami w dziwacznie skróconych rękach. W oddali bielił się olbrzymi komin, biały marmurowy, szeroko otwarty, podparty dwoma potworami o mistycznie zasmuconych twarzach.

I po nad kominem portret samego pana domu, Dezydyrego Dobrojowskiego, stryja Muszki, zdawał się dominować po nad całym tłumem gości. Elektryczność oświetlała silnie płótno, wydobywając zeń maskę twarzy starego kawalera, bladą, o rysach regularnych, cokolwiek zepsutych tłuszczem i opadnięciem muskułów. Ordery i wstęga błękitna, przepasująca kamizelkę, imponowały zdaleka.

Pod portretem, w wielkiéj żardinierce z rueńskiego fajansu, kwitły heliotropy i białe gwoździki, tworząc u stóp dygnitarza cały parter delikatnych barw I,była to dewiza życia tego człowieka: słać pod swe stopy wdzięk i czar życia. Kobiety, kwiaty, przepych, uśmiechy, woń i barw tęcza otaczały go dokoła. On życie swe kończył teraz spokojnie, bez wstrząśnień i wrażeń, żyjąc wspomnieniami swych dawnych miłostek i czarem chwili obecnéj, czarem platonicznym, kąpiąc się w atmosferze piękności i uśmiechach kobiet, których był powiernikiem i przyjacielem.

Najchętniéj oddawał swe wykwintnie urządzone apartamenty na usługi dam, i piknik dzisiejszy od-

bywał się w jego salonach pod jego protektoratem i opieką. Poprzednio wydał Dobrojowski już bal dla tego samego składu towarzystwa, i dziś ze spokojném już sumieniem i uśmiechniętą twarzą bawił „starsze panie", zebrane w sali gobelinowéj.

Wielohradzki uważnie patrzył na tańczących, jak wódz, gdy rzuca w gorączkę bitwy garść ulubionéj swéj gwardyi. Czynił to już poniekąd z nałogu, bo walcem kierować nie mógł, zwłaszcza, że walc ten był prostym, wiedeńskim, rozmarzającym walcem. Lecz oczy Wielohradzkiego mimowoli ciągnęły zawsze za kołem taneczném.

Przed nim, jak maryonetki zgrabne i strojne, kręciło się par kilkanaście i czarne postaci mężczyzn ostro odcinały się na tle jasnych tualet kobiecych. Tańczyły przeważnie panny, i barwy blade, spłókane, nieśmiałe przeważały. Gazy, muśliny, jedwabie i tiule fruwały jak skrzydła olbrzymich libelul, o cienkich kibiciach i kapryśnych a błyszczących ciałach. Gdzieniegdzie czerwony frak migał jaskrawo, lub światło migotało snopem iskier w złotych blaszkach, któremi naszyta była suknia Orzeckiéj. Lecz natychmiast następowała cała fala bladego błękitu lub morze zieleni przeciętéj różowawą barwą miękkiego fularu. Jaskrawe barwy tonęły w tej bladéj powodzi.

I tylko od sufitu złociły się sztukaterye i spadało ciężkie wyzłocenie olbrzymiéj rozety, dokoła któréj boginie w purpurowych sukniach taneczne zakreślały

koło. I ci tu na dole, biali i bledzi, jak wianek opali, zdawali się być poranną mgłą, rozpływającą się wśród delikatnéj zieleni palmowych liści, gdy u góry płomienne szaty, podkreślone złotem i zielenią, tryumfowały w apoteozie jasności elektrycznéj wraz z portretem starego kawalera, gniotącym stopami usuniętego w cień dyplomaty klomb wielkich heliotropów, przeciętych bielą rozstrzępionych i ostro woniejących gwoździków.

Wielohradzki oderwał oczy od tańczących i zaczął błądzić niemi po sali, szukając Muszki.

Dostrzegł ją w chwili, gdy wychodziła z sali balowéj do przyległego salonu. Zdawało mu się, iż stanęła we drzwiach i nie patrząc w jego stronę, zatrzymała się tak krótką chwilę na progu, jakby pragnąc, aby widział, że wychodzi do *Petit Trianon*.

Porwał z się z miejsca, lecz pozostał tak pod ścianą, nie śmiąc iść za tą dziewczyną, która dziś szczególnie działała na niego w dziwny sposób.

Stał i patrzył na drzwi otwarte szeroko, prowadzące do małego przedsionka, z którego było wejście do saloniku i gabinetu, nazwanego, z powodu stylowego umeblowania, *Petit Trianon*.

Patrzył i wejść nie śmiał. Od samego początku wieczora Muszka unikała go widocznie. Nawet oczy ich nie zdołały się spotkać. I gdy już ogarniała go nerwowa rozpacz na widok téj lodowatéj obojętności, uczuł nagle w *chaîne* w kadrylu gorący uścisk

jéj ręki. Zanim ochłonąć zdołał z doznanego wzruszenia, Muszka znikła w tłumie płynących, jak w deptaku, tancerzy.

Po kadrylu zbliżył się do niéj, pragnął zawiązać rozmowę, lecz ona szybko odeszła, zajęta jakąś tajemniczą konferencyą ze swym kuzynem, Jerzym Malenim, olbrzymem, łysym, pomimo młodego wieku, pełnym powagi i słoniowéj dystynkcyi.

Wielohradzki uczuł się znów na rozdrożu i zaczął wmawiać w siebie, iż uścisk ów był tylko przywidzeniem jego zmęczonéj fantazyi, i z goryczą śledził białą suknię Muszki i kask jéj rudych włosów, w których światło zapalało rubinowe iskierki.

U pasa Muszka miała bukiet malw prawie czarnych, malw dziwacznych, o wielkich liściach, jak skrzydła nietoperzy, i te drżące delikatne płaty czarne o miedzianych blaskach żałobnie znaczyły się na atłasie białego pasa, jakim suknia Muszki ściśnięta była.

I suknia ta nie była suknią, ale raczéj jakąś olbrzymią massą bieli, opadającéj fałdami ku dołowi, falą tkaniny przezroczystéj, a mimo to zazdrośnie kryjącéj doskonałą jéj piękność. Z ramion, z gorsu suknia ta zlatywała, odnażając atłas skóry i delikatne zarysy biustu, i zdawało się, że lada chwila draperya spadnie i Muszka wykwitnie z téj śnieżnéj chmury, odziana jedynie w płaszcz swych włosów o miedzianych iskrach, które także rozlatywały się,

zaledwie spięte strzałą, na której rubiny monogram hrabianki krwawą gwiazdą światu głosiły.

I w ubraniu tém — rozebrana, dziwnie czysta a mimo to niepokojąca, Muszka miała w sobie spokój prawie anielski, pogodne spojrzenie zadowolonéj ze siebie i ze świata istoty. Tańczyła mało i od czasu do czasu spoglądała w lustro. Z widoczną przyjemnością zatrzymywała wzrok na swéj własnéj postaci. Był to rodzaj niemej kontemplacyi, cichéj, lecz wymownéj. Nie poprawiała jednak ani jednego włosa, nie nasuwała spadających z ramion, modą 1830 roku, rękawów. Stała przed lustrem i patrzyła na siebie spokojnie z pod przysłoniętych powiek. Widoczne było, iż znajdowała się doskonale piękną i harmonijną. Mówiła jeszcze mniéj, niż tańczyła, i obchodziła salony, obnosząc swą twarz pięknego bożyszcza tak, jakby sama się niosła w palankinie, wysadzanym brylantami. Czasem, przechodząc, uśmiechnęła się, lecz był to uśmiech sztuczny, odsłaniający jedynie doskonałą piękność drobnych zębów. I natychmiast twarz powracała do swéj nieruchomości, gdy włosy, rozrzucone dokoła, tańczyły szaloną sarabandę, a suknia zsuwała się z ramion, jak szata tańczącéj odaliski.

I tak dziwny i niepojęty był kontrast téj twarzy, marmurowo spokojnéj, ze sposobem ubrania i całego układu postaci, iż on to wytwarzał właśnie ową niepokojącą i denerwującą atmosferę, która jak fluid

płynęła od téj dziewczyny i przenikała wszystkich, zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

Niepokój ten często zmieniał się w pewien rodzaj trwogi. Sztucznie wybielona twarz panny Dobrojowskiéj, objęta ramą rudych włosów, zadziwiała i przerażała swoją pięknością. Był to kwiat egzotyczny nieznany i tajemniczy. Chód jéj ślizgający się, taneczny kołysał jéj ciałem wiotkiem jak łodygą lilii. I twarz miała białość lilii, lecz, nie tych rosnących na moczarach, ale sztucznie wychodowanych i centkowanych tygrysiemi pręgi. Biła od téj dziewczyny woń takiéj lilii, pomieszanéj z zapachem angielskich dzikich perfum jabłecznych. Chwilami woń ta była wprost odurzająca. Lecz zwykle tworzyła dokoła Muszki rodzaj niewidzialnego obłoku, ciągnącego jeszcze po zniknięciu kobiety swój tren komety tajemniczéj, echa przeciągłego, błąkającego się w cieniu, resztki piosenki dolatującéj zdaleka, pod z zasłon mgły górskiéj, opadającéj białemi szmatami na powierzchnię drzemiących w rozpadlinach stawów skalnych.

Wielohradzki stał wciąż oparty o ścianę, niepewny i wahający. Czuł nerwową częścią swéj istoty, iż coś go ciągnie do uroczych zakamarków *Petit Trianon*, a iść tam nie śmiał. Patrzył więc znów na tańczące grono i machinalnie liczył wirujące pary.

Chwilę zatrzymał swój wzrok na Orzeckiéj, tańczącéj ze Staniem Pozbitowskim. Kobieta ubrana

była w suknię blado-liliową, haftowaną złotem. Delikatne jéj ramiona, ramiona porcelanowéj lalki, ubielone lekko różowym płynem, wysuwały się całe z berty, opadającéj szeroką falbaną aż do stanu, który, wbrew zwyczajowi, Orzecka nosiła wysoko, na wzór elegantek z czasów Restauracyi.

Czarna sylwetka Stania, ubranego we frak, krótkie spodnie i jedwabne pończochy czarne, odcinała się ostro na tle blado-liliowéj gazy. Często szeroki szmat sukni centkowanéj złotem owijał nogi tancerza i okrywał je chmurą niepewnéj barwy. I wówczas widać tylko było tors Stania, tors wykwintny, elegancki, który zdawał się w tajemniczy sposób planować w przestrzeni.

I dalej Wielohradzki dostrzegał wciąż znajome od lat tylu postaci —Charłupki, tańczącego z Lili Dalewską, Malewicza z Muszką Oleksińską, Sewera Drunickiego z jedną z księżniczek Hohensteigen Higmeringen. Pod ścianą stał Kafthan, odziany w czerwony frak i czarne pończochy, rozkładając na tle srebrzystéj materyi, okrywającéj ściany, swe rozrosłe plecy niezgrabnego niemca, wypierającego się swego pochodzenia. Stał pochylony, ciężki, smutny, śledząc przygasłemi oczyma tańczące grono. Tańczył źle, a bojaźń drwin „kasynowców", którym służył za rodzaj ofiarnego kozła, nie dozwalała mu próbować sił i nabrać wprawy w tańcu.

Wielohradzki chwilę krótką patrzył na niego

przez odległość salonu, i nagle uderzyła go myśl zbytecznéj obecności Kafthana wśród téj „śmietanki" towarzystwa. Jego odosobnienie, brutalna jakaś żałoba, którą wlókł za sobą pomimo jasnéj barwy odzieży, miała w sobie coś tragicznego. Pchany przez rodziców, wiedziony chęcią próżności, pozwalał deptać po sobie falandze tych motyli o barwnych skrzydłach różowego Pierrota. Nie odrzucał nigdy żartów, które jak grad spadały na jego głowę. Bał się urazić któregokolwiek z „kasynowców". Przyjęto go na członka kasyna, gdyż przedstawił go hrabia Dezydery i dlatego, że w długie wieczory zimowe można było drwić z niego, robić plotki, bawić się jego kosztem i zabijać jego czas. On — znosił to wszystko, pochylając ramiona z mrukliwą obojętnością chłopca lub pajaca, przyzwyczajonego do pocisków rozbawionego tłumu, i tylko oczy wielkie, wsunięte w głąb, ciemniały mu chwilami i nikły w tém pociemnieniu, jak oczodoły w czaszce trupa.

Nagle ze drzwi prowadzących do *Petit Trianon* wysunął się hrabia Dezydery. Jako gospodarza domu, pełno go było wszędzie. Zjawiał się nagle, jakby wypchnięty z pod ziemi niewidzianą sprężyną. Stanął na progu, oczy zmrużył i widocznie kogoś szukał. Już Kafthan uśmiechał się blado i oczekiwał na jakieś uprzejme słowo, gdy nagle hrabia minął go i wprost ku Wielohradzkiemu zmierzał.

Tadeusz oczekiwał go, prostując się i starając

przybrać jaknajkorzystniejszą pozę. Hrabia Dezydery był wyrocznią młodzieży lwowskiéj. Wielohradzki cenił go niezmiernie ze względu na jego szyk, gładkość obejścia i umiejętność artystyczną wydawania pieniędzy; lecz dziś szacunek ten spotęgowało jeszcze pokrewieństwo hrabiego do Muszki. Hrabia bowiem zastępował Muszce ojca i był jéj opiekunem.

Dezydery, manewrując pomiędzy tańczącymi, docierał powoli do Wielohradzkiego. W drodze znalazł uprzejme słowo i wdzięczny uśmiech dla każdéj z wirujących dam, a Orzecką pobudził nawet do chichotu rzuciwszy jéj w przelocie jakiś dowcip słodki, miły dla ucha, jak dźwięk menueta.

Wielohradzki miał ochotę podejść i ułatwić w ten sposób Dezyderemu zbliżenie się, lecz zdjęty respektem nie śmiał wyrywać się, bojąc się pomylić i wywołać wrażenie narzucania się swoją osobą.

Nareszcie hrabia stanął przed nim i z nadzwyczaj uprzejmym uśmiechem zaczął po francusku, zaokrąglając usta, dokoła których wygolona skóra układała w tysiączne zmarszczki:

— *Je viens de la part de ma nièce* ..

Urwał, jakby sądząc, że Wielohradzki może nie umie po francusku, gdyż hrabia był niezmiernie sprytny i szybko w sytuacyi każdego człowieka oryentować się umiał.

— Siostrzenica moja p*h*osi pana!...– dodał już po

polsku, lekko *r* zmieniając na *h* — p*h*osi pana, ażebyś przyszedł do *Petit Thianon*. Złożyliśmy tam akceso*h*ia kotylionowe i Muszka p*h*agnie dać panu pewne info*h*macye...

I znów powtórzył:

— Pewne info*h*macye!...

Wielohradzki wyprostował się i skłonił głowę z wielką elegancyą.

— *Parfaitement, monsieur le comte!*— odparł, starając się wymawiać jaknajlepiéj każde słowo — *je suis aux ordres de mademoiselle votre nièce*!

Szapoklak do piersi przycisnął i czekał z szacunkiem, aż hrabia monokl swój przeczyści, włoży w oko i odejdzie, uśmiechając się raz jeszcze jamą swych ust, w których bielały drobniuchne zęby, zęby Muszki.

Wielohradzki dyskretnie zaczął się przeciskać w stronę drzwi, nie śpiesząc się, pragnąc odzyskać zupełnie równowagę, zanim stanie przed Muszką.

Po raz to pierwszy miał spotkać się z nią sam na sam od chwili owéj karteczki, wsuniętéj tak nieostrożnie do bukietu, i przysłania panny służącéj z ustnem poleceniem bytności w teatrze.

Co mu powie? jak go przyjmie? czy wreszcie zdecyduje się rozjaśnić rzuconą przez siebie zagadkę.

Wielohradzki dochodził już do drzwi, gdy grupa, złożona z kilku osób, zatamowała mu drogę. Po nad głowami wszystkich ujrzał górujące, uparte czoło

Kafthana i usłyszał wybuchy dziwacznego spazmatycznego śmiechu.

Staś Malewicz uczepił się teraz Kafthana i wmawiał w niego konieczność tańczenia kotyliona z najmłodszą córką hrabiego X. Kafthan gryzł usta nerwowo i przestępował z nogi na nogę, skrzypiąc nowemi lakierowanemi pantoflami. Ta „najmłodsza córka“ była jego postrachem i grozą.

Malewicz od kilku miesięcy wpadł na myśl wmawiania w Kafthana, iż owa „najmłodsza córka“ umiera dla niego z miłości. Kafthan, w gruncie rzeczy niegłupi, poznał się na żarcie, lecz nie śmiał oponować, nie umiał nakazać milczenia rozbawionemu paniczowi. I wszędzie, ciągle i zawsze, czy to w biurze podczas godzin porannych, czy na nocnéj inspekcyi, czy w kasynie podczas obiadu lub przy zielonym stoliku, czy teatrze, lub na *Schnitzel-Jagdzie*—wiecznie spadała na kark Kafthana owa „najmłodsza panna“. Znienawidził ją i przesuwał się koło téj małéj ormianki z bijącém sercem, schylając nizko głowę, lecz już Malewicz go dopadał i, chichocąc się cicho, urządzał mu ową tradycyonalną „pilę“. Zwłaszcza, skoro przegrał w karty, rzucał się wtedy z całą zajadłością na swoją ofiarę. Wykwintny, wysmukły, przysłowiowo piękny, o stalowéj barwy oczach i popielatych włosach, był graczem nałogowym i wojażował pomiędzy Lwowem a Krakowem, w wiecznéj pogoni za „dobrą partyą“, rozegrywaną na zieloném polu

karcianego stolika. Kafthan często rozpaczliwie śledził wynik gry i stał nieruchomo, wpatrzony w wachlarz kart, wykwitający z białéj ręki Malewicza. Wiedział bowiem, że przegraną on zapłaci, przyjmując w milczeniu pociski ironii, szyderstwa, dziecinne żarty, które zdawały się sprawiać ulgę nieszczęśliwemu graczowi i uspakajać mu nerwy. Gdy zaś przeciwnie Malewicz wygrał znaczną summę, Kafthan oddychał.

Wczoraj jednak grano w kasynie, i to grano wściekle „wielką partyę". Malewicz zgrał się jak włoskie skrzypce. Zgrzytnął zębami raz jeden i chichotać się zaczął. Dawno już stracił niewielkie mienie, jakie posiadał. Żył teraz z gry i nadzieją dobrego ożenku. Porwał więc Kafthana w swe szpony i dręczył żartami. Wielohradzki, przechodząc mimo, posłyszał:

— Musisz pan iść ją zaprosić do kotyliona... musisz pan... albo czekaj — ja to za pana uczynię...

Kilka panienek zatrzymało się opodal i rozbawione, różowe od tańca, patrzyły na Kafthana z po za koronkowych wachlarzy. Pozbitowski wzruszał ramionami. Znajdował, że Malewicz nudzi wszystkich. Trwa to zbyt długo, należałoby już coś innego wymyślić.

Wielohradzki wsunął się szybko do małego saloniku, tak białego, iż zdawał się być cały ulepiony z cukru. W alabastrową dużą urnę wpuszczona lampa rozlewała dokoła łagodny śnieżny blask. W bieli téj świetlanéj rozpływały się delikatne malowidła ścian, *panneaux* o białych tłach, zarzucone

amorkami, różowemi jak zorze, i bukietami kwiatów delikatnych, chorobliwie bladych, wiązanych karbowanemi błękitnemi wstążkami. Bukiety owe, aniołki, wstążki pięły się tak ku górze, ku sufitowi owalnemu, po którym na błękitném tle nieba płynęła nimfa, poprzedzona armią gołębi, motyli i kolibrów. Pod ścianami, na silnie wywoskowanéj podłodze, stały białe meble, pokryte kremową w pasy materyą. W głębi majaczył kominek z różowawego marmuru; na nim statua wysmukłéj Dyany. Po obu stronach dwie wazy z porcelany sewrskiéj, dwa arcydzieła różowe, błękitne, białe, wyniosłe i w liniach swych czyste.

Wielohradzki spojrzał dokoła, lecz nigdzie nie dostrzegł Muszki. Drzwi od gabinetu stały otworem. Cicho, ślizgając się, aby zagłuszyć odgłos swych kroków, doszedł do tych drzwi.

W głębi dostrzegł, nie jedną, ale dziesiątki Muszek, które nieruchome, spokojnie, z rękoma niedbale zwieszonemi po obu stronach ciała, stały obok stosu akcesoryów kotylionowych. I wszędzie, wszędzie powtarzała się ta biała postać zwieńczona koroną włosów o połyskach miedzi.

Na odgłos kroków Wielohradzkiego Muszka odwróciła się powoli. Ten sam ruch powtórzyły też inne dziewczyny białe i tak samo piękne, jak ona, które, skąpane w potoku jasności, zdawały się być jéj orszakiem, jéj świtą posłuszną na każde skinienie. I był to cały las tych młodych dziewczyn, bia-

łych jak brzoza, a smukłych jak sosny, owianych złatującą z nich draperyą, z ciemną plamą ponurych malw w miejscu serca.

Wielohradzki drgnął wobec tego niespodziewanego zjawiska. Stanął niepewny i wahający. Nie wiedział, w którą iść stronę i która z tych dziewcząt jest Muszką prawdziwą. Chwilę sądził, że to jest żart, to znów zaczął wątpić o swych zmysłach. Lecz Muszka, bez uśmiechu, spokojnie wyciągnęła rękę. I las rąk, jak w tajemniczym balecie, wyciągnął się nagle ku Tadeuszowi.

— *Et bien?*...—zapytała wreszcie dziewczyna.

Głos ten ocucił i oprzytomnił Wielohradzkiego.

Zrozumiał, iż gabinet miał ściany lustrzane i że układ tych luster sprawiał owo fantastyczne złudzenie. Śmiejąc się, podszedł ku Muszce. Lecz ona cofnęła już rękę i najspokojniéj zaczęła przerzucać przybory kotylionowe.

— Do czego to ma służyć? — spytała, ukazując cały stos welonów gazowych i lnianych burnusów zrzuconych na kanapkę w stylu *empire*, krytą żółtą materyą.

Wielohradzki starał się odzyskać zupełną swobodę i być tak spokojnym, jak ta dziewczyna, która w téj chwili zdawała się troszczyć jedynie o przybory kotylionowe.

— To moja tajemnica!—odparł, usuwając w głąb welony i burnusy.

— Och! — wyrzekła Muszka — zdawało mi się, że pan nie powinieneś miéć żadnych tajemnic przede mną.

Mówiąc te słowa, powoli podniosła na niego oczy i patrzyła mu wprost w źrenice swemi szafirami z pod długich fryzowanych rzęs o bronzowym od cieniu.

Wielohradzkiemu zabiło żywiéj serce. Po raz pierwszy Muszka uczyniła aluzyę do tego węzła, łączącego ich pomiędzy sobą.

Chciał koniecznie odpowiedzieć coś, coby podtrzymywało ową rozmowę, i w téj chwili nie znalazł nic mądrzejszego nad rzucenie banalnego zapytania:

— Dlaczego?

Po wązkich ustach dziewczyny przewinął się cień ironii.

— Bo... to my prowadzimy zawsze kotyliona... Tak, jak pan jesteś *meneur de cotillon*, tak samo mnie można nazwa *menuese*... a więc...

Urwała i wzruszyła ramionami.

— *Enfin*, skoro pan chcesz grać ze mną w *cache-cache*...

Wielohradzki zaczął obracać szapoplak.

— Ja?... — wyrzekł nareszcie.—Ja przeciwnie... pragnąłbym nie miéć nigdy przed panią żadnych tajemnic! Chciałbym, ażeby pani mogła czytać we mnie jak w otwartéj księdze...

Muszka oparła się o poręcz kanapy i patrzyła na niego wciąż z odcieniem ironii.

— *Mais c'est de l'éloquence!*...—rzuciła niedbale — *à propos* akcesoryów kotylionowych, podajesz mi pan zdanie wyjęte z jakiejś komedyi Ohneta... Dlaczego to pan czynisz?... Zemną taka gra na nic się nie przyda. Jeżeli zapragnę słyszéć *des phrases bien tournées*, zawołam Pozbitowskiego, Malewicza, mego kuzyna, i będę je mieć do przesytu. Nie lubię girland nawet na ścianach i saloniku, który poprzedza ten gabinet, znieść nie mogę. . Nie wij mi pan więc girland z frazesów nigdy!... — *vous entendez?... jamais.*

Wielohradzki uczuł się bardzo skonfundowanym. Ów frazes przyszedł mu na usta bez żadnéj chęci popisywania się elokwencyą. Stał więc zmieszany, powiekami mrugał i usta w podkówkę ułożył, przybierając mimowoli minę, jaką czasem swą matkę i Tecię rozbrajał.

Muszka patrzyła na niego długą chwilę i nagle wyciągnęła doń rękę.

— O ile ja pana wolę, gdy pan nic nie mówi!... — wyrzekła, zaginając haczykowato palce, odziane w cienką białą rękawiczkę.

Wielohradzki rękę tę, któréj całe dziesiątki ujrzał znów w lustrze, pochwycił.

— Milczę!... — szepnął, nieśmiało palce drobne Muszki ściskając.

— *Oui! oui! taisez-vous!* —mówiła dziewczyna.

— Lecz oczy mówić będą... — szeptał Wielohradzki.

— Dlaczego?.. oczom można także nakazać milczenie!

Jakby na potwierdzenie tych słów, odbiegła od niego oczami i Wielohradzki poczuł, że jéj dłoń sztywnieje w jego dłoni. Chciał w jakikolwiek sposób przedłużyć tę chwilę rozbudzającéj się sympatyi i szybko zapytał:

— Tańczymy razem kotyliona?

Ona roześmiała się nagle i całe słońce zabłysło w jéj oczach, w dołkach jéj bladych, matowych policzków.

— Naturalnie! — odparła z niezwykłą żywością w głosie.

Ten głos, ten śmiech, to nagłe ożywienie się ośmieliły i porwały Wielohradzkiego. Natychmiast więc postarał się o spełnienie niedyskretnéj niezręczności.

— Ja... byłem przed kościołem!.. — wyszeptał, oglądając się na drzwi otwarte... — byłem przed kościołem i w teatrze...

Ręce ich rozplotły się.

Muszka nagle wyprostowała się, uśmiech jéj znikł, dawny spokój powrócił na jéj bladą twarz.

— A!.. —odparła obojętnie i przez zaciśnięte zęby—kiedy pan byłeś w teatrze? na jakiéj sztuce?..

Wielohradzki uczuł, że traci znów grunt pod stopami.

— Na „Domu otwartym"! — wykrztusił, czerwieniejąc nagle.

Muszka ramionami wzruszyła i, mrugając oczyma, zaczęła w pamięci szukać.

— „Dom otwarty"?.. *connais pas!..* co to? balet? opera?.... *enfin... peu m'importe!..*

Odwróciła się szybko ku drzwiom i rzuciła okiem w głąb saloniku, w którym było słychać od pewnego czasu szelest sukni jedwabnéj.

— *Marthe!..* — zawołała — *est-ce toi?*

— *Oui! sois tranquille!* — dał się słyszéć głos Orzeckiéj.

Muszka znów zwróciła się ku Wielohradzkiemu i wyniośle, zimno, obojętnie mówić zaczęła:

— Czy nie znalazłeś pan przypadkiem kartki pergaminu w formie treflu?.. wypadła mi z karnetu na wieczorze u Bodeckich... jeżeli ją pan znalazłeś... *rendez-la moi.*

I głosem stanowczym dodała: — *J'y tiens!*

Wielohradzki w milczeniu sięgnął do kieszeni fraka. Nie rozstawał się nigdy z tą kartką, na któréj zmienioném pismem nakreślone zacierały się już zupełnie literki.

Lecz nagle przyszła mu inna myśl do głowy.

Chciał naprawić swą niezręczność i pokazać się gentelmanem w oczach téj dziewczyny.

— Zdaje mi się, iż kartkę tę znalazłem—odparł starając się nadać głosowi ton obojętny — oddam ją pani za najpierwszém naszém widzeniem się.

Urwał i dodał, oglądając guziczki swoich rękawiczek:

— Nie wiedziałem, że ta kartka do pani należy... i zapomniałem formy karnetu pani.

Muszka patrzyła na niego chwilę i cień ironicznego uśmiechu przesunął się po jéj ukarminowanych ustach. Jakiś rodzaj wzgardliwéj litości dla tego człowieka, który kłamał w tak nędzny i źle udany sposób, ogarnął ją widocznie.

Zwróciła się ku stosowi welonów i burnusów i ujęła w rękę długi szmat białéj gazy, nakrapianéj srebrnemi gwiazdami.

— Niech mi pan powie, do czego to będzie służyć?

I znów głos jéj utracił ostrość i brzmiał równo, melodyjnie, bez cienia jakiéjkolwiek nerwowéj nierówności.

Przed drzwiami słychać było wciąż szelest sukni Orzeckiéj, która była tam widocznie na warcie przyjacielskiéj i dyskretnéj. W oddali konały tony walca, który dopływał do kresu.

Wielohradzki zaczął dawać Muszce potrzebne wyjaśnienia. Głos drżał mu lekko. Położył szapoklak i rozrzucał burnusy z mimowolną gracyą kupczyka. Ona patrzyła na niego jakby przez zasłonę, nie widząc prawie tych pięknych gestów. Podbijał ją swo-

ją urodą i nieokreślonym wdziękiem dziewczyny zamienionéj czarodziejskiém zaklęciem w pięknego i zgrabnego chłopca. A piękność ta różniła się od urody i sposobu noszenia téj urody — Stasiów Pozbitowskich, Malewiczów, Bodeckich i całéj falangi „końskiéj loży". Wielohradzki miał w sobie całą massę kobiecości, miękkiego, kociego ułożenia, kokieteryi i pewnéj, mimo wszystko, nieśmiałości dziecięcéj. Młodzież zaś z arystokracyi, pomimo dystynkcyi i pięknych manier, wygimnastykowana we wszystkich sportach, była dla niéj, dla téj Muszki, tak samo jak oni, *sportswoman*'ki — zamało subtelną i pociągającą.

Wielohradzki w téj chwili, z szerokim welonem gazy w obu rękach, wyciągniętych ruchem tancerki, podnosił ramiona, i przez te białe pajęcze zasłony widać było jego twarz drobną, bladą, usta różowe, delikatne, oczy błękitne, czoło nizkie, równo zaróżnięte, czoło cesarzowych rzymskich na statuach pleśnią wieków porosłych. Mówił słodkim, harmonijnym głosem, iż panie welony te włożą na głowy i zostaną zamknięte w rodzaju maurytańskiego domku, panowie zaś, odziani w burnusy, jak arabowie spowici w biel draperyi, pukać będą do zamkniętych wrót domu, i panie kolejno (według woli) wychodzić mają, znajdując na progu tego, którego jéj los za tancerza przeznaczył.

Wskazywał na złożone w kącie dekoracye dom-

ku, wielkie płótna rozpięte na blejtramach teatralnych, i Muszka śledziła gest jego ręki i błysk doskonale wyszlifowanego paznogcia, w którym się światło łamało.

I nagle podbita wyrzekła spokojnie:

— Ja wyjdę wtedy, gdy posłyszę trzykrotne stuknięcie, i to w interwallach...

Wielohradzki chciał odpowiedzieć, lecz już wtargnęła do gabinetu Orzecka i, wziąwszy szybko w rękę jeden z welonów, zarzuciła go na głowę.

Śmiejąc się, przeglądała się w lustrze i szybko mówić zaczęła dość skrzeczącym głosem:

— Tak! tak! należy się porozumieć, ażeby później nie było zamieszania... według mnie, ten, który prowadzi kotyliona, dzieli swą odpowiedzialność i pracę z damą, która z nim tańczy... wszak prawda?

Głos jéj brzmiał jeszcze donośnie wśród massy lustrzanéj, gdyż już na progu stanął kuzyn Muszki, Maleni, i olbrzymią postacią swoją zasłonił prawie drzwi całe. Wyborny „koniarz" w ubraniu balowém wyglądał jakby trzymał lejce i prowadził owe sławne *breaki, mail-coach'e*, z których był tak dumny. Na jego widok Muszka wyprostowała się, porzuciła trzymane w ręku welony i, rzuciwszy przelotne spojrzenie na Orzecką, ujęła ją pod rękę.

— Teraz już wiem, o co chodzi... — wyrzekła — pan (tu wskazała brodą na Wielohradzkiego) wy-

tłómaczył mi dokładnie; możemy wrócić do salonu. *Viens, Marthe*!..

I powoli, uczepiona u ręki Orzeckiéj, która także przybrała minę seryo, przesunęła się koło Maleniego, zamieniając z nim dość wymowne i głębokie spojrzenie. Lecz Maleni widocznie opierał się czemuś, nie chciał wykonać jéj rozkazu czy prośby, i ona sprytem swoim wyczytała to w jego oczach.

Nie zatrzymując się nawet, rzuciła mu przez ramię:

— *Oh! je vous en prie!*.. nie potrafię tańczyć inaczéj... *je vous jure*...

I odeszła, nie spojrzawszy nawet na Wielohradzkiego, który zmieszany nagłém pojawieniem się hrabiego (który mu szczególniéj imponował) zaczął składać porozrzucane burnusy i szale. Maleni stał ciągle w progu, oparłszy się ręką o drzwi białe, dyskretnie złocone.

Był to olbrzym łagodny i spokojny, kryjący pod maską wybornego światowca jakiekolwiek osobiste uczucia i wrażenia. Wysoko już postawiony u drabiny dyplomatycznéj, miał w sobie ciągłą dyskrecyę wzorowego dżentelmana, nieożywiającego się nigdy, lecz niepokazującego zarówno bezwzględnéj na wszystko obojętności. Oczami Maleni mówił często i dużo (to, co mówić zapragnął), lecz słowa, które z ust jego wypadały, zdawały się być zawsze prze-

mierzone i zważone na wzorowéj szali zastanowienia i rozsądku.

Obaj mężczyźni pozostali teraz sami i Wielohradzki uczuł ten dziwny lęk i zmieszanie, jakie ogarniało go zawsze w obecności Maleniego. Ten typ arystokraty-karyerowicza imponował mu, a człowiek nerwy mu szarpał.

Dla nabrania równowagi zaczął układać porozrzucane akcesorya kotylionowe; w lustrach jednak widział kilkakrotnie odbicie postaci hrabiego. Te wielkie blade twarze, powiększone jasnością łysiny i przecięte plamami czarnych oczu, zdawały się unosić w przestrzeni, jak potworne maski japońskie.

Nagle Maleni ręce w tył pod poły fraka założył i ku Wielohradzkiemu twarzą się zwrócił. Maski w lustrach mignęły i teraz kilka profilów bladych, niepewnych, rozlanych w fałdach podbródków, z nosami zadartemi, majaczyły w srebrnych taflach szklanych.

Hrabia otworzył kilkakrotnie usta i wreszcie wyrzucił z siebie krótkie, okrągłe frazesy, które niepomiernie zdziwiły Tadeusza:

— Urządzam pojutrze *fête champêtre*. U mnie, w Paprotce. Jechać będziemy *mailami*. Późniéj radbym, aby tańczono. Czy zechcesz pan należéć do nas? Może objąłbyś pan dyrekcyę tańców? Sądzę, iż możnaby urządzić kotyliona *en plein air*...

coś nowego, niezwykłego. *Enfin, bref*, to już zostawiam znanéj imaginacyi artystycznéj pana.

Zawiesił głos i, nie zmieniając ani na chwilę pozy, dodał:

— Czy możemy liczyć na pana?

Wielohradzki w pierwszéj chwili miał ochotę odmówić, lecz nagle rozsłoniły się przed jego oczyma barwne horyzonty. Kotylion, płynący farandolą pomiędzy wyniosłemi cieniami drzew... Dekorator, baletmistrz, *metteur en scène* brał przewagę.

Skłonił się więc z powagą, mówiąc:

— *Je suis à vos ordres*!

Maleni pośpiesznie zaprzeczył:

— To ja jestem na pana rozkazy! Zechciéj je wydać, nie szczędząc swéj imaginacyi. Będą wykonane z najwyższą skrupulatnością.

Wielohradzki ciągle się czuł zmieszany tą wielkopańską grzecznością.

— Jutro... napiszę... i w namiestnictwie, jeśli hrabia pozwoli, moje plany prześlę.

— *Parfaitement.* Przyjdź pan sam do mego biura. Przynieś swoje projekty. *Sans discussion* są zatwierdzone.

Lekko głową kiwnął.

— *Au revoir et merci*!

Tadeusz nizko się skłonił i odetchnął, gdy Maleni zniknął z progu, na którym tkwił, jak potworny

drogowskaz, wysuwając naprzód swój tors jarmarcznego siłacza.

Twarz Wielohradzkiego promieniała teraz radością. Muszka wyraźnie zaczynała zaznaczać swoją ku niemu sympatyę. Jakiego to rodzaju była sympatya, o to Wielohradzki się nie troszczył. Brał to, co mu podawano, czując się szczęśliwym z tych królewskich okruchów. Pełen więc różowych myśli wyszedł z gabinetu. W progu saloniku spotkał już całe grono panien, których białe, liliowe, seledynowe sukienki rozsypały się w przestrzeni jasnych ścian, jak nagle rozwiany bukiet, złożony z cieplarnianych kwiatów. Szczebiot pusty i dźwięczny zaszemrał razem z szelestem wstążek i szybko poruszanych wachlarzy. Był to cały „gołębnik", wypuszczony nagle na wolność i porwany w siatkę kwieciem zaróżowionych ścian *Petit Trianon'u*. Dziewczyny delikatne, wysmukłe odziane lekko, powiewnie ślizgały się atłasowemi pantofelkami po lustrzanéj tafli woskowanéj podłogi lub siadały, rozwiewając dokoła fałdy bladych sukien, na fotelach pociągniętych białą laką i wybitych białą w kremowe pasy materyą. I wszędzie delikatne profile rysowały się na tle girland, z róż i niezapominajek splecionych; koronkowa złota piana włosów, jak piana czary szampana, biła jasną aureolą w tajemniczym półcieniu płonącéj w alabastrowéj kolumnie lampy.

Muszki, Musie, Minusie, Maniusie, umitrowane,

bez mitry, z koroną o dziewięciu lub siedmiu perłach przesuwały się w téj bieli, jak damy dworskie Maryi Antoniny, i tylko brakło im *panier'*ów i wieńców róż księżnéj Lamballe.

Lecz sto lat minionych nie wywarło wielkiéj zmiany w układzie figur i mózgów tych wykwintnych lalek, stworzonych na przetańczenie wiosny życia bez troski o chléb powszedni. Nie zwróciły uwagi na przechodzącego Wielohradzkiego, zajęte całe studyowaniem swéj własnéj nicości. Przeglądały się w lustrach oprawnych w wązkie białe ramy i wydobywały z ukrytych kieszonek małe pudełeczka z pudrem. Znikały na chwilę w obłoku velutiny i pojawiały się znów z porcelaną lwarzy, przygaszoną delikatną, dyskretną osłoną.

Wielohradzki nie szukał pomiędzy niemi Muszki. Wiedział, iż hrabianka trzyma się zawsze zdaleka od swych rówieśniczek i rada przestaje w towarzystwie młodych mężatek, przysłuchując się ze spokojną, marmurową twarzą ich lekkiéj i dowcipnéj rozmowie.

Zwrócił się więc ku orkiestrze, chcąc dać szefowi niektóre wskazówki, gdyż uroczysta godzina kotylionа zbliżała się i obecnie prawie całe towarzystwo, podzielone na małe grupy, zajęło stoliki w sali bufetowéj i przy dźwięku kryształów i srebra w powodzi świateł i kwiatów spożywało stosy wytwornych potraw i całe strumienie wina.

Tylko „panienki", jak zawsze eteryczne, objadłszy się cukierkami i opiwszy oranżadą, ze względu na zbyt ściśnięte gorsety, uciekły do *Petit Trianon*'u.

W salonie krzątał się Wielohradzki, ustawiając krzesła, wydając służbie dyspozycye, układając akcesorya kotylionowe w rogu sali, odgraniczonym dwoma haftowanemi parawanami.

Niedaleko, koło ściany, ponury i tragiczny stał Kafthan, chmurnie wpatrzony w ziemię. Malewicz drwił dziś z niego bez litości, a Pozbitowski, Bodecki i inni dopomagać mu zaczęli. Perweniusz odcinać się nie śmiał, lecz teraz przetrawiał z domieszką żółci wszystkie usłyszane ironiczne przycinki, i karmił się niemi w milczeniu, jak trucizną, którą przecież pił dobrowolnie i któréj nawet poszukiwał.

Wielohradzki, przebiegając mimo, spojrzał na tę olbrzymią postać, stojącą samotnie na tle jasnego obicia.

— Czemu pan nie idziesz do bufetu? — zapytał, czując nagłą litość nad tą wyfraczoną niedolą, tak chmurną wśród blasku świateł i odgłosów śmiechu, dolatujących dokoła.

Lecz Kafthan nie odpowiedział ani słowa, pogrążony cały w upartém milczeniu.

. . . . . .

Na środku salonu, w białe, czarne i pomarańczowe pręgi, stoi domek tekturowy z okienkami zakra-

towanemi w maurytańskim stylu. Kilka olbrzymich palm wyrasta z posadzki, z mogił mchu, i wysoko rozkłada swe wachlarze liści ciemnych i poszarpanych. Dokoła domku krąży grono Arabów, odzianych w długie burnusy i zawoje dziwacznéj formy. Z pod burnusów od czasu do czasu wysunie się noga, odziana w lakierowany trzewik i czarną pończochę jedwabną, lecz szybko niknie, i Arabowie krążą po woskowanéj posadzce, wśród palm i mchu tajemniczo, w takt dziwacznéj, wpółsennéj melodyi.

Koło wrót domku stoi Wielohradzki, odziany tak jak i inni tancerze, lecz burnus jego jest cieńszy, delikatniejszy, zawój ułożony w bardziéj artystyczne formy. Na ramieniu ma pęk róż bladych, niepewnéj barwy, i kwiaty te kładą poetyczną nutę w surową całość klasycznego stroju. Delikatna jego twarz występuje jeszcze delikatniéj wśród téj śnieżnéj bieli, wyrafinowaniem kokieteryjném; turban jego, cokolwiek z czoła zsunięty, odsłania dokładnie jego ładne, regularne rysy.

I co chwila z grona tancerzy występuje jeden i, doszedłszy do drzwi domku, puka i usuwa się na bok. Wówczas otwierają się powoli drzwi i na progu zjawia się postać kobieca, osłonięta welonem gazowym w duże srebrne gwiazdy. Nie odsłaniając owéj zasłony, podaje rękę tancerzowi i gdy drzwi zamkną się z powrotem, odchyla welon i ująwszy

ramię araba, odsuwa się na bok, gdzie stoją już inne, związane wypadkiem, pary.

Gra ta budzi ogólne zainteresowanie. Ze wszystkich salonów pościągano, aby wiedzieć tę nową figurę kotyliona. Hrabia Dezydery wprowadził starą hrabinę Bodecką i usadził ją na wygodnym fotelu, pozostając przy jéj boku.

Wielka dama jest głucha, więc hrabia usiłuje krzyczéć, nie przekraczając miary dystynkcyi, i tłómaczy jéj cel owéj budowli tekturowéj, przypominającéj dekoracye pantomin, grywanych na arenie cyrkowéj.

We drzwiach sali balowéj tłok panuje nie mały. Wszyscy starsi mężczyźni przyszli, zwabieni dziwacznością piosenki arabskiéj, którą gra orkiestra z akompaniamentem dzwonków, tryanglów i tympanów.

Wielohradzki tryumfuje. Ogarnia okiem cisnące się tłumy i czuje się w téj chwili panem sytuacyi.

Przesadza ważność swéj roli wodzireja. Sam otwiera drzwiczki domku i, podając z gracyą rękę wychodzącéj damie, oddaje ją delikatnie i ostrożnie, jak bukiet szklanych kwiatów, czekającemu na nią tancerzowi. Z radością widzi zadowolenie na wszystkich twarzach, gdyż kostiumy podbudzają zawsze komedyancką stronę, drzemiącą w duszy każdego człowieka. Wielohradzki prostuje się dumnie i zaczyna mrużyć oczy i gryźć usta. Widzi, że Muszka

jeszcze nie wyszła, czuje, iż ona jest tam, ukryta, czeka na dany znak, i że on, Wielohradzki, potrzebuje tylko uczynić jeden gest, aby przywołać do siebie tę dumną i piękną dziewczynę.

Wszyscy tancerze mają już swe tancerki. Biel welonów i burnusów zaścieła całą przestrzeń salonu.

Wielohradzki zbliża się do domku i trzykrotnie, słabo, dyskretnie uderza we drzwi. Otwiera je sam natychmiast i odsuwa się cokolwiek.

Na progu ukazuje się Muszka.

Wbrew przepisom, hrabianka ma welon odsłonięty i prześliczna jéj twarz ukazuje się nagle w obłoku białéj gazy i w srebrnéj koronie z gwiazd, jak nieziemskie zjawisko.

Ręce, splecione na piersi, przytrzymują fałdy welonu, który ją otacza przezroczystą smugą białą, jak mgła poranna.

Wiedziona instynktem kobiecym, przed włożeniem welonu przygładziła falujące włosy i podciągnęła skromnie opadające ramiączka sukni. W tych ciemnych pasmach włosów, w których nawet złoto iskier wygasło, twarz jéj nabiera dziwnego uroku dziewczęcego, niewinnego wdzięku.

Stoi chwilę nieruchoma, czując, że wszystkie spojrzenia biegną ku niéj i dziwią się téj niesłychanéj przemianie, lecz już Wielohradzki zbliża się ku niéj i rękę swą wyciąga.

Muszka podaje mu swą rękę, nie patrząc na niego,

rozmarzona i wpół senna, zasłuchana w melodyę arabską, kołysankę tęskną i porywającą.

Wielohradzki daje znak muzyce, i nagle kołysanka zmienia się w walca, który chwilę drga w powietrzu nieśmiało, jak nagle uwięzione echo, i powoli przechodzi w taneczne tempo.

Arabowie ujmują wpół swe odaliski, w mgłę i gwiazdy spowite.

I zaczyna się wić szereg srebrno-biały, rozkołysany namiętnie, śnieżny w potokach elektryczności, okrążający, jak wał śniegu, mury domku.

Burnusy wiewają, welony srebrzą się, iskrzą, jak szmaty mgły porannéj, rozjaśniane morą nagich gorsów i ramion lub złotem włosów, w których teraz światło migocące zapala iskierki.

W téj bieli, w tym delikatnym szumie wirujących tkanin, płyną powoli złączone pary rozbawione, rozflirtowane, uśmiechnięte, i tylko teraz ciemne wachlarze liści palmowych wznoszą się tryumfalnie, wykwitając w swéj apoteozie, jakby z massy skrzącego się śniegu i kołyszącego się lodu.

Dokoła rozległ się szmer uwielbienia. Ta biel, te welony, te gwiazdy płynące na skrzydłach gazy, ta odzież malownicza i wdzięczna — tworzyły całość artystyczną i ciągnącą oczy, przyzwyczajone do banalności fraków i balowych strojów kobiecych.

Tu i owdzie rozległy się oklaski.

Hrabia Dezydery wołał: —*Bhavo bhavo*!.. wtóro-

wała mu stara hrabina Bodecka. Czar roztaczającéj się dokoła przeczystéj bieli zaczynał porywać wszystkich. We drzwiach duszono się literalnie.

Wówczas Wielohradzki uczuł wielką dumę, rozsadzającą mu piersi. Oklaski te, które tańcząc słyszał, bezwarunkowo należały się jedynie tylko jemu, gdyż to on ubrał te maryonetki i w ruch puścił. Tryumf ten upajał go. *Metteur en scène* promieniał w nim w całéj pełni. W objęciach trzymał Muszkę, która w téj chwili wydawała mu się nadziemską istotą, i czuł, jak ręka hrabianki ściskała delikatnie jego palce, pomimo, że oczy błądziły wśród tłumu przesuwających się przed nią postaci.

Lecz Wielohradzki na ten szczegół nie zważał; upojony, oczarowany, tańczył wciąż, mając w objęciach Muszkę, a przed sobą białą smugę wirujących par i mgłę rozwiewanych welonów, których gwiazdy, jak srebrne szlaki tajemnicze i urocze, migotały przed nim z uśmiechem wschodzących jutrzenek.

V.

Wielohradzka zaczęła być na seryo o syna niespokojną.

Powróciwszy z pikniku, zamknął się on w swoim pokoju, gwizdał, nucił — był w dobrym humorze, lecz wbrew przyjętemu zwyczajowi nie pił barszczu i nie zjadł *salcsztangi*, którą mu Tecia przyniosła.

Poszedł do biura, mając pod pachą portfel pełen papierów, i wróciwszy z biura, zasiadł do obiadu jedynie dla formy.

Nie jadł ani rosołu, ani mięsa, ani mizeryi, tylko wciąż po obrusie jakieś kółka i gzygzaki kreślił, mrucząc półgłosem:

— Dwie czternaste pary!..

To znów liczył coś na palcach, nucąc, gwiżdżąc walce i polki, raz nawet krzyknął głośno:

— *Arrêtez*!..

Wielohradzka nigdy nie widziała go w tak gorączkowém usposobieniu. Wiedziała, iż układał fi-

gury i kombinacye, lecz ta gorliwość i pośpiech, z jakim pracował, zaczynały ją niepokoić.

— Jédz, Tadziu!.. — prosiła — zupełnie z sił opadniesz...

Lecz on uparcie głową kiwał.

— Nie! nie!.. może późniéj... teraz mam pilną robotę.

— Na wszystko jest czas!—odparła Wielohradzka—teraz powinieneś jeść obiad... proszę cię!..

— Nie!.. gdyż nie mam ani chwili do stracenia — upierał się Tadeusz — jutro *parti de plaisir* w Paprotce... prowadzę tańce, nie mam jeszcze figury nowéj wymyślonéj. Żadnego *clou*!.. A rozumié mama, iż po wczorajszéj figurze arabskiéj muszę wykomponować coś niezwykłego. Sukces obowiązuje...

Nadymał się ciągle, nie mogąc zapomnieć szelestu braw, które do téj pory szumiały w jego uszach.

— W Paprotce? — spytała Wielohradzka.

— Tak, u Maleniego! —rzucił niedbale Tadeusz.

— U Maleniego?..

— Tak!..

Lecz nie mógł długo zachować obojętnego tonu. Radość tryskała mu z oczu. Szybko porwał matkę za rękę.

— Ha?.. co mamuś na to?.. Tadzio zaproszony do Maleniego?.. będzie *fortancerował*!.. Co mama na to?..

Wielohradzka rozradowała się szczerze. Pochyliła się i pocałowała syna w czoło.

— Dzięki Bogu!.. — wyrzekła — dzięki Bogu, zaczynasz już wchodzić na drogę do karyery... Maleni to gruba ryba... jeżeli zechce, może cię zaprotegować... możesz awansować...

Wielohradzki machnął ręką.

— Ech!.. ja tam o to nie dbam. Zostawiam to Charłupce!.. Teraz chodzi mi o co innego. Widzi więc mamcia, że mam nielada ciężar na swoich barkach.

— Widzę! widzę i cieszę się! Czy zechcesz, ażebym sprzątnęła ze stołu i przyniosła ci papiér i pióro?.. Będziesz tu pracował...

Lecz Wielohradzki wyciągnął się na krześle.

— Dziękuję, mateczko!.. — wyrzekł powoli. — Chcę trochę wypocząć... Nie uwierzy matuś, jak taka praca umysłowa męczy...

Wielohradzka pokiwała głową i szukała w myśli łatwego tematu do rozmowy, który pozwoliłby wypocząc spracowanemu mózgowi wodzireja.

— Z kim tańczyłeś wczoraj kotyliona? — spytała.

— Z Muszką Dobrojowską.

— A która z panien była najpiękniejsza?

— Muszka Dobrojowska.

— A najładniéj ubrana?

— Muszka Dobrojowska.

Powstała z krzesła i wyniosła, majestatyczna, blada w obramowaniu swych siwych włosów, zaczęła zbierać salaterkę z mizeryą i półmisek z mięsem ze stołu.

— A zresztą... — dodała, zatrzymując się nagle tuż przed synem i kładąc mu rękę na ramieniu — czy ty wiész, co ci jeszcze Bóg w przyszłości dać raczy?.. Jesteś jeszcze dzieckiem... całe życie przed tobą... Masz pełne prawo do ożenienia się bogato, z panną z dobrego domu, słowem, możesz zrobić... karyerę!

Wielohradzki podniósł na matkę swe wielkie, błękitne oczy.

— Och! — wyrzekł—nie myślę o tém nigdy!..

— To źle! — odparła Wielohradzka. — Bywając w salonach, powinieneś miéć na celu swą przyszłość, a tak piękny, elegancki, z dobrém nazwiskiem chłopak nie może przesunąć się niepostrzeżony... Pamiętaj, co ci mówię! Masz zupełne prawo do zrobienia świetnéj partyi. Niech to przekonanie nie odstępuje cię ani na chwilę...

Nagle w kuchence zaruszało się coś koło komina.

— Czy to ty, Teciu? — spytała Wielohradzka.

— Tak, ja, proszę pani! — odparł po chwili cienki głosik dziewczyny.

— Co tam robisz?

— Grzeję żelazka!

— Nie potrzeba... czy babka już ubrana?

— Tak, proszę pani!..

— Chodźże tutaj, co tam robisz jeszcze w téj ciemnéj kuchni?

Po chwili na progu drzwi ukazała się Tecia, ubrana w szkocką bluzkę i czarną spódniczkę wełnianą. Głowa jéj aż lśniła od jakiegoś olejku i włosy piętrzyły się wysoko, na czubku spięte całą bateryą szpilek z celluloidu.

— Babcia... czeka!..— wyrzekła nieśmiało dziewczyna.

Wielohradzka spojrzała na nią ze zdziwieniem i nagle, przypominając coś sobie, uderzyła się w czoło.

— Ach! tak!.. tak!.. powiedz babci, że natychmiast przyjdziemy. Idź naprzód!

Tecia zniknęła we drzwiach kuchenki.

Wielohradzka zbliżyła się układnie do syna.

— Mój Tadziu!.. — wyrzekła powoli — dziś imieniny Teci... możebyśmy poszli na chwilę do Pikniewiczowéj ..

Wielohradzki wzruszył ramionami.

— Ani myślę!.. to stara plotkarka.

— Ależ mylisz się!.. — tłómaczyła matka. — Zresztą pomyśl, dawna nasza sąsiadka, stara kobieta... czeka na nas...

Zawahała się chwilę, wreszcie dodała dość szybko:

— Zrób to dla mnie!.. proszę cię!.. Tecia jest mi wielką pomocą w méj pracy! Dziewczyna nie-

zmiernie chętna i zręczna... Ja się starzeję... często ona pracuje za nas obie... Mój Tadziu!..

Wielohradzki powstał i kierował się do swego pokoju.

— Dobrze! dobrze!.. fraka przecież chyba nie włożę...

— Nie! nie!.. weź anglez, to wystarczy.

— Anglez?.. co też mama mówi!.. pójdę w żakiecie...

Lecz Wielohradzka znów prosić zaczęła.

— Mój Tadziu!.. zrób to dla mnie!.. Pikniewiczowa może się obrazić!.. żakiet w dniu imienin!.. Mój Tadziu!..

— No dobrze!.. dobrze!.. — zabrzmiał z po za drzwi głos Tadeusza — wezmę anglez, tylko ten stary, bez aksamitnego kołnierza...

. . . . . .

Dokoła stołu, nakrytego serwetą siatkową, zasiadło całe towarzystwo.

Na stole znajdował się tort, biedny tort biszkoptowy obłożony cieniuchnemi plasterkami smażonego tataraku. Na środku tortu różowiła się cukrowa róża. Obok, na tacy, kieliszki, butelka wina i korkociąg i kilka małych talerzyków, na których srebrzyły się łyżeczki.

Pociągając wiecznie zakatarzonym noskiem, kręcił się dokoła stołu Felek w zbyt krótkim świątecz-

nym garniturze. Na kanapce włosieniem pokrytéj Wielohradzka w jedwabnéj sukni i Pikniewiczowa, staruszka zmarszczona i chuda, w dużym czepku z fijoletowemi kokardami. Dolna jéj szczęka była w ciągłym ruchu, tak, jakby Pikniewiczowa w ustach miała prowizyę orzechów. Po za tém była to staruszka dość miła, o spłowiałych zielonych oczach, dystyngowana w ruchach i sposobie wyrażania się, lecz wiecznie rozbolała i rozpłakana. Wzdychała często i do téj chwili nie mogła przetrawić ruiny, w jaką ją zięć, a ojciec Teci i Felka, wpędził.

Obok matki, na fotelu bezstylowym i ciężkim, przypominającym brak gustu drugiego Cesarstwa i krynoliny, które się weń wciskały, siedział Wielohradzki, znudzony i myślą odbiegający z tego niewielkiego mieszkania, w którym panował płaczliwy smutek, siatkowe firanki i patarafki ze strzyżonych kawałeczków włóczki.

Chwilami zatrzymywał wzrok na siedzącym naprzeciw niego mężczyźnie. Był to wysoki blondyn, czerwony, z twarzą świecącą od potu, jak lakierowana lampa. Ubrany odświętnie w długi surdut, miął w ręku kapelusz z dużemi kresami. Pikniewiczowa traktowała go uprzejmie, zwysoka, z grzecznością wielkiéj damy.

Przedstawiając go Wielohradzkim, wyrzekła płaczliwie:

— Pan Janczewski!..

W błękitnych źrenicach mężczyzny nie znalazła już ani śladu sympatyi, téj przelotnéj fantazyi, która od lat dwóch czasem, w chwili dobrego humoru, przewijała się i ciągnęła ją w zastawione sieci.

Natomiast instynktem kobiecym odczuła zimno zupełne i pewien rodzaj estetycznéj odrazy. W jednéj chwili zrozumiała, iż była niezgrabną, źle ubraną, źle uczesaną, że Tadeusz nudził się i z grzeczności prostéj i banalnéj siedzi tu, przy tym stole około tortu i naprzeciw babki, która znów z Wielohradzką zapuszcza się w rodowody i wymienianie koligacyj znaczniejszych rodzin arystokracyi galicyjskiéj. Zwróciła się do stołu i znów, ukrajawszy kawałek tortu, położyła go na talerzu. Obojętnie skierowała się w stronę pana Janczewskiego, który napełniał gorliwie stojące rzędem kieliszki.

— Proszę pana! —wyrzekła dziewczynka, podając mu talerzyk.

Janczewski pośpiesznie postawił na stole butelkę i talerzyk pochwycił.

— Ślicznie dziękuję! — wyrzekł zmieszany, lecz pomimo zmieszania wzrok w twarz Teci zatapiający.

Lecz ona odwróciła się od niego tak, jak przed chwilą odwrócił się od niéj Tadeusz, i nagle osowiała i zmartwiona usiadła na brzeżku krzesła, miętosząc w czerwonych rękach wstążkę, którą bluzka jéj w pasie przewiązana była. Obok niéj Felek zapy-

chał się kawałkiem tortu. Lecz babcia Pinkiewiczowa spojrzała na wnuka i natychmiast zawołała:

— Teciu! pokaż państwu, jakie to powinszowanie Felek wykaligrafował.

Chłopak, przyzwyczajony do popisów, jak uczona małpka, dojadał spokojnie resztę tortu i blademi oczami śledził siostrę, która, powstawszy, podeszła do komody i usiłowała otworzyć szufladę.

Nie udawało jéj się jednak. Komoda była ciężka, staroświecka, *massive* mahoniowa.

Pan Janczewski rzucił się do pomocy; mimowoli Tadeusz powstał i zbliżył się także.

— Niech pani pozwoli!..

Obaj przemówili równocześnie, stojąc po obu stronach klęczącéj przy szufladzie dziewczyny.

Ona, na sekundę, znalazła się pomiędzy nimi dwoma i przeszło ją gorące uczucie, jak gdyby jéj kto kark wrzącą wodą oblewał. Bezwiednie prawie zwróciła się w stronę mechanika.

— Proszę pana!—wyrzekła, powstając i miejsca mu przy komodzie ustępując.

Tadeusz powrócił na swój fotel i teraz jadł tort delikatnie, wybrednie, trzymając łyżeczkę estetycznie i odsuwając na bok tatarak osmażony w cukrze. Tort był dobry i świeży. Tadeusz lubił łakocie. Jedząc, błądził myślą po wczorajszym pikniku i jutrzejszéj majówce. Kombinował nowe figury kadryla kotyliona. O mazurze nie można było marzyć,

jakkolwiek doradził Maleniemu wysłać miejsce przeznaczone na salę balową wielką ilością sosnowych igieł. Tańcząc wczoraj kotyliona, kilkoma słowami umówił się z Muszką o prowadzenie tegoż tańca w Paprotce. Otaczała go atmosfera łaskocących wspomnień. Unikał wzrokiem widoku, ruszającéj się szczęki Pikniewiczowéj i siatkowych firanek, aby nie psuć sobie iluzyi. Byłby rad zamknął oczy, aby módz cofnąć się w głąb siebie i nie widziéć nic z otoczenia, które go tak raziło.

Tymczasem Tecia podała Wielohradzkiéj duży arkusz papieru o wyzłoconych ramach, po których czepiały się amorki i łabędzie i czerniły się niekształtne litery, z pod których wystawały gdzieniegdzie ślady źle wytartego ołówka. Tecia rozwiązała starannie tanią wstążeczkę, którą owa „laurka" związana była, i położywszy rękę na głowie Felka, stała smutna, z ustami zaciśniętemi, z plamami swych czarnych oczu nagle w cień zapadłych.

Promienie wesołego wiosennego słońca przez szyby przymkniętych okien przez siatkę firanek wpadały do pokoju i słały się po sosnowéj podłodze, starannie wyfroterowanéj. Jasność ta ujawniała zniszczone tasiemki, któremi sukienka Teci mozolnie u dołu naszyta była, i jéj nowe buciki, zbyt ciasne, o płaskich obcasach, już cokolwiek skrzywione źle ustawioną stopą.

Wielohradzka unosiła się nad pięknością pisma

Felka. Starała się ciągle być podwójnie uprzejmą, za siebie i za syna, który siedział wciąż milczący, z pustym talerzykiem w ręce.

Nagle Pikniewiczowa wytwornym gestem przywołała do siebie Felka.

— To nie wszystko! — wyrzekła. — *Felix* nauczył się powinszowania na pamięć...

I zwróciwszy się do wnuka, dodała parafiańską francuzczyzną:

— *Dis ton compliment, mon ami*!..

Felek podciągnął nosem, opuścił ręce ,i przestępując z nogi na nogę, recytować zaczął:

Teciu miła, Teciu droga,
W uroczysty dzień imienia,
Niechaj wielka łaska Boga
Twoje czoło opromienia.

Bądź szczęśliwą i wesołą,
Roztaczaj uśmiech wokoło;
Niechaj szczęście i dostatki
Staną na progu twéj chatki.

Recytujący głos dziecka rozlegał się w ciszy, którą przerywał tylko donośny oddech pana Janczewskiego, sapiącego w swém apoplektyczném usposobieniu. Pikniewiczowa kiwała w takt głową, Wielohradzka usiłowała przybrać zachwyconą minę, Tecia stała nieruchoma, wpatrzona teraz z rodzajem rozrzewnienia w bladą twarzyczkę brata. Zdawało

się, że zapomniała o obojętności Tadeusza, o panu Janczewskim, o wszystkich, i jedynie widziała obecność tego dziecka, które sama dzieckiem jeszcze wyhodowała i wyniańczyła, zbudzona nagle do roli kobiety w swém przedwczesném sieroctwie.

Tymczasem Tadeusz, nagle wyrwany ze świata swych myśli, kołysany cienkim głosikiem recytującego Felka, powracał do swych kombinacyi i posługiwał się teraz perspektywą teatralną, rzucając na malownicze tło Paprotki grupy tancerek w jasnych sukniach i sylwetki mężczyzn, odzianych w ciemne stroje.

On sam stał na boku i patrzył, jak wódz, na rozstawioną elegancką i rozbawioną armię, wojującą z wrogiem... czasem, który koniecznie „zabić" było trzeba. Obok siebie miał adjutanta w osobie Muszki, adjutanta o pancerzu z atłasowego różowego ciała i w kasku włosów, rozrzuconych dokoła spokojnéj twarzy, kasku, zda się, splątanym z wężów o jedwabnym, miedzianym, pełnym złotych iskier, połysku.

VI.

Na placu Jura, tuż u stóp *Sacré Coeur*, naznaczono *rendez-vous* dla wyjazdu ekwipaży gości zaproszonych przez Maleniego do Paprotki.

Na szerokiéj jasno-blond płachcie piasku o białawych, niepewnych smugach czerniały teraz ekwipaże: amerykany, breaki, maile, victorie, żółciły się sztylpy butów służby Maleniego i Bodeckich, bielały taranty, zaprzężone do „koszyka" Orzeckiéj, czerwieniał dach dziwacznego omnibusu, należącego do Stania Pozbitowskiego. Kobiety powysiadały z powozów i teraz przechadzały się wśród kół ekwipaży, tuż pod kopytami i łbami koni z pewnością woltyżerek, gotujących się do wzięcia udziału w jakiéjś wielkiéj pantomimie. Panienki szczebiotały głośno, czując się tu więcéj u siebie, trochę daléj od oczu gawiedzi, która, cokolwiek odsunięta, rozsypywała się przerwanym różańcem kilkudziesięciu próżniaków, „flanujących" w to czerwcowe popołudnie w cieniu

ogrodu Jezuickiego i zwabionych brzękiem uprzęży i jasnemi barwami sukien i parasolek kobiecych.

Słońce jasne, promienne, zwycięskie i tryumfujące, błyszczało, jak olbrzymia lampa, z któréj zdjęto abażur mgły i szkło chmur. Szafirowe we środku, skrzyło się promieniami wszystkich barw, jak brylant olbrzymi, osadzony w morzu szafiru. I w głębi téj dekoracyi wznosiło się Sacré Coeur — klasztor wychowawczy, cichy i tajemniczy. Promienie słoneczne zapalały olśniewające ogniska w szybach zamkniętych okien. Czasem zdawało się, że w powietrzu słychać było przeciągły jęk organów, płynący z kaplicy klasztornéj. Wówczas panienki i panie zatrzymywały się, podnosząc głowy. Prawie wszystkie wychowane były w tych murach i znały dobrze głos tych organów, które co niedziela rozbrzmiewały po nad ich głowami, okrytemi w białe zasłony muślinowe. Niektóre z odcieniem żalu patrzyły na bramę klasztoru. Inne, a pomiędzy niemi Orzecka i Minusia Bodecka, wzruszały ramionami z uczuciem ulgi pięknych ptaków, które z cel wydostały się na swobodę. Lecz wszystkie czuły się jak u siebie pod temi murami, po za któremi rosły i rozwijały się teraz ich młodsze siostry lub córki. Lubiły ten wielki pałac, na którym odbywały się manewry i który swą pustynią rozrywał je w chwili odbywania naznaczonéj pokuty. Śmiejąc się, pokazywały Malewiczowi i Dezyderemu pewne małe okienko, tak zwany „pokój for-

tepianowy", w którym zamykano uczennicę krnąbrną, nieposłuszną lub nagle zbuntowaną. Orzecka przyznawała się, iż przepędziła tam większą część czasu, przeznaczonego na swe wykształcenie, a zapytana przez Dezyderego, co robiła przez te długie godziny, zamknięta sama w pokoju, w którym, oprócz krzesła i fortepianu, nie było żadnego innego mebla, odpowiedziała, śmiejąc się wesoło:

— Wdrapywałam się na fortepian i spałam jak zabita.

Zachichotała znów, pokazując w tym uśmiechu dwa rzędy zębów białych, jak dobrane perły. Mężczyźni patrzyli na nią z zachwytem. Była to zdrowa roślina o pięknych kształtach, rada z życia, z siebie i ze swego otoczenia. Rujnowała męża na stroje ta mała Charłupczanka, flirtująca z Malewiczem, Pozbitowskim i innymi. Wiedziano wszakże, iż była uczciwą i wierną mężowi. Trzepotała się tylko w słońcu i rada przeglądała w oczach mężczyzn. Obecnie starała się czasem przybierać poważniejszą minę, gdyż wprowadzała w świat pupilkę męża, sierotę, Muszkę Statnicką. Przy wysokiéj, chudéj, spokojnéj dziewczynie Orzecka wydawała się jéj młodszą siostrą. Niemniéj przybierała poważne miny po to, aby za chwilę wybuchnąć śmiechem.

Bił od niéj ten śmiech srebrzysty i woń fijołków St. Remo, któremi przepajała swe suknie. I w téj chwili odziana w ametystowéj barwy fular, pachnąca

świeżo i rozkosznie, wyglądała zdaleka jak olbrzymi fijołek, wytryskujący powabnym kielichem ze szmatu złotego piasku.

Dezydery pytał, kogo powiezie swemi kucami, które dzwoniły zdaleka trochę przeciążoną uprzężą o podkładach z fijoletowego aksamitu.

— Nie wiem — odparła Orzecka — zobaczę...

— Może Muszkę Dobrojowską.

— Cóż znowu?.. Muszka jedzie *mail'em* Maleniego, to rzecz dawno ułożona.

— Na koźle?

— Naturalnie!..

Malewicz podsunął się teraz. Twarz miał pobladłą z powodu nieprzespanéj nocy. Przegrał wszystko, co miał przy duszy, nadrabiał jednak sztucznym humorem.

I zaraz ofiarował się na towarzysza Orzeckiéj. Lecz młoda kobieta pokręciła głową.

— Nie! nie!.. Wezmę z sobą Musię Statnicką.

— *Laissez la!*.. pojedzie *mail'em* Bonickich, są jeszcze cztery miejsca wolne...

— Nie! nie! — protestowała Orzecka. — Musia pojedzie ze mną... została mi oddana w opiekę...

Malewicz chciał coś odpowiedzieć, lecz nagle na plac wypadł niewielki szaraban, zaprzężony w parę karych, jak piekielne smoki, koni.

Szaraban zakreślał gzygzaki; naprożno mężczyzna siedzący na koźle starał się pohamować zapał

swych rumaków: niewprawna ręka ściągała zbytnio lejce, konie pędziły, wyrzucając kłęby piasku. Zaczęły z szaloną szybkością okrążać plac, waląc od czasu do czasu kopytami w pudło szarabana. Jak zjawisko dziwaczne i straszne pędziły, zakreślając koło i pozostawiając w środku całe zgromadzone towarzystwo, ekwipaże i inne konie. Wszyscy umilkli i śledzili z zadziwieniem ową piekielną jazdę czarnych koni, czarnego powozu i czarnego człowieka, który, olbrzymi, z ramionami ściągniętemi siedział na koźle, błyskając w skurczu rozpaczliwie skrzywionych ust dwoma rzędami dużych, zżółkłych zębów.

Orzecka przyłożyła do oczu swoją *face à main*, mężczyźni dobywali monokli.

— *Qui est-ce?* — pytano się wzajemnie.

Nagle Malewicz zaniósł się ze śmiechu.

— Kafthan! — krzyknął —daję słowo Kafthan!..

Tragiczny woźnica dobiegał mety, którą jego kapryśne rumaki zakreśliły sobie w przystępie chwilowego rozdrażnienia. Zwolniły bowiem biegu i zatrzymały się same, okryte kurzem i pianą. Kafthan, siny, trupio blady z gniewu i trwogi, nie śmiał ruszyć się na ławce. Szaraban jego o dwóch kołach, z dwiema poprzecznemi ławeczkami, nie miał właściwie kozła, lecz z prawéj strony coś nakształt wysuniętéj poduszeczki, na któréj powożący siedzieć musiał. Kafthan ostrożnie osunął się na ławeczkę, wyścielaną aksamitem centkowanym i przepiętym

rzemykami i zbladł jeszcze bardziéj, widząc biegnącego ku niemu Malewicza.

— Co to, Kafthan? — krzyczał Malewicz — kupiłeś sobie bestye apokaliptyczne z obrazu Chełmońskiego?

Na plac w téj chwili wjechało lando namiestnikowéj.

Cztery panienki, odziane w skromne kretonowe sukienki, siedziały w głębi powozu.

— Co za szczęście, że wreszcie zdołałeś pohamować swe jukiery — ciągnął Malewicz. — Ręczę, że czwarta panna namiestnikówna dostałaby spazmów, patrząc na twą jazdę!..

Zaczął konie oglądać.

— Drogo zapłaciłeś?..

Kafthan rad, że Malewicz odwraca rozmowę i że będzie mógł pochwalić się zapłaconą sumą, odpowiedział:

— Dwa tysiące trzysta razem z szarabanem.

— Czego? centów?...

— Nie! reńskich!..

— To za drogo!.. A ta szkapa ma *monatsblind* na prawém oku...

Kafthan poruszył się niespokojnie.

— Co znowu!..

— Naturalnie!.. Stoisz na przeciągu, szkapy zgrzane... jeżeli nie mają *monatsblindu*, to dostaną...

Nagle Malewicz otworzył drzwiczki szarabanu.

— Ja z tobą pojadę!

Kafthan pośpiesznie zaczął mu robić miejsce; wiedział, że przejdzie tortury, poddając się drwinom Malewicza przez cały czas drogi; czuł się jednak tak odosobnionym, iż byłby przyjął stu Malewiczów, aby tylko mieć któregokolwiek z tych paniczów w swoim ekwipażu.

Lecz teraz uwaga wszystkich zwróciła się nagle na ekwipaż Jurka Bodeckiego, zaprzężony w parę jukierów, z których jeden zwłaszcza był przedziwnéj piękności. Kosztował dwa tysiące guldenów i był bez zarzutu. Drugi, dobrany do maści i wzrostu, o wiele tańszy. Powóz — zwykła dorożka wiedeńska ze sławnemi kocami przewieszonemi przez kozieł. Woźnica — fiakier wiedeński, Bratfisch jakikolwiek, w zwykłém ubraniu dorożkarzy wiedeńskich. Zwartym murem otoczono jukiery, rozmowy wiodły się żwawe, szczebiot kobiet mieszał się z głosami mężczyzn. Jeden tylko Melunio Orlicki, urożowany i wyczerniony, spowity w długi płaszcz popielaty i straszny w tém oświetleniu słoneczném, wdzięczył się do czterech panien namiestnikówien, które apatycznie siedziały we wnętrzu landa.

Lecz ciągle jeszcze nadjeżdżały powozy, a nawet dorożki, przywożące przeważnie mężczyzn niemających własnych powozów. Właśnie Orzecka dziwiła się nieobecności Muszki, gdy zdaleka poznano konie i liberyę Dobrojowskich. Za chwilę Muszka, wy-

siadłszy z powozu, odziana w długi płaszcz ze złotawego mieniącego się jedwabiu z massą pelerynek, nastroszonych dokoła jéj ślicznéj głowy, witała się z Malenim, który natychmiast dał znak gotowania się do wyjazdu. Długie trąby zabłysły w powietrzu jak złote szpady i przeciągła, dziwaczna melodya rozległa się po całym placu, głusząc rżenie koni, brzęk uprzęży i szmer rozmowy. Grali trębacze *mail'u* Maleniego. Zrobił się ruch; zaczęto wsiadać do powozów wśród śmiechu, wrzawy i nawoływania się. Orzecka biegła ku swoim kucom, ciągnąc za sobą Musię Statnicką. Aureola kapelusza Muszki Dobrojowskiéj zabłysła na koźle *mail'u* wysoko po nad głowami wszystkich. Kafthan, zielony z trwogi i zdenerwowania, powstrzymywał swe „szkapy", które dźwięk trąb doprowadzał do szaleństwa. Teraz bowiem trąbom Maleniego odpowiadało echo trąb *mail'u* Bonickich, na który właśnie windował się z trudem Melunio Orlicki, pragnąc zająć miejsce w gronie panien, których jaskrawe parasolki zaczynały zamieniać powierzchnią breku na fantastyczny parter olbrzymich kwiatów.

Nagle, wśród chaosu i wrzawy, zajechała jeszcze jedna dorożka i wysiadł z niéj Wielohradzki, blady ze zdenerwowania i zmęczenia. W biurze dowiedział się z rozmowy, iż wszyscy mężczyźni biorą na siebie dziś płaszcze dla okrycia się przed kurzem, który na drodze do Paprotki był przysłowiowym.

Wielohradzki wybiegł z biura i do téj chwili szukał wszędzie gotowego płaszcza, który chciał kupić za wzięte od matki pieniądze. Znalazł wreszcie jeden, jedyny, popielaty z pelerynką, i porwała go głucha rozpacz! Płaszcz był według jego przekonania zbyt krótki. Lecz wysiadłszy z dorożki i rzuciwszy okiem dokoła, uspokoił się. Płaszcze Bodeckich i Pozbitowskich były jeszcze krótsze. To mu przywróciło trochę fantazyi, lecz teraz nie wiedział, gdzie się ma podziać, do jakiego wsiąść ekwipażu, do kogo się przyczepić.

Wszyscy ci ludzie zdawali się być sobą zajęci, tworzyli grupy, koterye, kółka, byli pomiędzy sobą jak jedna wielka rodzina. Wielohradzki wzrokiem zaczął szukać Muszki. Dostrzegł ją wysoko, królującą w tryumfie obok Maleniego, mającą po za sobą, jak dwór posłuszny jéj skinieniom, kilka rzędów kobiet i mężczyzn, zapełniających ławki *mail*'u.

Trąby dzwoniły wciąż uparcie i wesoło; służba, odziana w buty ze sztylpami i kapelusze z kokardami, gotowała się do zajęcia miejsca wewnątrz powozu.

Wielohradzki nigdy chyba nie znalazł się w tak głupiém położeniu. Nikt na niego nie zważał, nikt go zdawał się nie widzieć. Orzecka przejechała mimo niego, zajęta cała prowadzeniem swych kuców. Pozbitowski przebiegł jak strzała, dążąc do swego omnibusu. Wielohradzki obejrzał się za swoją do-

rożką. Miał ochotę wsiąść do niéj i pojechać za całém towarzystwem. Lecz natychmiast myśl ta go opuściła. Dorożka wobec tak świetnéj linii powozów! Ogarnął go żal do Muszki, do Maleniego, iż zaprosiwszy go, nie pamiętali o nim. Rozgniewany, rozżalony, zaczął myśléć o powróceniu do domu. Lecz właśnie *mail* Maleniego ruszył z miejsca. I Wielohradzki widział, jak Muszka w aureoli swego wielkiego kapelusza rozpoczynała wieść cały orszak roześmiany, rozbawiony i powoli oddalała się, znikając na zakręcie drogi.

Powozy szykowały się jeden za drugim, i teraz był to długi szereg najdziwaczniejszych ekwipaży, które zdawały się być ogonem komety, zatapiającéj się w słoneczną jasność białéj drogi, szeroko otwartéj i płynącéj w przestrzeń nieskończoną długością olśniewającego węża.

Wielohradzki cały rwał się za tymi, którzy oddalali się od niego z obojętnością najwyższą; gorączkowo obejrzał się dokoła. Wzrok jego padł na szaraban Kafthana, który cierpliwie czekał, ażeby zająć ostatnie miejsce w tym tryumfalnym pochodzie.

Jednym susem Wielohradzki dopadł do drzwiczek szarabana.

— Macie dla mnie miejsce? — zapytał, i nie czekając odpowiedzi, wskoczył do wnętrza powozu.

. . . . . .

Obiad miał się ku końcowi.

Teraz służba zapalała lampy, osłaniając je abażurami w formie kolorowych tulipanów, i ustawiała je na stole. Podstawy lamp tonęły w massie liści, z których obrus był utkany. Ta orgia kwiatów i zieloności odurzała i rozmarzała zarazem. Kobiety co chwila odrywały róże z tych niezliczonych girland, które wiły się wśród srebra i kryształów, i gryzły nadwiędłe listki. Tylko kandelabry z mchu utkane stały całe i niewzruszone, wznosząc ku górze snopy jarzących świec.

Podniesiono całą jedną ścianę namiotu i oparto ją wysoko na dzidach. Przez tę szeroką bramę wpływało chłodne powietrze wieczoru i blado-niebieski zmrok nadchodzącéj nocy.

I tylko drzewa w oddali nabierały wyrazistszych kształtów. Niektóre miały rozpięte korony, jak olbrzymie wachlarze delikatnéj koronki, inne karlały jak murzynki smutne i opuszczone, inne szły prosto w górę, jakby uciekając przed wzrokiem ludzkim, który krzywdę im czynił.

I drzew tych była moc cała, nieskończona, armia nierówna wzrostem i umundurowaniem.

Nawet niejednakowe światło, niejednakowe cienie owijały je teraz powoli. Gdzie niegdzie białe smugi wlokły się wśród paproci i gąszczu się chwytały — to znów szafir czysty zdawał się być resztką dziennego nieba, zabłąkaną wśród zmroku.

Wielohradzki wzrokiem te odcienie i formy śledził. Siedział koło dwóch podlotków, które mówiły mało, lecz jadły dużo cukierków. Muszka tronowała w klanie Bodeckich i bawiła się wesoło z Jurkiem, tęgim i rosłym chłopcem, o twarzy ogolonéj, przypominającéj stajennego chłopca lub wielkiego pana. Wielohradzki, którego rola wodzireja rozpocząć się miała dopiero w chwili otworzenia balu, nudził się w czasie tego obiadu i w duszy krytykował całe urządzenie stolu, znajdując tę profuzyę liści śmiesznym objawem sentymentalności miejskich majówkowiczów.

— Koniecznie zachciało się im jeść na trawie... — myślał teraz, licząc świece i starając się odkryć, w jaki sposób mech trzymał się na drewnianych szkieletach kandelabrów.

Ukryta wśród lasu muzyka grała *Symphonie pastorale* Saint Saëns'a, lecz nikt nie zważał na te produkcye. Wszyscy rozmawiali z ożywieniem, tak jak pod koniec każdego obiadu, przy którym znaleźli się wszyscy „swoi" i należący do jednéj sfery towarzystwa. Kilku wszakże ludzi milczało tak, jak Wielohradzki. Byli to urzędnicy z biura Maleniego, których on zaprosił na ową *partie de plaisir* z kurtuazyą wielkiego pana.

Siedzieli obcy, zmęczeni, znużeni, starając się przybierać o ile możności ożywione i pewne siebie miny. Naprzeciw Wielohradzkiego umieścił się

Kafthan, jeszcze groźniejszy i tragiczniejszy niż zwykle. Malewicz drogo kazał mu opłacić zaszczyt wiezienia go swym szarabanem. Drwił z niego bez miłosierdzia przez całą drogę, folgując w ten sposób swym nerwom nad wszelki wyraz udręczonym „czarną seryą", jaka się dla niego przy stoliku gry rozpoczęła od dni kilku. Teraz siedział obok Orzeckiéj i Stanickiéj i śmiejąc się coś im rozpowiadał. Kafthan był pewien, iż to o nim mowa, i gryzł się, przeżuwając tę zgryzotę, jak konieczną do wypicia truciznę.

Wielohradzki starał się nie patrzéć na twarz Kafthana i oczyma śledził wśród drzew resztki dnia dogasającego. Nie miał natury skłonnéj do marzeń, a jednak w téj chwili zapragnął serdecznie wyjść z tego namiotu, z pod snopów jarzącego światła i szeregu kolorowych tulipanów lamp, i pójść daleko w las, który filtrował przez szczeliny swéj piersi jasne błękity, szafiry, liliowe opale, biel pereł dogasającego światła i ciemne onyksy rozpoczynających się cieni. Pragnął przedewszystkiém znaléźć w spokoju i ciszy jakiś pozór do zbliżenia się do Muszki i wręczenia jéj owéj pamiętnéj kartki z karnetu, którą ona zwrócić sobie kazała.

W przystępie nadzwyczajnéj delikatności wytarł napisane przez dziewczynę wyrazy, tak, że teraz kartka była zupełnie biała i czysta, tak, jakby nigdy lekkomyślna ręka kobieca nie wezwała go na

schadzkę za jéj pośrednictwem. Uczyniwszy to, rad był z siebie niezmiernie. Kłamliwe wykręty Muszki, które rzucała mu z lodowatą obojętnością, imponowały mu niezmiernie. Chciał dorównać jéj choć w części i pokazać, że i on potrafi być wysoce „dyskretnym". Pewny był, że Muszka usiłowania jego odczuje, zrozumié i ocenić potrafi.

Dziś nie widział jéj prawie. Zabłysła mu wysoka na koźle *mail'u*, po nad czerwonemi smugami kół w aureoli swego wielkiego kapelusza. Późniéj przesunęła się koło niego z szelestem jedwabnych fałd płaszcza, którym otulała się zazdrośnie, kryjąc swą suknię przed oczyma innych kobiet. Słyszał ją tylko, jak prosiła Maleniego, aby zaprowadził ją do psiarni, i urywane zdania téj rozmowy dolatywały go wśród szumu lasu.

— Czy twoje nowe psy *courants* przybyły?

— Nie jeszcze, mam jednak cztery *Gordon Setters,* czarne, podpalane, prześliczne. Ręczę, że ci się podobają.

— Och, mnie się wszystkie twoje psy podobają. Pysznie je kompletujesz. A twoja suka gaskońska czy żyje?

— Żyje, ale nie mam już z niéj żadnéj pociechy. Chciałam ją wymienić u Jurka na dwa *Bassety,* wiesz, *Dachshundy* nizkie, ale przedziwnéj piękności, i dodać mu jednego z mych *Briquetów d'Artois,* lecz nie chciał...

— Czy to prawda, że *Paton'*a chciałeś dać Staniowi?

— Tak.

— Proszę cię, nie dawaj tego psa nikomu. Ręczę, że z niego będziesz miał pociechę... *Black fiels Spaniels* nigdy nie zawodzą...

Oddalili się, trzymając się pod ręce i Wielohradzki mimo woli patrzył, jak wśród gąszczu leśnego znikały ich sylwetki...

Poszedł obejrzéć miejsce przygotowane do tańców, poprawił girlandy, zdobiące estradę zarezerwowaną dla staréj Bodeckiéj, która zawsze musiała tronować, otoczona dworem hrabin i dam, wszedł po ścieżynce świeżo wygracowanéj i wijącéj się wężowo na dość wysoki wzgórek, odsłonięty i zakończony niewielką platformą obsadzoną liliami.

Z góry spojrzał na arenę, usypaną igłami, na nieskończoną ilość lampionów, pouczepianych na niewidocznych nitkach drutów, i stał tak chwilę udrapowany w fałdach swego *cache-poussière'*u, jak wódz w przeddzień walnéj potyczki.

Nareszcie zeszedł powoli, jakby z żalem, i szedł w stronę namiotu, pod którym zbierało się powoli całe towarzystwo. W drodze spotkał Kafthana, którego Malewicz wypuścił ze swych szpon, i dostrzegł, że Kafthan najwyraźniéj go unika. Przeszedł więc mimo i siedząc przy stole, starał się nawet nie spotkać ze wzrokiem swego kolegi biurowego. Obok

Kafthana dwóch gogusiów, ubranych modnie, mówiących nazbyt głośno, przez cały czas trwania obiadu unosiło się nad taktem i ostożnością, z jaką fiakier wiedeński schylił się dla ujęcia lejc i jak potém delikatnie a subtelnie trzymał te lejce trzema palcami każdéj ręki.

Teraz już rozmowa stała się ogólną w podnieceniu humorów, pomimo temperatury chłodnego wieczoru. Powietrze wiejskie upajało może więcéj niż wino. Kobiety zwłaszcza miały migocące iskierki w źrenicach, przyćmione odcieniem sentymentalności. Stara pani Bodecka, mająca w uszach brylanty wielkości korka od karafki, tronowała na honorowém miejscu, ze spokojem przywykłego do hołdów drewnianego Buddhy. Dezydery, pełen uśmiechu i uprzejmości, przyjmował od czasu do czasu zwierzenie, jakie mu rzucić raczyła. Daléj, w klanie młodszych kobiet ogniskiem, koło którego grupowały się spojrzenia, były Orzecka i Muszka, jedna podobna do ametystu w swych fijołkowych fularach, druga w lekkiéj jedwabnéj sukni, mieniącéj się złotem i zielenią, jak sukienka chrząszcza, czającego się wśród traw szerokolistnych.

Orkiestra grała teraz całą seryę starych menuetów i pierwszy skrzypek popisywał się solo, mając, jako akompaniament, dyskretny chór orkiestry całéj, przygłuszonéj jakby nagle opadającą zasłoną. Lecz nikt nie słuchał delikatnéj melodyi, i powstawać zaczęto

od stołu, na którym kwiaty więdły w gorącu świec, wydzielając powoli zapach spoconych i rozgrzanych ciał ludzkich.

W lasach zaczęły przebłyskiwać latarki. Panie naciągały okrycia i Wielohradzki, który jeden z pierwszych wysunął się z namiotu, widział, jak rozchodzono się po lesie grupami, parami, majacząc wzdłuż drzew, nakształt tajemniczych i dziwacznych cieni o bladych lub zupełnie ciemnych konturach.

Zapalił papierosa i zaczął iść także w głąb lasu, rad, że wreszcie znajdzie się sam i przestanie słyszéć chór uwielbień nad „dyskrecyą i taktem wiedeńskiego woźnicy, z jaką... i t. d.". Obejrzał się jeszcze za Muszką i dostrzegł, jak stała przed namiotem, owinięta płaszczem i otoczona całą grupą mężczyzn. Była w téj chwili od niego bardzo daleko myślą i całą swą postacią. Spuściwszy głowę na piersi, zagłębił się Wielohradzki w zarośla. Wiedział, że pobudka, wydzwoniona przez trębaczy, da znać o rozpoczęciu balu. Miał jeszcze najmniéj godzinę czasu przed sobą.

Szedł więc wciąż wązką ścieżyną wśród niewielkich krzaków, u których stóp wszędzie sterczały wachlarze paproci.

A paproci tych biała tak wielka ilość, a wysokość ich była tak olbrzymia, że chwilami szlak ścieżki ginął i Wielohradzki zapadał w tę ciemną zieleń po

pas i musiał odgarniać z całą siłą gałęzie, okrywające mu plastron koszuli.

— Zgubię się jeszcze w tym stepie — pomyślał, lecz nagle przejęła go jakaś radość — niech tam! — dodał w duchu — niech im prowadzi kotyliona, kto chce... skoro o mnie tak mało się troszczą.

Nagle zdawało mu się, iż posłyszał dźwięk pobudki, i porwał się do powrotu, lecz było to złudzenie słuchu; cisza była dokoła, cisza wielka przedwieczorna, zwiastunka nocnéj kołysanki. Gdzie las rzedniał, tam przez koronkę liści przeświecało teraz blado-żółte niebo. Wielohradzki kapelusz z głowy zdjął i pod chłód wieczorny poddawał rozpalone czoło. Ogarnęło go dziwne rozmarzenie. W kurzu miasta i klatkach biurowych wegetujące ciało upiło się przeczystém powietrzem wsi i do smutku ciągnęło duszę i serce. Sentymentalna strona jego kobiecéj natury zaczęła się budzić wśród tego wieczornego zmroku. Zapomniał w téj chwili o egoizmie i swéj narcyzowéj naturze. Człowiek pierwotny, drzemiący na dnie duszy każdéj ludzkiéj istoty, budził się w tym c. k. koncept-praktykancie, spaczonym przez wytwory pseudo-cywilizacyi. Pierś jego, rozrosłą i szeroką, krył krochmalny pancerz koszuli, wyprasowanéj przez matkę stalowém żelazkiem, a na karku sterczała obroża kołnierza i krawata czarnego, szerokiego, w stylu krawatów z trzydziestego roku. Tymczasem pierś pragnęła swobody, kark chciał się

uwolnić z obroży, całe ciało zaczęło dążyć do prostoty. Chwilę szarpało się nieudolnie i nagle zapadło w smutek wielki, wtórujący milknącym w mrocznych cieniach drzewom, widząc się spątane powijakami mody i konwenansów, tak, jak duch spętany był fałszywą chęcią osiągnięcia najwyższéj summy kłamanego i sztucznego zadowolenia.

Wielohradzki nie analizował jednak swego stanu duszy i ciała. Nie zapadł jeszcze na chorobę analizy, która przy jego słabéj woli stać się mogła śmiertelném niebezpieczeństwem. Przyjmował sytuacyę i uczucia tak, jak przychodziły, i patrzył na nie wprost, nie stając nigdy w roli obserwatora.

W téj chwili czuł się smutnym i osamotnionym. Zapóźniona wiewiórka zaszemrała wśród gałęzi i skakać zaczęła szybko z drzewa na drzewo. Wielohradzki śledził ją przez chwilę, lecz bez najmniejszéj ciekawości. Znikła mu wśród cienia gałęzi. On szedł daléj i nagle wydostał się na niewielką, okrągłą polankę. Pomiędzy kępami paproci szemrała woda. Kilka dużych głazów pokrywał mech i bluszcze. Wielohradzki usiadł na jednym z nich i wpatrzył się w szmat nieba, widniejącego po nad ową polanką. Śledził zmianę barw nieba i dziwić się zaczął, że nigdy nie zauważył téj subtelnéj przemiany tonów w chwili nastania zmroku. Zanurzył rękę w miękką kępę mchu i zerwał duży liść paproci. Nagle przyszła mu na myśl matka, która zawsze za wsią tęskni-

ła i miasta nie mogła znosić. Często chwaliła ciszę i urok wsi. Wielohradzki zaczynał rozumieć to jéj upodbanie. Oddychał lżéj i ten smutek, który go ogarnął, nie sprawiał mu fizycznego bólu. Zdawało mu się, iż zanurzono go nagle w jakiéjś chłodnéj kąpieli. Oparł głowę na ręce i siedział tak skurczony, smutny, bez śladu zwykłéj fantazyi i estetycznéj linii w formie pozy.

Nagle z boku polany rozsunęły się wachlarze paproci i pomiędzy tym bukietem olbrzymim i królewskim ukazała się Muszka, osłonięta szczelnie swym jedwabnym płaszczem. Na głowę zarzuciła jedną z pelerynek i spięła ją pod brodą, co tworzyło dokoła jéj twarzy rodzaj hełmu zapiętego ze złotéj blachy. Dostrzegłszy wstającego z kamienia Wielohradzkiego, szybko pobiegła ku niemu.

— Dobry wieczór! — zawołała prawie wesoło.

On tak był zdziwiony i olśniony tém niespodziewaném szczęściem, że stał, nie śmiąc się odezwać, ani wyciągnąć ręki.

Lecz ona już była przy nim i mówiła szybko, biegając oczyma po wierzchołkach drzew, otaczających polanę.

— Nie widziałam pana w chwili wyjazdu. Z kim pan przyjechałeś?

On, zdjęty nagle fałszywą ambicyą, nie chcąc się przyznać do jazdy w powozie Kafthana, odparł wymijająco:

— Z Malewiczem.

— A!.. sądziłam, że Malewicz jechał na *mail*'u, obok Statnickiéj...

Usiadła na kamieniu pomiędzy bluszczem a paprociami i obojętnie patrzyła dokoła.

Wielohradzki zdobył się na odwagę i ręką na okrąg polany ukazał.

— Ładnie tu? prawda? — zapytał.

— *Oui*!.. *pas mal*! — odparła Muszka i natychmiast dodała — widziałeś pan jukiery Bodockich? Nadzwyczajne!.. Maleni umiéra z chęci odkupienia ich za jakąkolwiek cenę. Ale Jurek powiedział, iż za żadną cenę nie sprzeda. Gdy byliśmy w psiarni, Maleni ofiarowywał Jurkowi cztery tysiące i swoje cztery nowosprowadzone *Gordon Settery*. I co pan powié... Jurek odmówił...

Mówiąc te słowa, wyciągnęła rękę w stronę Wielohradzkiego i położyła swe palce na dłoni młodego człowieka.

— Powiedziałam jednak Maleniemu — ciągnęła daléj, a w głosie jéj nie zaszła żadna zmiana — że jeśli Jurek po wyścigach zdecyduje się sprzedać jukiery, stanowczo mu radzę, aby sprowadził innego dorożkarza z Wiednia. Ten Bratnagel ma wygląd złego i ponurego człowieka...

Urwała na chwilę, poczém dodała:

— Nie lubię ludzi złych, być może dlatego, że sama jestem złą istotą...

Wielohradzki chciał zaprzeczyć, lecz sprytnie odczuł, iż zaprzeczenie to będzie zbyt banalnym frazesem.

— Pan jesteś dobrym, poczciwym chłopcem, prawda? — spytała nagle, pociągając go prawie ku sobie.—Ten właśnie łagodny wdzięk, *ce charme presque enfantin,* jest pana największą zaletą. Prawda, że pan nie umiész się gniewać?..

Wielohradzki z całą szczerością odpowiedział natychmiast:

— Nie!.. nie umiem!..

Był przy niéj tak blizko, iż mógł usiąść obok, na brzegu kamienia. Nie śmiał jednak, bojąc się ją spłoszyć. Przyklęknął tylko na poduszce z mchu, ciągle trzymając rękę dziewczyny. Zmrok zapadał coraz większy i nie można było dostrzedz kształtów paproci, które czerniły się w oddali zbitą massą tajemniczéj fali.

— Może się to panu dziwném wydawać, że sama będąc złą, lubię łagodne i dobre charaktery... — ciągnęła daléj dziewczyna — ale tak było ze mną od dziecka. Znosiłam tylko niańki, bony i guwernantki spokojne i ciche... Nie pamiętam, czy kiedykolwiek można było co u mnie uzyskać inaczéj, jak pokorą i prośbą...

Wielohradzki mimowoli zaczął przybierać pokorną postawę. Instynktem i taktem wiedziony, miał

w téj pokorze nutę dziecięcą, nawpół rozgrymaszoną, bez uniżoności żebraczéj.

Muszka patrzyła wciąż przed siebie szeroko otwartemi oczyma, jakby wśród ciemności odkrywały się przed nią nieskończone horyzonty.

— Naprzykład Mirzę, ponterkę francuską Maleniego, najlepiéj lubię z całéj psiarni Paprotki, bo pokorne to, dobre, kochane... Orzecką téż lubię, bo Marta jest najłagodniejszą kobietą na świecie... *Enfin* nawet w kwiatach, roślinach lubię bluszcze, mchy... bo to pełza pod stopami i ściele się pokornie...

Zapanowała chwila milczenia. Wielohradzki pragnął skorzystać z niéj i oddać Muszce ową kartkę z karnetu, lecz młoda dziewczyna nagle go spytała:

— Jakie pan ma imię?

Wielohradzki wstydził się trochę swego imienia. Ów „Tadeusz" brzmiał według niego bardzo pospolicie. Postanowił je więc upiększyć, tłómacząc je na francuski język.

— *Thaddée!*.. — odparł półgłosem.

Lecz ona zdawała się już nie słyszéć jego odpowiedzi, goniąc ciągle przesuwające się jéj przez umysł myśli.

— Pan wyjeżdża na lato?

— Nie wiem... prawdopodobnie...

— Przez Orzecką panu powiem, gdzie będę w lecie...

Tadeusz gorąco zaczął dłoń dziewczyny ściskać.

— Dziękuję!.. dziękuję!..

Pochylił się nad jéj ręką i całować zaczął drobne palce osłonięte duńską rękawiczką. Woń dzikiéj jabłoni ogarnęła go w téj chwili. Skóra rękawiczki przepojona była *Apple Bloosom'*em. Muszka ręki nie cofała i nizkim, trochę przyciszonym głosem rzuciła:

— Pokieruję tak, aby na *season* wybrać jakieś nieznane wybrzeże morskie... Zabawimy tam najmniéj dwa miesiące...

Zawiesiła głos i po chwili dodała, patrząc znów przed siebie:

— *Vous viendrez?.. n'est-ce pas?..*

— *Oui*!.. — wyszeptał Tadeusz — *oui*!..

Muszka na chwilę przymknęła oczy, lecz nagle powstała z kamienia, prosta i smukła, owinięta w złoto swego płaszcza i w nocne cienie, które teraz zdawały się podnosić z ziemi, jak kłęby czarnéj i fatalnéj mgły, grozy i smutku pełnéj.

— *Nous serons heureux!..* — wyszeptała nagle, jakby sama do siebie.

Po lesie rozległa się jękliwie pobudka.

— Bal się rozpoczyna!..—wyrzekł Wielohradzki.

— Tak!.. chodźmy!..

Wielohradzki sięgnął po portfel.

— Przedewszystkiém muszę zwrócić pani zgubę,

Muszka zadziwiła się prawie impertynencko.

— Moją zgubę?.. Pan?..

— Tak... oto ona..

Podawał jéj kartkę złożoną nie tak, jak była w bukiecie, lecz tak, jak zwykle leżała w karnecie.

— A!!. — wyrzekła Muszka — mówi pan, że to moja zguba?.. niechże i tak będzie... nie przypominam sobie jednak, czy zgubiłam podobny przedmiot.

Wyciągnęła jednak rękę, wzięła kartkę i zaczęła ją drzéć w drobniuchne kawałki.

— Tańczyć więc będziemy jedynie walca, kadryla i kotyliona? — zapytała, rozrzucając strzępki papiéru dokoła polany.

Wielohradzki doznał niemałego zawodu, widząc, iż Muszka nie dostrzegła jego nadzwyczajnéj dyskrecyi w wytarciu śladów jéj pisma.

— Tak!..—odparł—teren jest wysypany igłami, ale sądzę, iż jedynie walce i chodzone tańce można ryzykować. Miałem ochotę zorganizować *pavane*, gdyż cztery pary, które tańczyły go przeszłego roku w namiestnictwie, są dziś w komplecie, ale lękam się bez próby...

— Tak!.. tak!.. — odrzuciła Muszka – lepiéj nie ryzykować... Uciekam! . *Je me sauve*!..

— Pani pozwoli... będę towarzyszył... już ciemno!..

— Och!.. znam doskonale Paprotkę, nie boję się, a wreszcie...

Pobiegła w stronę lasu.

— *Marthe*!.. *Marthe*!.. — zawołała.

— *Me voilà*!.. — odparł głos Orzeckiéj.

I nie spojrzawszy nawet na Wielohradzkiego, Muszka z szelestem i szumem zanurzała się w morzu paproci.

. . . . . .

Kotylion ma się ku końcowi.

Setki lamp blado-zielonych i blado-różowych kołyszą się na gałęziach drzew. Gdzieniegdzie płoną pochodnie. Estrada cała utkana gwiazdami lampionów, z po za lasu ku górze, ku czarnemu oceanowi przeczystego szafiru biją snopy rac i tryskają bukiety złocistych fajerwerków. Muzyka gra jeszcze walca i w téj chwili Wielohradzki rozdaje różnokolorowe szklane latarki w formie gwiazd, które tancerze za pomocą rusztowań drucianych, opasujących ich ramiona i czaszkę, przytwierdzają sobie na czubku głowy. Śmiechy i żarty głuszą niemal dźwięki orkiestry, grającéj *pianissimo*. Orzecka zanosi się ze śmiechu, nie mogąc wejść w zbyt ciasny na jéj okrągłe ramiona pancerz drucianéj ktatki. Malewicz pragnie jéj przyjść z pomocą, lecz ona zwraca się z prośbą ku Dezyderemu, który zeszedł z estrady, od boku staréj pani Bodockiéj, i wmieszał się pomiędzy tancerzy, zaciekawiony mnóstwem kolorowych światełek, które migotały teraz już na głowach tancerzy. Za nim Melunio Orlicki, zziębły pod warstwą bieli-

dła, szedł jak cień nieodstępny, prezentując w tém czarodziejskiém oświetleniu swą bladą twarz staréj i źle zakonserwowanéj mumii. I teraz powoli w ślad za nimi osoby niebiorące udziału w kotylionie schodziły z estrady i mieszały się z tancerzami pod szmerem, szerokim baldachimem rozłożonych nad placykiem, gałęzi. Jasne sukienki kobiet nabierały w tych refleksach zielonych i pomarańczowych latarni tęczowych blasków, skradzionych z palety jakiegoś Van Gogha. Tu i owdzie nagle występowała blada twarz dziewczyny, twarz dziewic Boticellego o massie złotych włosów dokoła wydłużonego profilu, oblanego zieloném światłem, które czyniło z niéj nieziemską istotę, planującą w przestrzeni. To znów jaskrawy blask odcinał ramiona i plecy jakiejś kobiety, któréj głowa, okryta czarną massą włosów i pochylona na piersi, niknęła w cieniu.

I był to cały zbiór istot fantastycznych, chwilami monstrualnych, dzwoniących hałasem i śmiechem, tonących w powodzi dwubarwnych plam, szeleście drzew i delikatnéj harmonii menueta.

Zdaleka na estradzie, jak oczy mistycznego wilka, świeciły brylanty staréj pani Bodockiéj, rozdzielone bladawą plamą jéj twarzy. Dokoła niéj grupowały się inne kobiety w obramowaniu różnokolorowych lampionów. Potok łamiących się jedwabiów zalał estradę ciemnawą kaskadą. Gdzieniegdzie połyskiwały tony szmaragdu lub rubinu i niknęły w po-

wodzi przytłumionych tonów. U stóp estrady, zbity w jeden wał, tłum mężczyzn czerniał, kończąc te harmonię ciemni, wśród któréj jarzyły się ognie *dormeuses* i żółte światło kandelabrów, płonących wewnątrz namiotu.

Wielohradzki dobywał ostatek sił, aby przyśpieszyć ową finalną apoteozę kotyliona. Prowadzenie tańców pod odkrytém niebem nużyło go niewymownie. Zachrypł, pomimo, iż od owego pamiętnego wieczoru, podczas którego po raz pierwszy ujrzał „Dom otwarty", starał się nie krzyczéć głośno i komenderować dyskretnie. Pomimo tego jednak gardło go bolało i czuł wielkie znużenie. Kotylion był wyjątkowo świetny i tancerze sprawili się karnie. Teraz jednak należało antrakt skrócić, aby nie osłabiać wrażenia. Biegał więc tu i owdzie, zaklinając, prosząc o pośpiech, pomagając w przymocowaniu rusztowań drucianych, ustawiając kolejno mężczyzn i damy. Hałas jednak wzmagał się, wszyscy żartowali, nie śpiesząc się bynajmniéj, zadowolnieni z téj teatralnéj *féerie*, do któréj gotowali się z przejęciem, jak do walki z wiatrakami. Wielohradzki biegł ku Orzeckiéj, która miała na bakier przekrzywioną lampkę i śmiała się, otoczona całym sztabem młodzieży. Lecz nagle ogarnęło go zniechęcenie. Opuścił ręce, widząc, iż jest sam jeden przeciw całemu batalionowi, i stanąwszy na środku areny, oczyma szukał Muszki. Stała tuż obok niego, rozmawiając

z Pozbitowskim. Złote słońce, jasne i przezroczyste, błyszczało po nad jéj głową. Szeroko rozchodziły się promienie tego słońca, szklane, delikatne, o gorąco żółtéj barwie. Wewnątrz, ukryte tajemniczo, płonęło światło, rozświetlające swym blaskiem całą powierzchnię słonecznéj lampy. Wszystkie inne latarki w formie gwiazdek malały i bladły wobec tego wspaniałego słońca, płonącego jasno po nad kaskiem rudawych włosów Muszki, włosów, które teraz mieniły się całą massą rubinowych iskier i miedzianych refleksów.

Mieniąca się suknia, która owijała jéj ciało, wydawała się utkaną ze złota i zieleni. Szeroko wycięta u szyi, z olbrzymiemi rękawami, kończącemi się wysoko po nad łokciami, dawała jéj pozór jakiejś fantastycznéj libelluli, zabłąkanéj wśród nocy, z rozpiętemi do lotu gotowemi skrzydłami. Wązkie i długie ciało, silnie obciśnięte mieniącą się materyą, wykwitało z nad ciemni, jak łodyga wspaniałego egzotycznego kwiatu.

Wielohradzki wpatrzył się w to urocze zjawisko i zapomniał na chwilę o swém wodzirejostwie. Słyszał jéj głos nizki, leniwy, słyszał, jak mówiła do Stania, wzruszając lekko ramionami:

— A gdyby i tak było?..

Stanio kręcił głową.

— Nie byłoby w tém najmniejszego sensu.

— Dlaczego?

— Statnicka jest bardzo bogata, a Malewicz nie ma ani centa...

Muszka znów wzruszyła ramionami.

— Cóż ztąd? — zapytała.

— Jakto? różnica majątkowa!

— Och! to nie przeszkoda...

Oddalili się, rozmawiając, i Wielohradzki uczuł, iż nagle jakiś ciężar moralny spada mu na piersi, coś nakształt refleksyi, zastanowienia się...

— Różnica majątkowa... — pomyślał — według niéj to nie przeszkoda!..

Lecz już szukano go, gdyż wszyscy mieli przytwierdzone lampki i teraz sami pragnęli znów rozpocząć tańce. Wielohradzki pobiegł ku muzyce i grać kazał farandolę. Zabrzękły tamburyna, zagrzechotały bębny i zapiszczały flety. Piosenka południa Francyi popłynęła w dal, ku paprociom galicyjskim. Śpiew chłopów Prowancyi wiódł do tańca łańcuch arystokracyi lwowskiéj. Powoli zaczął szykować się ów łańcuch i Wielohradzki dobierał barwy gwiazd według ułożonéj gammy przez jednego z nadwornych malarzy kasyna. Na czele zabłysło słońce Muszki.

Wielohradzki zbliżył się do niéj.

— Rzecz ułożona... pani powiedzie farandolę na sam szczyt pagórka, ja pilnować będę oświetlenia...

Uśmiechnęła się do niego w blaskach swego słońca, które oblewało ją złotą falą. Wielohradzki uczuł,

iż traci głowę. Zebrał jednak resztę przytomności i klasnął w dłonie.

— *En route!..* — zawołał.

Orkiestra wybuchnęła z całą siłą i Muszka popłynęła, znacząc takt dyskretnie, aby nie naruszyć estetycznéj linii, w jakiéj słońce płynąć miało. Wielohradzki cofnął się z areny ku krzakom, wśród których stali ukryci elektrotechnicy, mający rzucać elektryczne promienie na tańczące grono. W ciemności jednak, wiedzeni przez Muszkę, okrążali tancerze arenę, tworząc koło barwne, mieniące się od świateł, jak pierścień olbrzymi sadzony szafirami, rubinami, topazami, szmaragdami i spojony słońcem-brylantem. Klejnoty te zdawały się płynąć same w przestrzeni, bo tancerze, według informacyi Wielohradzkiego, starali się opuszczać twarze, aby nie psuć efektu.

I pierścień ten wił się teraz wężowo, jakby łamany nagle palcami olbrzyma, aż nagle rozerwał się na dwie części, które mijać się wzajemnie zaczęły i wreszcie złączone mieszały się harmonijnie po to, aby rozprysnąć się nagle w promienie krzyża, którego środek stanowiło słońce, płonące na czole Muszki. I teraz twarze zaczęły majaczyć fantastycznie, tajemniczo, przyciemnione obramowaniem włosów i u mężczyzn odcięte od reszty korpusu ciemną linią odzieży. I była to cała armia głów bez ciał, płynących w przestrzeni, roześmianych lecz milczących, często bladych trupio w błękitnym blasku, to znów

purpurowych jak upiory w krwawém oświetleniu. I tylko, jak punkt kulminacyjny potężny i wspaniały, wytryskiwał z téj farandoli ściętych głów jaszczurczy tors Muszki, złoty, promienny, z białą plamą twarzy, pleców i karku. Wielohradzki, oparty o pień drzewa, śledził ewolucye tancerzy z gorączkowém natężeniem. Czuł, iż orszak ten, fantastycznie piękny, ma w sobie czar sabbatu nieszkodliwych upiorów, wiodących taneczny korowód przy dźwiękach wygrywanéj na gałęziach drzew symfonii północy. Wzrok jego gonił za Muszką i za wzrokiem biegła cała jego istota. Widział tylko niepewną sylwetkę jéj twarzy i biustu i teraz więcéj niż kiedykolwiek wydała mu się niepochwytną, doskonale harmonijną istotą. Zaczął mimowoli przypominać sobie całą rozmowę, przeprowadzoną na polance, i ogarnęła go gorączka. Obiecał, że przyjedzie nad morze... obiecał!..

Tymczasem farandola płynęła teraz powoli w stronę wzgórka, który zupełnie tonął w cieniu. Muszka bez wahania wiodła cały łańcuch i zaczęła piąć się po ścieżce, która spiralnie wznosiła się ku górze. Wielohradzki zbliżył się ku elektrykowi, który zaczął gotować się do rzucania promieni.

Wąż farandoli, sadzonéj szafirami, rubinami, topazami, płynął wciąż ku górze w takt dziwacznéj muzyki, drażniącéj formalnie nerwy. Słońce-Muszka wznosiła się powoli, coraz wyżéj, jakby na skrzy-

dłach nocnych mgieł, i wiodła za sobą cały rój gwiazd, orszak barwny i migocący, królewski dwór, królewskiego jéj majestatu godny. Wszyscy na estradzie zgromadzeni i wśród areny stojący goście śledzili wzrokiem to promienne słońce, które biegło w ciemnie i chwilami wydobywało na jaw bladą twarz kobiecą i biust spowity w złotą tkaninę. Płytnęła tak wśród ciemności, pierwsza i najpiękniejsza ajemnicza i ciągnąca oczy ludzkie niewysłowionym, czarem piękności i nieukróconéj pychy. I nagle zatrzymała się na szczycie wzgórka, unieruchomiając całą farandolę, któréj wężowa linia, utkana gwiazdami, łączyła ją z ziemią migocącym łańcuchem.

Purpurowy, mieniący się zielenią i złotem promień światła oblał ją nagle gorącą kaskadą i z niéj spłynął ku innym tancerzom, stojącym teraz nieruchomo, jak szereg różnobarwnych posągów. Blaski lampek zgasły, lecz natomiast całe orgie barw grały teraz na fałdach sukien, na massach włosów, na szmatach ciał, na twarzach kobiet. I punktem kulminacyjnym tych blasków, źródłem światła promiennego, tęczą roztopionych klejnotów — była Muszka, wspaniała, tryumfująca w swéj piękności, wykwitająca z ciemnéj zieleni, jak kwiat złoty, czarowny i legendowy, z łodygi swego ciała, spowitego w mieniącą się blaskami złota i szmaragdów szatę. Nie śmiała się teraz; nagle spoważniała, z oczyma przy-

słoniętemi ciężarem powiek, z ustami zaciętemi w tajemniczém milczeniu.

Wielohradzki patrzył na nią jak na drogocenny brylant oprawny w złoto i rozrzucający dokoła słoneczne promienie i czar powabu kobiety z hojnością marnotrawcy. Wszystko płynęło ku niéj: spojrzenia i uwielbienie ludzi, promienie światła, tęcza barw, służąca jéj za tło, na którém jaśniała w tryumfie, w niezwyciężonéj i wiecznie doskonałéj piękności dziewiczéj.

VII.

Powoli zapadał zmrok i wkradał się do okna, przy którym szyła Wielohradzka.

Koło niéj Tecia składała już robotę i przysuwała maszynę do ściany.

Stara kobieta usiłowała napróżno nawlec igłę.

— Niech pani pozwoli... ja nawlekę!.. — wyrzekła Tecią—wyciągając rękę.

Wielohradzka podała jéj igłę i nitkę. Tecia zbliżyła się do okna i zaczęła nitkę zębami przygryzać.

Wielohradzka patrzyła na nią przez chwilę. Blada twarz młodéj dziewczyny nabrała teraz bladości opłatka; jedynie tylko czarne oczy świeciły się wśród téj białéj maski.

— Brałaś dziś pigułki? — spytała nagle Wielohradzka.

— Brałam, proszę pani.

— A piłaś wino czerwone?

— Piłam, proszę pani. Wczoraj babci pani Bodocka przysłała dwie butelki... Babcia mi dała do obiadu pół kieliszka.

Podała Wielohradzkiéj nawleczoną igłę.

— Proszę pani, już nawleczone!..

Lecz Wielohradzka zaczęła także składać robotę.

— Ciemno już... nie widzę... mogę sobie do reszty oczy popsuć...

Zwróciła się znów ku Teci:

— Niechże Tecia pamięta święcie słuchać doktora: brać pigułki i leczyć się. Tecia jest chora na niedokrwistość. Taka choroba nieuleczona może się na złe obrócić.

Tecia machnęła ręką.

Wielohradzka gest ten pochwyciła i zmarszczyła brwi surowo.

— Tecia jest głupia!.. — wyrzekła dobitnie. — Naczytała się znów Tecia romansów i zachciało się Teci umiérać. To grzech wyzywać śmierć, kiedy Bóg w nieskończonéj dobroci swéj Teci jeszcze do grobu iść nie każe. Czy Tecia zwaryowała, bawiąc się w jakąś desperacyę? Ma Tecia z łaski Boga i babki co jeść, w czém chodzić, gdzie spać, ma Tecia rodzinę zacną i dającą jaknajlepsze przykłady... czego się Teci zachciewa?

Tecia stała, przestępując z nogi na nogę i łykając ślinę. Ciemne oczy utkwiła w zamknięte drzwi, prowadzące do pokoju Tadeusza.

— Być może... — ciągnęła daléj Wielohradzka — iż z czasem trafi się Teci jaki poczciwy człowiek, i Tecia pójdzie za mąż...

— Nie, proszę pani!..—przerwała nagle dość rezolutnie Tecia — ja nie pójdę za mąż!..

— Tecia jest jeszcze głupsza, niż przypuszczałam — odburknęła Wielohradzka. — Jeżeli się znajdzie uczciwy, z dobrém nazwiskiem i odpowiedniém stanowiskiem człowiek, to nikt Teci o zdanie nie będzie pytał. Zrobi się to, co się zrobić powinno... Słyszała Tecia?.. A teraz idź do domu, bo trzeba babce i Felkowi herbatę przygotować.

— Idę, proszę pani.

Z poręczy sofki zdjęła Tecia włóczkową chusteczkę i, owinąwszy się nią powoli, jakby z żalem, kierowała się ku wyjściu. Lecz nagle drzwi prowadzące do pokoju Tadeusza otworzyły się i w progu stanął sam Tadeusz. Natychmiast Tecia przyśpieszyła kroku i uciekła, jakby złapana na gorącym uczynku.

Tadeusz nie spojrzał nawet na wychodzącą, lecz powolnym, ospałym krokiem zbliżył się ku matce.

Ona wyciągnęła ku niemu rękę i z największą troskliwością ujęła jego dłoń.

— Tadziu!.. ty masz gorączkę!—wymówiła z odcieniem trwogi w głosie.

Tadeusz usiadł naprzeciw niéj na framudze okna i zaspanym wzrokiem powiódł dokoła.

— Nie mam gorączki!.. — wyrzekł powoli — tylko spałem długo i mocno!..

Ziewnął i dodał natychmiast:

— Niech mamuś da herbaty... Wypiję i położę się na dobre... Spać mi się chce...

Wielohradzka patrzyła na syna z wyrazem wielkiego współczucia.

— Musisz być chory... ciągle teraz śpisz... może odsypiasz karnawał... ale to nienaturalne... Dlaczego nie czytasz?.. dawniéj czytałeś przez całe lato!..

Wielohradzki skrzywił się leniwo i z framugi osunął się na krzesło.

— Och!.. dawniéj to co innego... teraz nie mogę czytać... w głowie mi się miesza!..

Położył głowę na kolanach matki.

— Strasznie jestem zmęczony i śpiący — wyrzekł wpół sennym głosem.

Wielohradzka pochyliła się i pocałowała syna w czoło.

— Wiem, co cię trapi — wyrzekła pocichu—ale bądź dobréj myśli: wszystko się na dobre obróci.

Tadeusz szybko podniósł głowę.

— Tak mamcia myśli?

— Naturalnie. Inaczéj miałabym o pannie Dobrojowskiéj bardzo złe wyobrażenie... Ale pod tym względem jestem spokojna. Znam jéj matkę i choć jest tylko Jeleń z domu, ale wiem, że ma doskonałe

zasady i musiała je przekazać córce... Dla zabawki, z lekkomyślności taka dystyngowana i dobrze wychowana panna, jak Muszka, nie rozpoczyna tak ważnego kroku. Bądź spokojny: świetniejszą widzę przed tobą przyszłość, niż marzyć mogłam...

On patrzył na nią cokolwiek więcéj ożywionym wzrokiem. Od kilku tygodni o szaréj godzinie rozmawiali teraz otwarcie, gdyż Wielohradzki, trapiony swém kobiecém usposobieniem, czuł konieczną potrzebę jakiegoś dyskretnego powiernika. Wielohradzka, instynktem wiedziona, odgadła prawdę, półsłówkami doprowadzała syna na drogę zwierzeń i szybko uzyskała od zdenerwowanego chłopca dokładne określenie jego stosunku z Muszką. I nagle wypadło z jéj ust słowo, które jak grom uderzyło w Tadeusza.

Małżeństwo!

Według Wielohradzkiéj syn jéj mógł się ożenić z panną Dobrojowską. I przed olśnionym chłopcem zaczęła roztaczać tysiące przykładów, tysiące małżeństw, w których mąż oprócz nazwiska i urody nie przyniósł nic ze swéj strony. Według niéj te małżeństwa były bardzo szczęśliwe i dowodziły wielkiego przywiązania, boć i mężczyzna czynił *ofiarę* ze ze swéj miłości własnéj, przyjmując posażną żonę, i abnegacyą tą dawał jéj dowód swéj bezinteresownéj miłości. Było to dowodzenie cokolwiek bałamutne, lecz Wielohradzka czerpała je rzeczywiście

w głębi duszy, przekonana o prawdzie słów swoich. I nagle zaczęła gorąco kochać tę Muszkę, nieznaną, zaledwie dojrzaną w cieniu kościelnym, która wyróżniła jéj syna i z taką lekkomyślną szczerością zdawała się objawiać mu swe uczucia.

I od téj chwili Wielohradzka całemi godzinami komentowała wraz z synem każde słowo, każdy ruch, każde spojrzenie Muszki. Wyszedłszy z założenia, że Muszka, wychowana za granicą, ma swoje pojęcia i swój odrębny, a czasem nadto swobodny sposób zachowania się, tolerowała teraz w niéj wszystko, zaślepiona macierzyńską miłością, nieprzerażona niczém, nawet kartką, nawet potajemnemi uściskami rąk, igrających z palcami Tadeusza, jak z bukietem kwiatów lub ze skrzydłami wachlarza.

Wielohradzka widziała to jedno, iż Muszka kochała się w jéj synu. Kochając i przyznając się do tego uczucia, musiała myśléć o małżeństwie. Wielohradzka bowiem nie znała *flirtu*, nie wiedziała nic o tym nowomodnym objawie neurastenii i przewrotności ludzkiéj. Przyjmowała uczucia prosto i nie pojmowała inaczéj rozwiązania miłosnéj intrygi, jak w połączeniu dozgonném. Pomimo zaślepienia wiedziała doskonale, że pomiędzy Muszką a Tadeuszem leży cała przepaść, lecz, na romantyzmie wykarmiona i wyhodowana, sądziła, iż miłość Muszki zdoła tę przepaść wypełnić. Dlatego więc owo tajemnicze i niewyraźne postępowanie panny Dobrojowskiéj

znajdowała dość naturalném i tłómaczyła je delikatném sondowaniem serca i siły miłości, zanim do otwartéj walki z rodziną i światem przyjdzie. Wiedziała, iż walka ta będzie gorąca, ciężka i długa, ecz ani na chwilę nie wątpiła o zwycięstwie Tadeusza. Dziś rodzaj arrogancyi Muszki wydawał się jéj tylko objawem silnéj woli, i to, co dawniej poczytywała jéj za wadę, dziś dawało jéj rękojmię doskonałości charakteru dziewczyny. Słowem — według Wielohradzkiéj—była to „Miłość ubogiego młodzieńca" z bardziéj ludzką i szlachetniejszą bohaterką.

Ona zaś stawała po za postacią swego syna, gotowa także do walki, zbrojna w bezgraniczną miłość macierzyńską, w fałszywie pojęte przekonanie o szczęściu życiowém, i gorączkowo pragnęła jak najszybszego wyjaśnienia całéj sytuacyi. Zalecała jednak synowi dyskrecyę i cierpliwość, zachęcając go do zdania się zupełnego na wolę Muszki.

— Ona wié, czego chce, i wié najlepiéj, jakiemi środkami zdoła przeprowadzić swe plany!.. — mówiła Wielohradzka do syna.

I teraz, o szaréj godzinie, rozpoczynali ciągle i zawsze jedną i tę samę rozmowę, z tą jednak różnicą, iż o ile on stawał się niepewnym i wahającym, o tyle ona zdawała się być zupełnie spokojną, ufną i pełną otuchy. Lękała się zawsze, aby Tadeusz nie zawiązał stosunku z jaką zamężną kokietką, którąby mogła lekkomyślnością swoją zepsuć mu sytuacyę

w świecie, w którym przebywał. Zrozumiawszy, iż w całéj téj sprawie chodzi o Muszkę, doznała olśnienia. Widziała syna swego mężem panny Dobrojowskiéj, komisarzem cesarsko-królewskim, starostą w Żółkwi lub Sądowej Wiszni.. później może... kto wié, starostą w Krakowie...

Serce jéj biło gwałtownie. Do ust cisnęła się modlitwa dziękczynna. Nareszcie... syn jéj nie zginie, „nie zmarnuje się" i zajmie przynależne mu stanowisko. Nie mówiła jednak z nim o karyerze. Wiedziała, iż owe możliwe awanse, owa drabina dygnitarska nie olśniewała go i nie ciągnęła nigdy. Kryła tę ambicyę w głębi duszy. Z Tadeuszem mówiła tylko o Muszce. Widziała, iż syn jéj zaczynał kochać się niemal po dziecinnemu, po studencku. Rzuciła słowo „małżeństwo" —i zmieniła tor jego myśli.

Od téj chwili Tadeusz spoważniał i zaczął sam uważać się za feuilletowskiego bohatera. Miał oczy powleczone mgłą i zdawał się ciągle myślą błądzić w przestrzeni. Ożywiał się tylko, rozmawiając z matką o Muszce, zdjęty kobiecą potrzebą zrzucenia ciężaru, jaki dręczył jego moralną istotę, egoistycznie nudny w ciągłém przeżuwaniu jednych i tych samych frazesów, które nizał na różaniec miłosnego samolubstwa.

Lecz Wielohradzka, równie jak on nieznużona, powracała teraz ciągle do tego tematu, podsycając nieustannie jego imaginacyę i tworząc dokoła niego

atmosferę romantyzmu, przesiąkłego platoniczną obecnością Muszki. I Tadeusz dążył teraz do domu z najwyższą niecierpliwością, wiedząc, iż tam tylko jedynie może mówić swobodnie, myśléć głośno i że znajdzie w głosie matki echo własnych myśli. Winszował sobie, że wpadł na dobry projekt uczynienia z matki powiernika, który dodawał mu energii i słabnącą wiarę rozbudzał.

A wiara ta w istnienie jakiegokolwiek uczucia ze strony Muszki słabła teraz coraz więcéj, gdyż Muszka od chwili owéj rozmowy w Paprotce nie dała o sobie nawet znaku życia. Znając jéj kapryśne usposobienie, Tadeusz bał się jéj narzucać swoją osobą i teraz jedynie Wielohradzka chodziła do katedry, o godzinie dwunastéj w niedzielę, aby ujrzéć zdaleka Muszkę i powiedzieć o tém synowi. Lecz widziała ją zaledwie dwa razy.

Nadchodziły wyścigi; cała arystokracya galicyjska zaczęła ściągać do Lwowa. Urządzano nieustannie *Schnitzel-Jagdy* i Tadeusz słyszał, jak w biurze Malewicz, Pozbitowski i inni „koniarze" komentowali i rozbierali wypadki dnia poprzedniego, rzucając jak kulami, nazwiskami Dobrojowskich, Bodockich, Statnickich i innych. Wiedział, iż Orzecka miała fatalną szkapę i nosiła pod amazonką popielate jedwabne trykoty. Słyszał, jak Malewicz, zanosząc się ze śmiechu, opowiadał, iż wmówił w Kafthana, że koń jego wierzga, i Kafthan powinien sobie kazać na

plecach rajtroka wyszyć wielką podkowę z białego sukna. Kafthan pochwycił tę myśl z wielką skwapliwością i dał odpowiednie polecenie krawcowi. Malewicz obiecywał sobie wiele radości z powodu owéj podkowy. Lecz już Stanio Pozbitowski blagował i śmiał się z Malewicza, który, będąc wybornym graczem, nie był tęgim jeźdzcem. Wygrawszy niedawno w karty znaczną summę, zjawił się nagle na placu Jura w chwili wyruszania całéj kalwakady na „halbblutce", kupionej naprędce ze stajni Bodockich i mającéj brzydkie przyzwyczajenie tarzania się w piasku. Klacz, widząc step złotego piasku, ścielącego się dokoła, zapragnęła użyć kąpieli i położyła się, zmuszając Malewicza do zeskoczenia z siodła, ku wielkiéj uciesze Kafthana i całego towarzystwa. Stanio Pozbitowski, opowiadając ten fakt, śmiał się do łez. Wtórował mu Jurek Bodocki, który klacz natychmiast odebrał i pieniądze Malewiczowi zwrócił. Malewicz przyjmował te drwiny wesoło i piękna twarz jego, roweselona i rozjaśniona, zadziwiała siedzącego przy biurku Wielohradzkiego regularnością rysów i czystością liliową doskonale pielęgnowanéj skóry.

Lecz w téj atmosferze plotek i stajennych przygód nie wspominano nigdy o Muszce. Wielohradzki nie śmiał się o nią pytać, lękając się zdradzić ze swą tajemnicą. Wiedział tylko, że była we Lwowie, gdyż raz Pozbitowski przyniósł zbiorową fotografię

całego „towarzystwa" w chwili rozpoczęcia *Sznitzel-Jagdu*, prowadzonego przez Orzeckiego, któremu przypadła rola jelenia.

Pozbitowski zbliżył się do stolika, na którym leżała fotografia, i wymieniał osoby, wskazując je ołówkiem.

— Orzecka!.. o tu... wsiada na swoją szkapę... koło niéj Melunio w płaszczu i — w cylindrze na bakier... tu ja, tu — moja matka i dwie siostry, a tu stara pani Bodocka, tu hrabianki... niedaleko Kafthan...

— Nieprawda!.. pokaż!.. — zachichotał Malewicz.

Pochylił się nad stolikiem i śmiał się, mając usta zapchane rogalikiem i cukrem.

— Jak Boga kocham, prawda!.. — wołał — prawie przy samym powozie... umyślnie się tak umieścił... Hej!.. panie Kafthan...

Natychmiast w sąsiednim pokoju dały się słyszéć ciężkie kroki i na progu ukazała się olbrzymia, tragiczna postać Kafthana.

— Widziałeś pan fotografię?..

— Jaką?..

— A no zbiorową, z ostatniego *Schnitzlu*... Dlaczego umieściłeś się pan u stóp czwartéj panny?

Z pod brwi krzaczystych Kafthan rzucił na Malewicza ponure spojrzenie.

— *Malédiction*! — wrzasnął „koniarz" — co za

oczy!.. *jettatura!*.. z pewnością dziś przegram moje ostatnie czterysta guldenów!..

Lecz Kafthan wyszedł z pokoju ciężkim krokiem, pochylając jeszcze więcéj zgarbione plecy. Tymczasem Pozbitowski przyglądał się drobnym figurkom, czerniącym się na fotografii, i starał się rozpoznawać fizyognomie.

— Zdaje mi się, że to... Maleni!.. tak, to jego łysina!

— Pst!... — zasyczał Bodocki, pokazując drzwi prowadzące na kurytarz.

— A to Muszka Dobrojowska, obok niéj Muszka Zahorowska, a tu niżéj Muszka Hrunicka...

Wielohradzki wpatrzył się w czarną plamkę, mającą reprezentować Muszkę, *jego* Muszkę... i mimowoli przedstawiał sobie chwilę, w któréj ta fotografia była zdejmowaną. Słoneczny plac Jura, setka ekwipaży, stroje kobiet, świetny szyk mężczyzn, wesołość, nietroszczenie się o jutro, bezustanna zabawa, jedna smuga śmiechu, błysku i wszelkich estetycznych zadowoleń. Ze świata tego był on prawie wykluczony, czasem jednak dopuszczany w chwili, gdy świat ten błyszczący kręcić się zaczynał. On w ruch puszczał i kierował. Lecz był zabiedny, aby módz znajdować się na takiéj fotografii i stanowić jedną z tych czarnych plamek, które były odbiciem ich postaci. Rozgoryczony powrócił do domu i, nie jadłszy prawie obiadu, rzucił się na łóżko. Zaczął

po raz pierwszy może tak dotkliwie odczuwać swoją nędzę i ubóstwo. Dawniéj owe *Schnitzel-Jagdy* były mu obojętne. Dziś marzył o nich z gorączkową pożądliwością.

O szaréj godzinie przywlókł się do owéj framugi okna i usiadł naprzeciw matki, zdręczony, zbolały stokroć więcéj, niż to Wielohradzka przypuszczać nawet mogła. Ona, zmęczona całodzienną pracą pośpieszną, z całą przyjemnością zanurzyła się moralnie w ową kąpiel romantycznego uczucia i sama naprowadziła syna na drogę zwierzeń. Lecz dziś Tadeusz milczał, czując w sercu, oprócz miłosnego niepokoju, jad dręczących go od rana myśli. Nie mógł i nie chciał mówić o nich przed tą kobietą, która pokłóte palce owijała szmatkami płótna, pragnąc je wygoić do jutrzejszéj pracy. I w milczeniu tém się trawiąc, cierpiał więcéj, bo jego natura potrzebowała koniecznie ujścia. Milczał jednak, i szary cień zapadał mu na twarz, cień smutku i wielkiego niezadowolenia.

Tymczasem Wielohradzka starała się obudzić wiarę w sercu syna. Po raz setny powracała do tł - maczenia mu, iż postępowanie Muszki nawet ona sama znajduje naturalném.

— Jakże chcesz — mówiła — aby Muszka tak otwarcie i brutalnie stanęła do walki ze światem! Powoli, umiejętnie przygotowuje terren, stara się wybadać matkę, opiekuna, całe swe otoczenie.

Tadeusz, milcząc, głową kiwał.

Wielohradzka pochwyciła go za rękę.

— Słuchaj, dziecino! — wyrzekła. — Zmuszasz mnie tą swoję niewiarą do powiedzenia ci całéj prawdy. Małżeństwo twego ojca i moje było twém przyszłém małżeństwem z Muszką. I on, jak ty, był ubogi, tylko — rasowy, pan w każdym calu i mający piękne nazwisko. Ja, z zamożnego domu obywatelskiego dziewczyna, wyróżniłam go odrazu w tłumie otaczającéj mnie młodzieży. Przewalczyłam, przecierpiałam i doprowadziłam do tego, że ojciec twój mnie poślubił...

Zawahała się chwilę i twarz jéj piękna w obramowaniu siwych włosów, na które padał zmrok wieczoru, przybrała odcień zakłopotania.

— Nie powiem... ażebym postępowała z twoim ojcem, jak postępuje z tobą panna Dobrojowska — ciągnęła łagodnie — lecz... inne czasy, inne obyczaje. Rozumiem to i uwzględniam. I ja kryłam się długo, ze swoim wyborem, lękając się gniewu i oporu rodziców... Wreszcie przyznałam się...

Uścisnęła gorąco rękę syna.

— I ona się przyzna!.. — wyrzekła — zobaczysz będziesz szczęśliwy!.. ja także!.. och! droga, dzielna dziewczyna!..

Tadeusz od kilku chwil myślał o tém, iż zataił przed matką punkt ważny, to jest przyrzeczenie da-

ne Muszce, iż przyjedzie nad morze w sezonie letnim tam, gdzie ona przebywać będzie.

Nie śmiał się do tego przyznać, nie śmiał o tém mówić. Rozpacz bezsilna ogarniała go. Nie miał nawet dziesiątéj części pieniędzy potrzebnych na tak daleką i kosztowną wycieczkę. Co począć miał!..

Minęły wyścigi, i Tadeusz przesiedział te dni w biurze i w domu. Nie chciał jechać dorożką na tor, co dawniéj byłby uważał za szczyt szczęścia. Zaczął się teraz robić coraz wybredniejszym w sposobie pojawiania się w towarzystwach, i sama myśl niewzięcia udziału w *corso* powyścigowém odwiodła go od myśli pojechania na tor. Te trzy dni były dla niego najwyższą męczarnią. W dodatku wiedział, iż odbyło się kilka wieczorów, na które go nie zaproszono. Zaczął tracić nadzieję w świetność gwiazdy, która go wiodła do téj chwili i ułatwiała mu przesuwanie się po ślizgawce życia.

Ostateczny cios spadł na niego z ust Stania Pozbitowskiego, który dnia jednego w rozmowie z Charłupką wspomniał o nagłém opustoszeniu Lwowa.

— Wszyscy wyjeżdżają! — mówił — przedwczoraj Bodoccy, wczoraj Muszka Dobrojowska, dziś Orzeccy...

— Ba!.. — odparł Charłupko — zostaną się panny namiestnikówne, *kaiser-königliche* fornalka, będziemy grać z niemi w *tennis*; namiestnikowa mówiła mi, iż urządzać będzie *garden-party*...

— Śliczna perspektywa!.. westchnął Pozbitowski.

Wielohradzki pochylił się nad swém biurkiem i udawał, że czyta Walter-Scotta. Ale litery skakały mu przed oczami. Muszka wyjechała, nie zobaczywszy się z nim nawet. Prawdopodobnie zapomniała o nim zupełnie.

Powrócił do domu i od progu matka, spojrzawszy na jego twarz zmienioną, spytała szeptem z powodu obecności Teci:

— *Et bien?..*

— *Elle est partie!..* — rzucił Tadeusz przez zaciśnięte zęby.

Wszedł do swego pokoju i tam położył się na łóżko w palcie, zakrywając twarz ręką. Martwił się, nie jak mężczyzna, ale jak dziecko, jak nerwowa i rozkapryszona kobieta. Nie krył się przed matką ze swém zmartwieniem. Owszem, przesadzał je nawet, pragnąc wywołać współczucie.

Wielohradzka zbliżyła się ku niemu, starannie drzwi zamykając. Chwilę szukała wytłómaczenia postępku Muszki i sposobu pocieszenia syna, lecz nic znaléźć nie mogła. Zaczynała sama dziwić się, lecz nie straciła ani na chwilę wiary, ani pewności siebie. Pochyliła się nad leżącym Tadeuszem, który wcisnął twarz w haftowaną poduszkę.

— Nie martw się — pocieszała go. — Dostaniesz dziś jutro list, w którym znajdziesz słowo pożegnania i nadziei. Ja mam jaknajlepsze przeczucie...

Prześpij się... ja wychodzę... wstąpię do kościoła... Bóg przemieni to nasze strapienie... Zobaczysz, list wkrótce miéć będziesz...

Wielohradzki nie odpowiedział ani słowa, lecz jeszcze większy niepokój pochwycił jego istotę. Listu tego bał się jak ognia.

Jeśli bowiem Muszka da mu znać, gdzie się znajduje, powinien jechać natychmiast. Lecz za co? zkąd wziąć potrzebnych na tę podróż pieniędzy? Kto wié, dokąd Dobrojowskie pojadą? Nad Atlantyk? lub nad morze Śródziemne?...

Wielohradzka, zasłoniwszy okienko firanką z ciemno-zielonéj satyny, wyszła cicho z pokoju. Koło okna siedziała Tecia i szyła pilnie, wyciągając nerwowym ruchem igłę z tkaniny. W jasném oświetleniu delikatny, blady jéj profil rozpływał się prawie i nikł w przestrzeni. Słońce zapalało świetlane blaski w jéj włosach i migotało w celluloidzie strzały, sterczącéj blond promieniem z pośród upiętéj wysoko torsady.

Siedząc tak przy tém oknie, z którego płynęły strugi przejrzystego światła, miała w sobie wdzięk obrazu, nakreślonego ręką jakiéjś belgijskiéj impresyonistki. Blado-liliowe draperye łączyły się z lekko zaprawioną woskiem podłogą, po któréj słały się promienie słońca.

Wielohradzka zbliżyła się do stołu i w kapeluszu i w okryciu zaczęła układać sfastrygowane

z glasy staniki i rękawy. Starała się zawinąć je w gazetę tak, aby tworzyły jaknajmniejsze zawiniątko. Chwilę opuściła ręce i stała tak zafrasowana, spoglądając na zamknięte drzwi, prowadzące do pokoju syna.

Cierpiała nad tém, iż musiała w całéj téj sprawie pozostać bezczynną i nie mogła żadną miarą wystąpić ze swą interwencyą. Nie była jednak zdziwiona tą całą przygodą. Według niéj Tadeusz, czy prędzéj czy późniéj, powinien był zrobić „karyerę" i zacząć ją od zawarcia jakiegoś świetnego związku małżeńskiego. Zbroiła się więc do walki, znając słaby charakter syna. Postanowiła iść do kościoła i prosić Boga o siły i cierpliwość. Dziś, mając podwójne zmartwienie, potrzebowała ciszy kościoła. Oprócz bowiem strapienia z powodu syna, lękała się teraz, iż Tecia lada chwila opuścić ją może. Pikniewiczowa wezwała ją zrana do siebie i prosiła, aby wpływem swoim uzyskała od Teci zgodzenie się na zostanie żoną pana Janczewskiego. Mechanik oświadczył się o Tecię i, zyskawszy przychylną odpowiedź babki, znalazł się nagle wobec szalonego oporu ze strony saméj panny. Pikniewiczowa tłómaczyła Wielohradzkiéj, iż Janczewski, kolligacyami swemi spokrewniony z Charłupkami i innemi wysokiemi rodami, będzie awansował szybko i zrobi „karyerę". Damy, opiekujące się Pikniewiczową i dające jéj dożywotnią zapomogę, życzyły sobie

tego związku. Tymczasem Tecia wybuchem łez odpowiedziała na czynione jéj w tym względzie zapytania i teraz zamknęła się w uporczywém milczeniu, którego nic przełamać nie mogło. Wielohradzka z uśmiechem na ustach składała Pikniewiczowéj życzenia, lecz serce zamierało w jéj piersiach. Tecia, raz zamąż wydana, musiała, naturalnie, opuścić jéj pracownię i przestać dopomagać jéj w pracy. Była to dla niéj ruina, gdyż młoda dziewczyna prawie sama jedna dźwigała teraz cały ciężar powierzanych Wielohradzkiéj robót.

Nie chcąc jednak dla egoistycznych powodów druzgotać przyszłości całéj rodziny, Wielohradzka od rana usiłowała nakłonić Tecię do przyjęcia oświadczyn pana Janczewskiego. Tecia jednak bez gniewu i żalu odparła stanowczo, iż zamąż wyjść nie myśli, i z takim zapałem zajęła się szyciem i fastrygowaniem świéżo skrajanéj sukni, iż Wielohradzka poczuła chwilową otuchę, wstępującą w jéj zamierające z trwogi serce.

Niemniéj jednak obecnie, kierując się już ku wyjściu, uznała za stosowne zwrócić się ku dziewczynie, która z ustami pełnemi szpilek siedziała pochylona nad blado-liliową kaskadą jedwabiu, opływającą ją dokoła.

— Wychodzę... — wyrzekła Wielohradzka—powrócę za godzinę. Niech Tecia pomodli się o dobre natchnienie i zastanowi się nad tém, co powiedzia-

am. Pan Janczewski zdaje się być uczciwym i zacnym człowiekiem. Gniazdo dobre, ród bogobojny. Przytém babka będzie z tego niewymownie szczęśliwa...

Zawahała się chwilkę, poczém dodała mniéj już pewnym głosem:

— Ja... także!

Lecz Tecia, nie wyjmując z ust szpilek, zaczęła mówić przez zaciśnięte zęby:

— Proszę pani... ja nie mam się co namyślać... ja za mąż nie pójdę... mnie tak dobrze... ja zawsze zostanę przy babce... przy Felku... i przy pani... dokąd mnie pani zechce trzymać u siebie...

Wielohradzka miała ochotę pocałować Tecię w czoło, lecz powstrzymała to grzeszne według niéj uczucie radości.

— Niech się Tecia jeszcze namyśli... — wyrzekła, za klamkę ujmując — a!.. jeszcze jedno... niech nie szyje na maszynie, bo pan Tadeusz się położył...

I, jakby czując konieczną potrzebę zwierzenia się z części swego strapienia, dodała:

— Nie trzeba robić hałasu... Tadzio ma zmartwienie...

Tecia szybko głowę podniosła...

— Co mu się stało, proszę pani?.. — zapytała nieśmiało.

Lecz Wielohradzka ściągnęła tajemniczo usta.

— To są zmartwienia, których Tecia jeszcze

nie rozumié!.. — odparła, znikając w głębi przedpokoju.

Za chwilę słychać było, jak delikatnie zamykała drzwi wejściowe, szumiąc jedwabną podszewką sukni, złataną z tysiąca kawałków różnorodnéj czarnéj materyi.

Koło okna pozostała Tecia, blada w jasném oświetleniu, które nadawało jéj cerze przejrzystość japońskiéj porcelany.

Ze złożonemi na kolanach rękami siedziała prosto, sztywno, jak dziewice na obrazie prymitystów, odziane w sztywne futerały blado zabarwionych brokartów. I tylko z jéj ciemnych oczu zaczęły szybko toczyć się duże łzy.

VIII.

Z bijącém sercem sięgnął Wielohradzki ręką po list, który na jego biurku w namiestnictwie leżał pomiędzy nielicznemi papierami, rozrzuconemi dokoła.

Koperta była zwyczajna, biała, bez zapachu, bez monogramu,—koperta osób niechcących się kompromitować lub niemających środków do wykwintnego dbania o sposoby korespondencyi.

Tadeusz chciał już rozerwać ową kopertę, gdy do pokoju wszedł Pozbitowski i Jurek Bodocki, rozmawiający głośno o świeżym skandalu w łonie arystokracyi galicyjskiéj. Książę Boniński ożenił się z wieloletnią swą „przyjaciółką", córką ekonoma, i podobno miał zamiar otworzyć salony i przyjmować przyszłéj zimy. Bodocki pochwalał niezmiernie odwagę Bonińskiego i cieszył się nadzieją téj „*bonne farce*", jaką Boniński damom galicyjskim urządził. Pozbitowski, mniéj ekscentryczny, bardziéj konserwatywny, ramionami ruszał i zdania swego nie wypowiadał.

Wielohradzki list do kieszeni włożył i wysunął się cicho z pokoju na kurytarz.

Po froterowanéj posadzce, wśród wąwozu ścian białych, biegła ścieżka dywanika aż ku oknu otwartemu szeroko; po za niém szumiały i zieleniały drzewa rosnące na szkarpach. Szybko w oddali przesunęła się z jednych drzwi do drugich sylwetka Wojsy, niosącego pod pachą egzemplarze sztuk teatralnych przysłane do cenzury.

Wielohradzki podszedł ku oknu i wreszcie kopertę rozerwał. Na białéj ćwiartce papieru nakreślono tylko te słowa:

— *France, Finistère, Concarneau.*

To było wszystko.

Wielohradzkiemu zdawało się, iż czyta wyrok swéj śmierci.

Wolał już zupełne Muszki milczenie. Te trzy wyrazy nakreślone smagały go chłostą nędzy. Schował list do kieszeni i, oparłszy się o okno, patrzył na ulicę, nie widząc nic, prawie obłąkany z bezsilnego gniewu, jaki nim miotać zaczął.

— *Finistère! Concarneau!..*

Musiało to być gdzieś na północy Francyi, nad brzegiem oceanu. Tysiące mil dzieliło go od tego miejsca. Nie mógł nawet marzyć o pojechaniu natychmiastowém. Postanowił nie mówić nawet matce o otrzymaniu listu. Po co? wszak ona nic poradzić nie jest w stanie.

Oparł się o ramę okna i bezmyślnie zaczął patrzéć przed siebie. Przed nim, po za szerokością placu, który szarzał jasno w przestrzeni, bieliły się brutalnie baryery, otaczające dokoła szkarpy. Po za niemi pnie drzew nabierały fioletowo-czerwonawych tonów. Na żółtym piasku alei grały złote plamy słoneczne. I daléj panował cień trawników dobrze utrzymanych, pokrytych baldachimem lipowych gałęzi. Tu i owdzie migały sylwetki ludzi, dzieci odzianych jasno, mundury żołnierzy, białe fartuchy nianiek. Gdzieś daleko grała katarynka i urywane, chrypliwe tony dolatywały do uszu Wielohradzkiego. Zdenerwowany, cofnął się od okna i powrócił do biura. Usiadł, starając ukryć się po za rodzaj szafki, stojącéj na biurku i przeznaczonéj na chowanie papierów. Lecz i tam słyszał ciągle nosowy głos Stenia, jego śmiech kozi i nizki gardłowy głos Jurka. Rozmawiali teraz o Malewiczu i o jego prawdopodobném małżeństwie z panną Statnicką. I znów Bodocki znajdował odwagę panny bardzo „*bath*", a Pozbitowski ramionami ruszał. Poczém utonęli w powodzi drobnych plotek, zaglądając od czasu do czasu do rozmaitych psiarni, stajni i wozowni. Plotkowali z prawdziwém zamiłowaniem, zręcznie, dowcipnie, tak, jak to mężczyźni plotkować umieją.

On dit było ciągle na porządku dziennym. Wielohradzki, który dawniéj przysłuchiwał się takiéj

rozmowie z pewnym rodzajem respektu, dziś gryzł sobie do krwi ręce, aby nie wybuchnąć nagle nerwowym płaczem i nie zacząć ciskać papierami i raportami na głowy arystokratycznych plotkarzy. Porwał Walter Scotta i zaczął czytać przerwaną powieść. Lecz teraz znów Bodocki powrócił do Malewicza i opowiadał, że zapanuje wielki smutek wśród dam, skoro ten *professional lower* ożeni się i przestanie w wolnych chwilach od grania w karty flirtować na seryo i na żarty.

Wielohradzki wetknął obydwa wielkie palce w uszy i siedział tak blady, z oczyma nagle podsiniałemi, z wargami pogryzionemi, w przystępie szalonego nerwowego podrażnienia.

. . . . . .

Gdy powrócił do domu z silném postanowieniem niemówienia matce o otrzymanym liście, pierwsze jego słowa były:

— Mam list!..

Wielohradzka złożyła ręce jak do modlitwy.

— Chwała Bogu!.. — zawołała radośnie.

Lecz on zawrzał cały i wybuchnął teraz tak długo powstrzymywaną rozpaczą.

List!.. tak!.. zapewne, otrzymał list, a raczéj świstek, na którym było wypisane miejsce pobytu Muszki, lecz co mu z tego? do czego mu to służy?.. do czego?..

Położył przed matką ów arkusik papieru i sam zaczął biegać po pokoju, jak pantera po klatce. Rozerwał u szyi kołnierzyk i krawat. Rozdrażnienie i upał dusiły go. Sine żyły wystąpiły mu na skroniach, na delikatném tle przejrzystéj skóry.

Wielohradzka przeczytała list i zdziwiona spojrzała na syna.

— Nie rozumiem twego rozdrażnienia... Panna Dobrojowska przysyła ci swój adres, chcąc, ażebyś do niéj napisał. Trzeba, ażebyś brulion ułożył dziś wieczorem.

Lecz on przerwał jéj gwałtownie, nie hamując nawet swego uniesienia.

— Nie!.. — krzyknął — nie pisać, nie układać bruliony powinienem... ale... jechać!!! Tak! jechać do tego Concarneau!.. i to natychmiast. Zataiłem przed mamą, iż lekkomyślnie przyrzekłem Muszce przyjechać tam, gdzie ona będzie w lecie! Dziś, wierna swemu przyrzeczeniu, daje mi znać o sobie, i przesyłając adres, wzywa, abym dotrzymał danego jéj słowa... a ja... jechać nie mogę! nie mogę!.. nie mam za co!.. nie mam za co!..

Wielohradzka pobladła nagle i usiadła na pobliskiém krześle, jak ktoś, na kogo spada nagle nieprzewidziany zupełnie cios w chwili wielkiéj radości. Twarz jéj postarzała nagle o kilkanaście lat, ręce obwisły wzdłuż ciała.

Tymczasem Tadeusz zaczął znów biegać po po-

koju, rwąc febrycznie krawat i zaciskając go dokoła szyi.

— Jechać!..—śmiał się gorzko—jechać!.. z czém? z temi czterema guldenami w kieszeni?.. A!.. gdy pomyślę, że stracę Muszkę przez tę moją nędzę przeklętą, mam ochotę polecić nad staw Pełczyński i rzucić się w wodę!..

Chciał jeszcze mówić, lecz Wielohradzka powstała nagle i ze stanowczością żelazną w głosie wyrzekła:

— Postaraj się o urlop i dowiédz się, ile kosztuje koléj tam i z powrotem do tego Concarneau...

Tadeusz stanął na środku pokoju i ramionami wzruszył.

— Po co?... — zapytał — przecież nie pojadę!..

Lecz Wielohradzka odparła z prostotą;

— Pojedziesz!.. musisz!..

. . . . . .

I Tadeusz pojechał.

IX.

Trzęsący omnibus hotelowy o wyzłoconém dziwacznie pudle zaczął dudnieć z hałasem po bruku. Tadeusz, zmęczony forsowną w trzeciéj klasie jazdą, wtulił się w kąt i przymknął oczy. Lecz w okienku drzwi pojawiła się głowa posługacza, który wrzasnął z całéj siły:

— *Le port!..*

Tadeusz oczy otworzył i zaczął patrzeć przez szyby na panoramę portu Concarneau, znajdującego się w chwili zupełnego przypływu morza. Patrzył i oczom swym nie wierzył, tak czarowny widok miał przed sobą. Wychowany pomiędzy ulicą Jezuicką i namiestnictwem, nie zastanawiał się nawet, iż na świecie, oprócz Wałów i salonów, ogrzanych sztucznem światłem i przesyconych duszną atmosferą, są inne jeszcze miejsca, pełne jasności, przestronne i całe białe od szerokiéj płachty staczającego się w przepaść widnokręgu.

Jego biedne oczy *koncepspraktykanta* otwarły się

szeroko na widok starego miasta Concarneau, występującego nagle fortyfikacyami z granitu z fal morza, jal w téj chwili szaro-zielonych, osrebrzonych massą białéj piany, która śniegowym wałem bramowała obrosłe szmaragdową pleśnią granity.

A dokoła téj fortecy, tak czarodziejsko wyrastającéj wśród fal, jak potworny i skamieniały kwiat o zębatéj koronie, kolysał się cały las bark, statków i łodzi o jasno-zielonych, purpurowych i bronzowych korpusach. Z purpury téj i zieleni sterczały wysoko w górę maszty, z których spływały olbrzymie siatki, wydęte wichrem o czarująco delikatnych, niepewnych i zmieniających się barwach. Zdaleka wyglądały te siatki jak olbrzymie wuale z krepy szafirowéj, bronzowéj, liliowéj, szaréj... Wiatr rozwiewał je jak najcieńsze, najdelikatniejsze zasłony. Na ciemném szafirze nieba cień tych krep siatkowych nabierał mistycznych, dziwacznych tonów, kryjąc w swych fałdach brutalność masztowego skieletu. I daleko, daleko, wzdłuż kamiennego ocembrowania wybrzeża, widać było tę massę wualów, wiewających powoli, wysoko, po nad tłumem rybaków i rybaczek, cisnących się po nad wybrzeżem. Omnibus zawraca teraz dokoła placu, po którym biegały dzieci, odziane w szafirowe płótno i w klekocące drewniane saboty. Wielohradzki dojrzał jeszcze całą massę białych, muślinowych czepków, których szarfy wiatr rozwiewał,—płaskie kosze, osrebrzone tysiącami sardynek, i żółte

stroje rybaków, rozchodzących się z bark po szynkach i knajpach nadbrzeżnych.

Owionął go ostry zapach *warechu* i świeżych ryb. Dzuł się dziwnie niespokojnym i mimowoli drżał teraz na całém ciele. Lecz już omnibus zajeżdżał przed hotel pierwszorzędny i wysoka kobieta w małym czepku, odziana czarno, z twarzą rozpaczliwie smutną, otwierała drzwiczki omnibusu. Była to sama właścicielka hotelu, pani Leclinche, chłopka bretońska, zbogacona i wiecznie zachmurzona. Szybko zmierzyła wzrokiem wykwintne ubranie podróżne Wielohradzkiego i oceniła jego bagaże. Widziała, iż walizki nie były wielkie, lecz dość eleganckie, okryte pokrowcami z szarego płótna, na których czerniły się dyskretnie wyszyte monogramy. Zwróciwszy się do służby, zadysponowała numer 42 i, oddawszy dziewczynie walizki, powróciła na ławkę, stojącą przed hotelem, na któréj usiadłszy z założonemi na piersiach rękami, zdawała się zapominać o Wielohradzkim i o świecie całym. Z pod oka jednak śledziła wciąż sardynierki, przechodzące z koszami pełnemi sardynek przez plac, czekając na wysłanie swych ludzi w chwili, gdy fabryki przestaną już kupować potrzebne im ilości ryb. Poźniéj bowiem przybyłe barki musiały sprzedawać połów swój za bezcen, nie chcąc być zmuszonemi do wrzucania sardynek w morze. Pani Leclinche miała niewielką fabrykę, cokolwiek oddaloną od miasta. Skupowała

zwykle już trochę przestarzałe sardynki i miała je za znacznie niższą cenę, spekulując na ogólnéj nędzy, panującéj pomiędzy rybakami Concarneau.

Tymczasem Tadeusz gorączkowo obmywał się z podróżnego kurzu i, zadzwoniwszy na służącą, rzucił jéj z niechcenia pytanie: czy hrabina Dobrojowska mieszka w tym hotelu? Dziewczyna, gapiowata bretonka o wspaniałych czarnych oczach, cała roześmiana w promieniach muślinu swego czepka i olbrzymiego kołnierza, odparła, że jest w hotelu „*comtesse Dobrożeki*" i że te panie są teraz na wybrzeżu. Tadeusz podziękował jéj uprzejmie, na co bretonka odparła skromnie, iż „niéma za co", i, pozostawszy sam, otworzył walizy i rozkładał na krzesłach, fotelach i stole zgniecione cokolwiek przez tak daleką drogę ubranie. Po głębszym jednak namyśle postanowił nie zmieniać podróżnego garnituru i jedynie włożyć świéżą bieliznę, krawat i kapelusz. Nie wiedział bowiem, co i kiedy się kładzie nad owém „morzem", pomimo, że krawiec we Lwowie dał mu odpowiednie informacye.

Ubrawszy się, uczesawszy, skropiwszy wodą kolońską, przejrzał się Tadeusz z zadowolnieniem w lustrze. Zmęczenie podróży dodało mu interesującéj bladości. Schudł trochę i oczy mu zapadły. Znalazł się ładnym i powrócił jeszcze raz do lustra, aby lekko pociągnąć popękane od wiatru wargi pomadką poziomkową. Wciągnął rękawiczki i, nałożywszy

kapelusz, wyszedł wreszcie, starając się odgadnąć, które z tych zamkniętych drzwi prowadziły do pokoju Muszki.

Na wschodach spotkał się nagle z całą bandą młodych dziewczyn — w białych, różowych, niebieskich bluzkach i szewiotowych ciemnych spódnicach. Panny te mówiły po angielsku i miały duże nogi, obute w jasne trzewiki, i wielkie zęby, wysuwające się fatalnie aż po nad dolne wargi. Niektóre miały małe męskie kapelusiki na gładko wyczesanych włosach, inne—berety, a dwie czy trzy—sukienne kratkowane czapki z daszkami silnie opuszczonemi na cokolwiek zaczerwienione nosy. Panny te przemknęły koło Tadeusza jak cienie, nie zwracając na niego uwagi, szwargocąc głośno i dźwigając pod pachą teki, pudelka z farbami, płótna na blejtramach, składane krzesełka, a nawet małe stalugi trzcinowe.

Wielohradzki wyszedł na ulicę i szedł teraz wzdłuż ocembrowanego brzegu, pragnąc wydostać się na „plażę", gdzie prawdopodobnie znajdowała się Muszka. Lecz tłumy bretonek, cisnące się dokoła bark, z których rybacy podawali im cebry i kosze sardynek, zmuszały go co chwila do zatrzymywania się. Pod domami siedziały całe rzędy kobiet bezczynnych, z rękami opuszczonemi na czarnych fałdach odzieży, i patrzyły na port, do którego bezustannie wpływały barki o żółtych i pomarańczowych ża-

glach. Żagle te przy wejściu do portów zwijały się szybko, jak skrzydła olbrzymich ptaków dążących do gniazda o wieczornéj porze. I zamiast żagli, powoli ku górze wznosiły się siatki rozpięte szeroko, siatki, w których szafirze lub zieleni przebłyskiwały srebrne ciała dużych ryb o purpurowych ogonach i skrzelach. Dno barki wyścielał śnieg sardynek, w którym słońce zapalało złotawe iskierki. I kołysząc się zwolna, nowo przybyłe łodzie torowały sobie drogę ku kamieniom ocembrowania pomiędzy massą innych bark, a na podstawie srebrnéj sardynek rysowała się teraz postać rybaka, brutalna i niezgrabna, w niekształtnych liniach odzieży, uszytéj z żaglowego płótna, gorąco-pomarańczowego koloru.

Od brzegu wyciągały się ręce, ramiona kobiet, rzucające po przez głowy innych, jak piłkę potworną i pękniętą, płaskie koszyki. Krzyk gardłowy wypełniał powietrze. Ciemne twarze mężczyzn, zjedzone przez wiatr i wodę morską, ciemniały jeszcze pod wpływem nabiegającéj krwi z wysiłku przy dźwiganiu koszów. Kobiety zachowywały ciągle dziwną przejrzystość płci, niemal dziewiczéj, pod delikatném obramowaniem swych prześlicznych muślinowych czepków. Kilkanaście szarf długich, oszytych koronką, zwieszało się z pod takiego czepka, a wiatr rozwiewał je dokoła, jak promienie świetlanéj i doskonale białéj mgły. Kołnierze białe odsłaniały szyje rybaczek i spadały do pasa na czarnéj tkaninie aksa-

mitem ubranego stanika. Spódnice krótkie sięgały niemal do kolan i odsłaniały nogi w wysokich skarpetkach z zielonéj wełny. Na nogach klekotały saboty.

Wielohradzkiemu zdawało się, iż nagle znalazł się na przedstawieniu jakiegoś baletu, i że te rybaczki w koronkach i zielonych skarpetkach zaczną niezadługo jakiś taniec przy dźwiękach orkiestry teatralnéj. Lecz one rozchodziły się wolno po zaułkach miasta, po dwie, niosąc kosze sardynek.

Niektóre przechodziły most zwodzony i znikały w obrębie fortyfikacyi starego miasta, które teraz traciło cokolwiek na swéj tajemniczości, pokryte lasem masztów i siatek pełnych ryb.

Wielohradzki zapominał się ciągle, stając co chwila na brzegu ocembrowania. Ten ruch, to morze, tak blizko rozbijające się o kamienie, tuż pod jego stopami, zadziwiały go. W oddali po za linią portu dostrzegał białawą płaszczyznę olbrzymią, niezmierzoną. Był to ocean, i Wielohradzki uczuł nagle dreszcz trwogi. Biedna dusza lwowskiego filistra doznała wstrząśnienia. Odwrócił się i zaczął iść szybko wzdłuż domów, na których progu siedzieli mężczyźni szyjący kobiece spódnice i dziecinne sukienki. Tymczasem kobiety, obarczone ciężarem ryb, kierowały się szybko w stronę fabryk, których kominy sterczały samotnie wzdłuż wybrzeży. Tu i owdzie z szynków dochodziły ochrypłe głosy, ry-

bacy wychodzili z łodzi i znikali w głębi szynkowni, zmęczeni i żujący tytuń.

Wielohradzki błądził chwilę wśród tych domów pomiędzy bandami dzieci, które przeciągały po ulicach poważne i milczące w swych aksamitnych czepkach, haftowanych złotem i szklanemi paciorkami. Zatrzymał się przed sklepem sabotów i dziwił się, jak ludzie mogą chodzić w podobnych pudełkach. Lecz tuż obok niego maluchna dziewczynka szła szybko, klekocąc po bruku drewnianemi podeszwami sabotów, i malutkie jéj nóżki wysuwały się z pod dość długiéj szafirowéj spódniczki, obciągnięte czerwonemi pończoszkami. Nagle Wielohradzki pochylił się ku dziecku, pytając:

— *Où est la plage?*

Lecz mała podniosła na niego wielkie czarne oczy i nie odpowiedziała nic, nie rozumiejąc po francusku. Weszła w wązką uliczkę, która schodziła na dół, cała obwieszona massą liliowych akacyj, zwieszających się z murów bramujących ten wąwóz. Wielohradzki patrzył na dziecko, jak szło poważne i spokojne, podobne do szafirowo odzianéj mniszki, podnosząc sabotami brzeg sukienki i niosąc niemal nieruchomie swą głowę, okrytą muślinem bardzo skomplikowanego czepka.

Mimowoli ta miniaturka kobiety, niknąca coraz daléj wśród murów zielonych od pleśni, pociągnęła go za sobą. Wszedł w tę uliczkę cichą i odludną

i szedł tak długo pomiędzy ciasną przestrzenią liliową, zieloną i różową od akacyj i złotą od przedzierających się przez gałęzie promieni słonecznych. I nagle doznał olśnienia. Uliczka urywała się na zakręcie, i oczom Tadeusza odsłoniło się morze, całe różowe i jasno popielate; rozciągające się niezmierzoną płaszczyzną pod baldachimem przeczystego szafiru.

Wielohradzki stanął na chwilę i zamienił się cały w oczy, zapominając na sekundę o Muszce, oczarowany, podbity; lecz wnet usunąć się musiał, gdyż z wąwozu uliczki wypadł teraz mały wózek, naładowany rozmaitéj wielkości łódeczkami i okręcikami, ciągniony przez dwóch chłopczyków odzianych w białe flanelowe garnitury z ponsowemi beretami na złotych włosach. Za wózkiem pędziło kilka dziewczynek z łopatami i kubełkami w obnażonych do pleców rękach. Cała ta banda, piszcząc, krzycząc, migając purpurą beretów, rozwiewając różowe i białe fałdy sukienek, przemknęła koło Wielohradzkiego i zapadła po kostki w piasek biały i czysty, który rozścielał się dokoła delikatną warstwą, obramowany zielenią tuż ciągnących się łąk, które szły w górę, ku miastu, służąc za podstawę nadbrzeżnym willom i murom opasującym zabudowania fabryczne.

I wówczas dopiéro Wielohradzki zrozumiał, że jest na owéj „plaży", któréj szukał. Przed nim — morze wyżarło rodzaj małéj zatoki i teraz łagodnie

muskało ten brzeg, cały biały od lekko zwilgotniałego piasku, po którym snuły się ciemne sylwetki postaci ludzkich. W półokrąg, jak loże teatralne, stały kabiny, pomalowane czerwono lub żółto, i sterczał duży piec blaszany, przy którym jakaś kobieta olbrzymia, odziana w rybacki kaftan i męski kapelusz, grzała kubły z wodą. Kilkadziesiąt osób zajmowało brzeg „plaży".

Zdaleka widział Wielohradzki kilka kobiet odzianych w długie białe peniuary, chodzących tu i owdzie pomiędzy grupami osób siedzących na składanych krzesełkach lub na fotelach w formie małych namiotów. W liliowéj powierzchni morza migotały blizko brzegu czarne punkciki. Byli to bez wątpienia kąpiący się. Po lewéj, na wierzchołku niewielkiéj skały, odcinały się czysto, jak chińskie cienie, sylwetki kilku małych chłopców, giestykulujących żwawo. Cisza była wielka i tylko szmer lekki rozbijającéj się o kamienie wody rozpływał się w powietrzu.

Wielohradzki stanął niepewny i niezdecydowany. Przez całą drogę gorączkowo podniecony odsuwał myślą chwilę spotkania się z Muszką. Tyle razy był boleśnie dotknięty, gdy przybył przez nią wezwany, iż zaczynał nie miéć więcéj złudzeń. Mimo to jednak urok téj długiéj, pierwszéj w życiu podróży, romantyczne rady matki upoiły i rozkołysały go. Teraz stanął wobec rzeczywistości. Wyobrażał sobie, iż Muszka, ta *jego* Muszka, jest tam, o kilka kroków,

i ogarniała go wielka nieśmiałość. Wezwała go sama, lecz czy pamiętała już, iż sformułowała z dobréj woli to wezwanie? Jak go przyjmie? co mu powié? może wobec tych wszystkich ludzi odwróci się od niego, jak od natrętnego intruza...

Zaczął powoli okrążać „plażę", topiąc nogi w piasku i posuwając się z trudnością. Nie miał odwagi zejść na dół i zmieszać się z tymi ludźmi, którzy na tém morskiém wybrzeżu, pod ścianami kabin, zdawali się być u siebie, na swojém terytoryum. Gdy przedostał się na drugą stronę zatoki, ze zdziwieniem ujrzał, iż po za pierwszą jest druga „plaża", a za tą trzecia i czwarta.

Lecz tu było mniéj osób. Dwie kabiny, zamknięte na kłódki, sterczały samotnie, oparte o skałę. Kilka osób znajdowało się na wybrzeżu.

To ośmieliło Wielohradzkiego. Brnąc w piasku, zeszedł i odetchnął, gdy poczuł żwir pod stopami. Wtedy dostrzegł, że po brzegu chodzili mężczyźni w kostiumach kąpielowych i wygrzewali się na słońcu. Byli to ludzie dziwaczni, z długiemi włosami i brodami. Dwóch paliło fajki, plując na żwir, a jeden z nich, kościsty, olbrzymi brunet, który miał na plecach swego trykotu wyhaftowaną wieżę Eiffel, siedział na piasku, z nogami podkurczonemi na sposób turecki i w milczeniu patrzył na morze.

Żaden z tych ludzi nie spojrzał nawet na Wielohradzkiego. Wszyscy zdawali się być pogrążeni

w jakiéjś niemej kontemplacyi i zajęci tajemnicą własnych myśli. Po za jedną z kabin Wielohradzki, przechodząc, zauważył stalugi, płótno, pudełka z farbami i drzemiącą murzynkę, odzianą w jaskrawą żółto-czerwoną szatę. Do murzynki tuliła się małpa, nawpół zakopana w piasku.

Wielohradzki minął i tę „plażę" i mimowoli szukał teraz kąta, gdzie mógłby myśli zebrać i nakreślić sobie plan działania. Trzecia „plaża" była zupełnie pusta, bez kabin, bez kąpiących się ludzi. Olbrzymi szmat piasku rozściełał się od morza ku górze, ujęty z obu stron w ciemne ramiona skał i przechodzący powoli w zieleń łąk, z których tu i owdzie wystrzelały czerwonawe pnie świerków o czarnych bogatych baldachimach.

I tylko po prawéj stronie, na wierzchołku skały, zamajaczyła zdaleka jakaś sylwetka. Mewy od czasu do czasu zrywały się z brzegów, przelatywały po nad powierzchnią morza i spadały znów na skały, gdzie pozostawały nieruchome, zapatrzone w dal, zasłuchane w łoskot fal.

Wielohradzki zaczął iść w kierunku skały. Pragnął usiąść na jéj wierzchołku i zostać chwilę sam z sobą. Nie pragnął teraz ujrzéć Muszki, wpierw chciał się otrząsnąć z doznanych wrażeń.

Teraz, pozostawiony sam sobie, samotny, zaczynał się analizować i instynktem oszczędzał swe

nerwy. Czuł, iż nie jest w téj chwili przygotowany do stanięcia oko w oko z Muszką.

Wszedł na wierzchołek skały i nagle, z drugiéj strony odłamu kamienia, ujrzał pannę Dobrojowską.

Oddech mu zamarł w piersiach, ona zaś zupełnie spokojnie, z lekkim odcieniem dobrze odegranego zdziwienia, wyrzekła, podając mu rękę:

— *Tiens!.. c'est vous?..*

I z pod przysłoniętych rzęs patrzyła mu prosto w twarz, z takim spokojem, jakby to nie ona rozkazem swoim zwabiła go na ten kraniec Europy, nad brzegi oceanu.

On patrzył również na nią, lecz był zmieszany, jak człowiek złapany na gorącym uczynku kradzieży albo innéj zbrodni. Widział przed sobą jéj prześliczną twarzyczkę, wysuwającą się z dziwacznego kapelusza, zrobionego z różowego batystu w formie dużéj budki, jaką noszą angielskie *Katy Grenway* dziewczynki.

Miedzianego koloru jéj włosy lekką złotawą pianą ciemniały pod arkadą koronek i batystu, przez którą przeświecały różowe, słoneczne blaski. Nigdy może Muszka nie wydała mu się tak piękną, tak złagodzoną jakimś dziecinnym, uroczym wdziękiem.

Szerokim, miękkim giestem ukazała mu natychmiast horyzont, mówiąc z półuśmiechem:

— *Regardez!.. comme c'est beau!..*

Wielohradzki pobiegł oczami po za tę rękę, która,

wysmukła i piękna, zamajaczyła przed nim, opięta długą rękawiczką duńską. Pragnął porwać ją, przycisnąć do ust, do serca, zdjęty nagłą potrzebą wypowiadania wszystkiego, co tłumił w sobie od tak dawna, lecz milczenie Muszki dławiło mu wyrazy cisnące się do gardła. Nie chciał być śmiesznym: a czuł, iż byłby śmiesznym, dając w téj chwili ujście swym romantycznym popędom.

Muszka, zapatrzona w dal, zdawała się w téj chwili już zapominać o jego obecności.

Przed nią słońce zapadało powoli, zawieszone jeszcze po nad morzem nakształt olbrzymiéj purpurowéj lampy. Odbijało się w morzu daleko, rozpłaszczając się na całe pasma, drżące złotem i krwią rubinów. Lecz już w oddali, ku skrajom widnokręgów, i niebo i morze przybierało żółto-białe tony i zlewało się razem tak, iż zdawać się mogło, że to ocean podnosi się ku górze i przechodzi w ten ciemny szafir, służący za tło purpurze słonecznéj. Z mokrego *warechu*, który włóczył się bronzowemi kłębami po rozpadlinach skały, wznosiła się ostra woń jodu. Dziwaczne zielony mchy o szmaragdowych cieniach czepiały się kamieni jak warkocze topielicy.

I nagle, z szaloną szybkością, zaczął konać dzień. Morze cofało się, odsłaniając coraz więcéj wybrzeże, pokryte teraz gładką powierzchnią zwilżonego piasku. Po morzu liliowo-białém, o czerwonawych smugach świéżo przelanéj krwi, przesuwały się barki

o brunatnych, szeroko rozpiętych żaglach. Wiatr powiał silniejszy i w górze słońce bladło, zatracając swą purpurę, topiąc ją w blaskach chłodnéj, pomarańczowéj barwy.

Wielohradzki chciał coś przemówić, rozpocząć rozmowę, chwaląc morze, pytając o starą hrabinę, lecz Muszka uprzedziła go szybkim ruchem, nakazując mu milczenie.

— *Oh!.. tais-toi!..* — zawołała po raz pierwszy mówiąc mu *ty* — *tais-toi!..*

On umilkł, nie mogąc pojąć, dlaczego ona każe mu milczéć wtedy, gdy jemu potrzeba słowa piersi rozsadza, wtedy, gdy są sami i mówić mogą bezpiecznie. Lecz ona powróciła znów do swéj kontemplacyi i pragnęła odnaléźć widocznie przerwane przez Wielohradzkiego marzenie.

Trudno jednak było. Urok znikł, Muszka zmarszczyła brwi i niecierpliwie zaczęła gryźć usta.

— Czar prysł!.. — wyrzekła jakby do siebie półgłosem.

Wielohradzki naiwnie zapytał:

— Dlaczego?

Ona popatrzyła na niego z pewnym rodzajem współczucia i nareszcie wzruszyła ramionami.

— Nic... nic... chodźmy!.. — wyrzekła.

Zeszli powoli ze skały i Wielohradzki, który ślizgał się po wilgotnéj massie *warechu,* podziwiał, jak Muszka zsuwała się lekko, stawiając umiejętnie na

odłamkach skały swe stopy, obute w płócienne o gumowych podeszwach trzewiki.

Milcząc, przeszli całą „plażę", i teraz Muszka szła cokolwiek naprzód, dziwnie wiotka i kształtna w swym białym flanelowym kostiumie, składającym się ze spódnicy, krótkiego żakietu i sznurowanéj u szyi bluzki. Przechodząc mimo drugiéj „plaży", Muszka zatrzymała się na chwilę, obok drzemiącéj murzynki.

— Cóż to? śpisz, Dżali? — spytała po francusku.

Murzynka, a raczéj taitianka, otworzyła szeroko swe prześliczne czarne oczy (oczy dobrego domowego zwierzęcia) i z uśmiechem, odsłaniającym w ciemni jéj twarzy dwa sznury białych zębów, odparła chrapliwie:

— *Moâ... froidl..*

Przytuliła małpę, owinęła się w szmatę jedwabiu i znów zaczęła drzemać, ciągle zmarzła i drżąca, nawet w jaskrawym blasku słońca. Muszka pochyliła się nad małpą i głaskać zaczęła jéj kosmatą czaszkę.

— *Joli Coco!..* —mówiła pieszczotliwym głosem.

W sercu Wielohradzkiego wezbrał wielki żal. Muszka miała nawet dla zwierząt dobre słowo: dla niego nic, prócz odegranéj komedyi w chwili powitania. Gdy odeszli od małpy, zdjęty nagłą determinacyą, wyciągnął rękę.

— Ja panią pożegnam! — wyrzekł, starając się ukryć zły humor.

Lecz ona wciąż szła daléj, nie patrząc na niego.

— Cóż znowu? — odparła—zaczekaj pan chwilę, przedstawię pana mojéj mamie...

Dochodzili do kabin, i Wielohradzki ujrzał zdaleka samą hrabinę Dobrojowską, która stała na stopniach swéj kabiny, ubrana szaro, z parasolką białą w ręku. Obok niéj krzątała się panna służąca, składając fotele, stołeczki, książki, i wnosząc ten cały bazar do wnętrza kabiny. Wielohradzki poznał w niéj natychmiast tę samą istotę, która oczekiwała nań we Lwowie przed bramą domu i wezwała go w imieniu Muszki do teatru. Otoczyła go natychmiast dziwaczna atmosfera tajemnicy i kłamstwa. Ta służąca powiernica, spełniająca tajemnicze zlecenia córki i krzątająca się koło matki, przejęła go niesmakiem i trwogą. Lecz już widok saméj Dobrojowskiéj, którą widywał tylko zdaleka, dopełnił téj trwogi. Zdawała mu się, że od téj szaro-ubranéj damy, na pozór nic nie znaczącéj i podobnéj do tuzina dam z arystokracyi, zależą losy jego przyszłego życia. Mimo swego zmieszania, starał się jednak iść z gracyą, o ile mu piasek, wypełniający jego półbuciki, na to pozwalał. Nie miał pojęcia, w jaki sposób odbędzie się owa ważna prezentacya. Tymczasem Muszka, doszedłszy do matki, wyciągnęła rękę w stronę Wielohradzkiego i wyrzekła z wielką prostotą:

— Mamo! pan Wielohradzki!..

Dobrojowska uśmiechnęła się blado i uznała za stosowne zdziwić się: co robi ten pan Wielohradzki w Concarneau, tak daleko od Lwowa?

— A!.. a!.. — wyrzekła, głową kręcąc—zkąd pan się tu wziąłeś?.. Taki kąt zapadły!.. co pana tu zagnało?..

Wielohradzki nie przewidywał tego zapytania. Spadło na niego, jak piorun, lecz Muszka, dostrzegłszy jego zakłopotanie, zaczęła mówić:

— Och!.. pan Wielohradzki nie może się tu znudzić... Artysta!..

— Pan maluje?.. — spytała stara hrabina.

— Tak!.. trochę!.. akwarelle... — odparł Wielohradzki, patrząc uparcie na końce swych bucików.

— A!.. w takim razie — mówiła Dobrojowska— rozumiem pana preferencyę dla Concarneau. Mnóstwo tu artystów. Sanderson, pejzażysta amerykański, z całą szkołą amerykanek, także tu bawi... Trzydzieści panienek... bardzo oryginalne dziewczęta. Przytém jest kilku Francuzów malarzy... ale to wielkie oryginały... Czasem się ich lękam... mają długie brody... włosy... *Ils ont l'air des anarchistes...*

Zaczęła śmiać się cicho i zwróciła się ku pannie służącéj, która zamykała kabinę na klucz, chmurna i czarna pod strzechą swéj odstającéj grzywy.

— Panna Marcela skończyła? — spytała hrabina.

— Tak, proszę pani hrabiny.

— Proszę wziąć Mopcię i zawołać Tamtutkę...

Panna Marcela wyciągnęła rękę, i dopiéro teraz Wielohradzki dostrzegł, iż hrabina trzymała pod pachą małego pieska, tak popielatego, jak jéj okrycie.

— Tamtutka!.. — wołała panna Marcela.

Z po za kabin wybiegł śliczny King-Charles z olbrzymiemi czarnemi oczami.

— *En route!..* — zakomenderowała hrabina. — Muszko, podaj mi ramię, bo utonę w tym piasku!

Muszka podała matce ramię i obie, skinąwszy głową Wielohradzkiemu, odeszły powoli, kierując się w stronę wązkiéj uliczki, którą wydostał się na „plażę" Wielohradzki.

Tadeusz patrzył za niemi przez długą chwilę. Szły wolno, obie sztywne, prawie jednakowego wzrostu, obojętne na wszystko, co się wokoło nich działo.

Za niemi, jak cień, wlokła się czarno ubrana panna Marcela, a za panną Marcelą kopała się w piasku Tamtutka, wyglądająca zdaleka jak czarna niewielka kula.

Za chwilę cała ta karawana, obnosząca z taką godnością swe moralne i fizyczne *ja*, zniknęła pod arkadami liliowych akacyj i różowych powojów.

. . . . . .

Table d'hôte!..

Wielohradzki pewny, że spotka przy stole Muszkę, wszedł pierwszy do sali jadalnéj.

Chciał cofnąć się od progu, widząc, iż niéma jeszcze nikogo, lecz już pani Leclinche płaczliwie wskazywała mu miejsce w samym środku długiego stołu.

— Oto miejsce pana! — wyrzekła grobowym głosem.

Wielohradzki usiadł i zaczął wodzić wzrokiem po ścianach pokrytych deskami, na których wisiały stare porcelanowe talerze z Quimper i rozkładały się dziwaczne obrazy o brutalnych płaskich sposobach malowania. Gdzieniegdzie jaśniał blado-liliowy pasek morza roztopionego w szklance osłodzonéj wody. Jasne światło gazu wydobywało złośliwie na wierzch wszelkie wahania się nieumiejętnéj techniki wirtuozów pendzla i oświetlało tryumfalnie proste środki, jakiemi widocznie „nowi" starali się osiągnąć doskonałą summę wrażeń dla patrzącego na ich obraz człowieka.

Wielohradzki, zdziwiony, uznał w duszy, iż podobne „bohomazy" nie powinny być zawieszane nawet w salach hotelu, a wiedząc tyle o prerafaelitach, co o królowéj siamskiéj, ciasną duszą filistra zwracał się chętniéj ku liliowym piaskom, mającym być olejną fotografią nieskończonego w swym majestacie morza.

Tymczasem dokoła stołów krzątały się sługi, przeważnie młode dziewczyny, odziane w kostiumy

rybaczek, tylko w dłuższych spódnicach i bez sabotów na nogach.

Zapalały kandelabry, układały owoce, przynosiły serwetki wsunięte w srebrne i kościane kółka, oznaczone nazwiskiem właściciela, i kładły je obok talerzy. Wielohradzki usiłował odgadnąć, gdzie siedzieć będzie Muszka, i gorąco mu się robiło na myśl, iż może zajmie miejsce obok niego. Po za nim, przez rząd szeroko otwartych okien, widać było konanie dnia, przepływającego z jasności w błękitnawo-szarą mgłę. Z trzaskiem zamykano żaluzye. Rybacy kłócili się na placu i ochrypłe ich głosy mieszały się ze szczękiem talerzy. Nagle, z ostatnią zamkniętą żaluzyą, wrzask ten ucichł i teraz tylko słychać było dźwięk fajansu i suchy łoskot przetrząsanego srebra.

Lecz już powoli drzwi otwierać się zaczęły i wchodzili goście, szukając swych miejsc, odsuwając krzesła, oglądając serwety, zamieniając je, witając się wzajemnie. Nikt nie zwracał uwagi na Wielohradzkiego, który w swym kostiumie lwowskim, skrajanym modą wiedeńską, w sztywnym kołnierzyku i krawacie miał minę wystrojonego komiwojażera. Wszyscy ci ludzie, którzy wchodzili do sali jadalnéj, przybierając maniery i pozy rybaków i rybaczek, mieli na sobie odzież flanelową, luźne bluzy, koszule rozchylone u szyi, szewiotowe żakiety, alpagowe kurtki, ręce opalone, twarze zaczerwienione

murzynka i natychmiast wpakowała olbrzymi kawałek chleba w swoje szerokie usta. Miała ruchy małpy i kurczyła się na krześle, ciągle zziębła. Gorąco jednak zaczynało już panować w sali i jedna z dziewczynek otwierała wentylatory. Inne sprzątały talerze i przynosiły półmiski. Wielohradzki posmutniał i zaczął melancholijnie wpatrywać się w swój pusty talerz.

Muszka nie przyszła.

Liczył tak wiele na owo zbliżenie się przy stole, na ciągłą rozmowę, na to odosobnienie się, pomimo obecności współbiesiadników! Zamiast Muszki, miał obok siebie potworną postać taitianki, czarno-żółtą w okrutném świetle gazu, z plamami sinemi paznogci na długich kościstych palcach.

Wielohradzki podniósł oczy, chcąc uniknąć widoku téj ręki, która ciemniała przed nim na bieli obrusa, poruszając się nerwowo, jak gad czarny i potwornie brzydki. Szmer rozmów zaczynał powoli dzwięczéć w powietrzu. Roznoszono ryby nieznane Wielohradzkiemu, prawie purpurowe. Francuzi ożywiali się, nalewając wino, jabłecznik lub piwo. Dzieci rozprawiały dość głośno o zapowiedzianych za dni parę regatach, w których miały wziąć udział wszelkie malutkie okręciki, jachty, barki będące w posiadaniu dzieciarni w Concarneau. Długowłosi mężczyźni zawiązali pomiędzy sobą pogawędkę, interpelując się

przez stół, nazywając się pomiędzy sobą *nabi* *) i zdając się nie zważać na otaczające ich osoby. Jedynie tylko klan malarzy amerykańskich jadł w milczeniu, zamieniając spojrzenia z *miss*'ami, które jadły powoli, nie śpiesząc się, wyprostowane w sztywnych kołnierzykach kretonowych bluzek.

Wielohradzki szczęśliwy był z owego braku ciekawości, jakim się odznaczali ci wszyscy ludzie. Był jedném krzesłem zapełnioném czémś, co zdawało się nie egzystować w przestrzeni. Nie potrzebował ukrywać wcale złego humoru i zdenerwowania, jakie go ogarniało. Myślą przebiegał świéżo odbytą podróż, męczącą, straszną, upokarzającą, w brudnym wagonie trzeciéj klasy, pomiędzy chłopami, plującymi bez przerwy na podłogę, i handlarzami koni, którzy powracali do Laval. Jechał tak bez wytchnienia przez Wiedeń, przebiegał miasta, goniąc tanie pociągi, i dopiéro w Laval wsiadł do pierwszéj klasy, lękając się jakiego nieprzewidzianego wypadku, który-by mu kazał się wstydzić za tę źle ukrytą nędzę. Przywitanie z muszką nie odpowiedziało jego oczekiwaniom. Dziewczyna znów zamknęła się w sobie zazdrośnie i nie dała mu niczém poznać, że była rada z jego przybycia...

— *Chouxfleurs, sauce blanche...* — zabrzmiało nad jego uchem.

---

*) W hebrajskim i arabskim *nabi* znaczy podprorok. *(P. A.)*

Wziął odrobinę kalafiorów, pragnąc odosobnić się znów i powrócić do swoich myśli. Lecz teraz było to już niepodobieństwem. Rozmowy krzyżowały się w powietrzu, a grupa długowłosych mężczyzn żarliwą dyskusyą przewyższała wszystkich. Wielohradzki zaczął się im przyglądać uważniéj i zdziwiony był dziwną łagodnością, jaka przebijała się z tych twarzy. Wszyscy byli do siebie podobni; sposób noszenia długich włosów i bród nadawał im zapewne ową wspólną cechę. Z rozmowy ich Wielohradzki zrozumiał, że to była właśnie owa grupa źle wychowanych malarzy francuskich, o których mówiła hrabina Dobrojowska. Zblizka jednak byli mniéj straszni, niż widziani na wybrzeżu w purpurze zachodzącego słońca. Wielohradzki starał się pochwycić treść ich rozmowy. Lecz napróżno wytężał swoją inteligencyę. Słyszał ciągle słowa: „synteza", „symbol", „styl" —imiona: Gwido ze Sieny, Cimabue, Ghirlandajo, Monticelli... I znów, z błyskotliwością, właściwą wykształconym Francuzom, ludzie ci przeskakiwali w rozmowie do wad ustroju społecznego, do namiętności wstrząsających umysłem ludzkim, do psychologii, do filozofii, wspominając bezustannie Platona, cytując Villiers de l'Isle Adam'a. Był to chaos, gorączka słów, wymiana myśli, chwytanie w lot wrażeń. Wielohradzki, ze swoim biednym, zaciemnionym umysłem filistra lwowskiego, przeraził się wobec téj napozór bezładnéj gadaniny ludzi, tak jaskrawo

już wysuwających się po za zwyczajne objawy szaroty codziennego życia ślimaka biurowego. Dla niego prócz ścian namiestnictwa, salonów i powieści historycznych, nie istniały żadne horyzonty. Tymczasem ci ludzie o długich włosach i poplamionych farbami kurtkach grali w piłkę wiedzą i własném zrozumieniem obowiązków człowieka. Malarze amerykańscy, ciągle milczący, zdawali się uważnie przysłuchiwać słowom tych czterech „rozczochrańców." Czasem półgłosem zamieniali z sobą jakąś uwagę, lecz natychmiast milkli i siedzieli jakby skamieniałe sfinksy w swoich dobrze wykrochmalonych gorsach, nad talerzami, zieleniejącemi resztką sosem oblanych kalafiorów.

Obiad dobiegał do końca. Wnoszono pieczyste i sałatę. W okienku, przez które wysuwano z kuchni półmiski, ukazała się biała postać „szefa" i obok niego tragicznie melancholijna pani Leclinche. Gwar rozmów wypełniał teraz całą salę. Jedna z dziewczynek różowo ubranych, korzystając z zamieszania, piła czyste wino szklankami i purpurowe rumieńce wykwitły na jéj małą twarzyczkę. Francuzi promienieli na widok salaterek z sałatą. Miss agielskie żądały już séra i owoców, jedząc bardzo mało, dla zachowania „wiotkości" swojéj kibici. I nagle, tuż po za Tadeuszem, zaczęły rozmawiać dwie usługujące dziewczyny. Jedna z nich zapytywała drugą: czy *comtesse* posłano sałaty. Na przeczącą odpowiedź,

dziewczyna wzięła salaterkę i znikła z nią we drzwiach, które do téj chwili były zamknięte. Przez szczelinę Tadeusz dostrzegł brzeg nakrytego obrusem stołu, oblanego jarzącém światłem. Natychmiast zrozumiał, że Dobrojowska jada osobno, w małym saloniku. Sprawiło to mu pewną ulgę, iż wiedział, że przez ścianę znajduje się Muszka, która zanadto była wyniosła i dumna, aby się mieszać z tym szarym tłumem. Zaczął żywić sekretną nadzieję, iż może hrabina zaprosi go do swojego stołu, i z wielkim apetytem zjadł udko kurczęcia oraz cały stos sałaty. Nalał nawet murzynce szklankę wina, za co otrzymał tak straszne przewrócenie białkami, iż wzdrygnął się nerwowo, nie będąc przygotowanym na podobne wyrażenie wdzięczności.

Gorąco w sali panowało straszliwe. Francuzi pocili się, i mężczyźni bez żenady rozpinali kamizelki, rozwiązywali krawaty. Kobiety wachlowały się serwetami. Dzieci kręciły się na krzesłach, pijąc coraz więcéj wina. Jedynie tylko amerykanie i amerykanki pozostali spokojni. Za to malarze francuscy gestykulowali teraz zawzięcie, deklamując całe tyrady na cześć Oven'a. Dziewczyny usługujące krzątały się, roznosząc sér, ciastka i owoce, a białe ich czepki wirowały po sali, jak olbrzymie ćmy, zwabione światłem gazu. I nagle z wielkim hałasem zaczęto wstawać od stołów, cisnąc się ku wyjściu. Wielohradzki, pragnąc pokazać się dobrze wychowa-

nym, ukłonił się murzynce, która roześmiała się, pokazując dwa rzędy olbrzymich, zżółkłych zębów. Turban zsunął się jéj na bakier, fałszowane wino podniecało dobry humor. Zaczęła podskakiwać, jak małpa, pomiędzy dziećmi, które ją otaczały, przyglądając się jéj ze źle ukrytą ciekawością.

Wszyscy przechodzili teraz do salonu i na werendę, każąc sobie podawać tam kawę i likiery. Wielohradzki, nieprzyzwyczajony do jedzenia obiadu o tak późnéj porze, wysunął się na plac, pragnąc odetchnąć świeżém powietrzem.

. . . . . .

Uśpieni w barkach ludzie leżeli na dnie łodzi, poowijani smołą napojoném płótnem, które w słabém świetle zawieszonych u burty latarek nabierało tonów blado-oranżowych.

Barki te stały rzędem wzdłuż ocembrowania, jak cała serya dziwacznych i nędznych alków, wrytych teraz w dno portu, z którego morze uciekło, odsłaniając łożysko zawalone kamieniami i krzakami *warechu,* przybierającemi w cieniach nocy zagadkowe kształty przysiadłych do ziemi potworów.

Na środku portu, czarną massą dźwigając się od ziemi, uśpione i ciche, wznosiło się stare miasto Concarneau, i tylko most zwodzony, oświetlony kilkoma latarkami, znaczył się mistyczną ścieżką, zawieszoną w przestrzeni.

Wielohradzki szedł wzdłuż wybrzeży i łoskot jego kroków po kamieniach rozchodził się daleko. Jedynie tylko oświetlone szynki wyrzucały ze swego wnętrza kłęby ludzkich głosów, głosów ochrypłych, przyciszonych szczelnie zamkniętemi drzwiami. Gdzieniegdzie pijany rybak leżał na chodniku lub zataczał się wzdłuż wybrzeża, pragnąc znaléźć swą barkę. I tylko u góry, pomimo panujących ciemności, kołysały się lekko wiatrem wydymane welony siatek, jak wuale niewidzialnych żałobnych tancerek wykonywujących ewolucye pod sklepieniem w kir spowitéj świątyni.

Wielohradzki oddychał z trudnością. Straszne wyziewy rozkładających się ryb zatruwały powietrze. Szybko Tadeusz odnalazł ową uliczkę, którą się wydostał na „plażę", i biedz nią zaczął. Znalazłszy się przed kabinami, odetchnął. Powietrze było czyste. Dokoła panowała cisza i spokój zupełny. Tylko zdaleka słychać było szelest fal morskich. Wszystko jednak rozpływało się teraz w ciemności. W oddali wszakże, wysoko, jakby w powietrzu zawieszone, płonęły purpurowo latarnie morskie. Wyglądały jak nagle rozpalone w przestrzeni ogniska. Promienie ich płynęły daleko. Lecz nic dostrzedz więcéj nie było można. Morze cofnęło się, jak zwierz do legowiska.

Wielohradzki zaczął błądzić po „plaży" i znów uczucie wielkiego osamotnienia przepełniło mu serce.

Przypomniał sobie matkę i usilne staranie, z jakiém zdołała pożyczyć w różnych miejscach tych pięćset guldenów, jakie mu dała na drogę. Nie starał się powstrzymywać jéj w tém szaloném postanowieniu. Wydawało mu się rzeczywiście, iż przyjazdem swoim dokona cudu. Tymczasem rezultat był nędzny, mały i smutny. Tadeusz postanowił nie pisać matce całéj prawdy. Oddalony od niéj, nie pobudzany serdecznością jéj głosu do szczerych zwierzeń, zaczynał znów być blagierem i pozwalał chętce przechwalania się brać górę nad codzienną szczerością. Zresztą, nie wiedział jeszcze nic pewnego. Kto wie, co mu jutro przyniesie...

Nagle zobaczył jakieś dwa cienie, sunące po skałach i niknące w oddali. Wytężał wzrok i śledził je, gdy znów podobna para musnęła go prawie i zniknęła w jakiéjś rozpadlinie. Wielohradzki, nagle zaniepokojony temi milczącemi zjawiskami, zaczął iść pośpiesznie w stronę hotelu. Lecz co chwila spotykał teraz takie pary, przesuwające się w stronę skał, jak sylwetki pokutujących cieni.

W jednéj z tych par Wielohradzki poznał jedną z miss amerykańskich, prowadzoną pod rękę przez jednego z amerykańskich malarzy. Wybrzeże zaroiło się teraz od tych czarnych sylwetek. Zdawało się nawet Tadeuszowi, iż w jednéj z tych kańciastych i sztywnych postaci poznał samego mistrza, Sandersona, o szklistych źrenicach morfinomana, pro-

wadzącego pod rękę najmłodszą ze swych uczennic lecz nie był pewnym.

Powrócił teraz na wybrzeże, gdzie coraz więcéj w płótno smołowe owiniętych postaci zaległo dna barek. Latarki, kołysane wiatrem, rzucały niepewne drżące smugi. W jednym szynku drzwi uchyliły się nagle i Tadeusz dostrzegł całą bandę francuskich malarzy, pijących koniak razem z rybakami i chłopami. W ponurém oświetleniu szynkownianéj izby brodate ich twarze nabierały znów wyrazu fantastycznéj dzikości. Pomiędzy nimi płonął turban mn. rzynki i błyskały białka jéj oczu. Nagle drzwi się zamknęły i w umyśle Tadeusza pozostało widzenie ujrzanego nagle dziwacznego obrazu.

Gdzieś, w oddali, jakiś majtek zaczął wyć popularną piosenkę:

Allons à-Lorient
Pêcher la sardine...

I nie mogąc przypomnieć sobie daléj ani melodyi, ani słów, powracał ciągle do tych dwóch wierszy, do tych dwóch taktów, z uporem pijaka. W wycie to przeciągłe wpadł nagle odgłos dzwonów. Było to *couvre-feu*, godzina dziewiąta, godzina spoczynku.

Głos dzwonów przeleciał w téj czerni po nad barkami, po nad starém miastem, zamkniętém w kamiennéj skorupie fortu, i po fałdach rozwianych wi-

chrem siatkowych welonów popłynął na morze, nad którém czerwieniała purpura latarni portowych.

Po placu błądził Wielohradzki, wpatrując się w okna hotelu, w których powoli światła gasły. Chciał odgadnąć, gdzie się znajdował pokój Muszki, i banalny w objawie swych uczuć, zwracał się w swą moralną istotę, pragnąc pobudzić *serce* do rozwiązania téj zagadki.

Lecz serce milczało...

IX.

— Niechże pan weźmie moje *bokale*, a ja poniosę siateczki.

— Więc na seryo idziemy łowić kraby?

— Na seryo... robię to codzień po odpływie morza. Zobaczy pan, jak się wybornie bawić będziemy!

W białym berecie, z pod którego wymykały się pasma kręconych włosów, w białym krótkim żakiecie o dużych złoconych guzikach, z siatkami na ramieniu, ze szklanemi słojami pod pachą i z niezwykłą wesołością w szafirach oczu, przywitała Muszka schodzącego wczesnym rankiem ze wschodów, Tadeusza.

Wielohradzki trzymał w ręce list, który napisał w nocy do matki, proste zawiadomienie o szczęśliwém przybyciu i kilka słów o serdeczném powitaniu Muszki.

Nie spodziewał się zastać panny Dobrojowskiéj w przedsionku hotelowym. Zmieszał się i list ukrył w kieszeni. Muszka dostrzegła ten manewr i przy-

gryzła usta. Szybko jednak przybrała na twarz maskę wesołéj obojętności, oddała Wielohradzkiemu słoje i zaprosiła go na połów krabów.

— Musimy wstąpić na „plażę" do naszéj kabiny — wyrzekła — nie mogę przecież wejść do wody ubrana tak, jak jestem w téj chwili.

Przeszli plac i zagłębili się w wąwóz, na który spadał deszcz akacyj. Poranek był prześliczny. Niebo miało tony opalu. Słońce z trudem przebijało się przez te mgły mleczne, które powoli rozdzierały się, znacząc owe rozdarcia złotemi zygzakami. Gdy doszli do „plaży", morze zdaleka miało te same białe barwy, niepewne i wahające. Gdzieniegdzie migotała złotawa iskierka, lecz szybko gasła, pokryta płatami piany. Szeroko rozciągała się piaszczysta wydma łożyska, na którego jasnéj posadzce występowały brutalnie czarne skały, przyczajone, to znów wyciągające się w górę, pierwsze nakształt uśpionych potworów, drugie, jak olbrzymie, zrywające się do lotu ptaki wodne.

Wielohradzki stał koło kabiny, w któréj przebierała się Muszka; i smutek jego i zniechęcenie rozpływały się razem z temi mgłami, które słońce ostrzem swych promieni rozpraszało. Życie wydało mu się całém pasmem nieskończonych rozkoszy, i pełen otuchy przyglądał się swemu białemu flanelowemu garniturowi w wązkie niebieskie paseczki. Na nogach miał długie ciemno-granatowe pończochy, silnie obcią-

gnięte i wybornie kształt łydki uwidoczniające. Obuty w płócienne trzewiki o kauczukowych podeszwach, które kazał sobie wczesnym rankiem do hotelu przynieść, odsłaniał stopę małą, kształtną, stopę kobiety o charakterze wiecznie chwiejnym i niezdecydowanym. Szeroki pas granatowy jedwabny ściskał jego biodra. Głęboko wycięta biała koszula wełniana, związana krawatem z tego samego, co i pas, jedwabiu, dopełniała kostiumu. Na głowie Tadeusz miał beret granatowy, włożony z pewnym szykiem, tak, jak noszą berety młode kobiety, nie uciskając całéj czaszki i nie zakrywając czoła. W tém całém ubraniu, a raczéj półchłopięcym kostiumie uroda jego, delikatna i dziewczęca, uwidoczniała się i nabierała wdzięku. Woniał dyskretnie werweną, i ten zapach, cokolwiek mdły i niewyraźny, był wybornym akompaniamentem do jego całéj istoty.

Drzwi kajuty otworzyły się zcicha i wybiegła z nich Muszka, odziana dziwacznie, w szerokich plisowanych spodniach z granatowéj serży, które opadały dokoła niéj nakształt spódniczki. Wązkie stopy obute miała w *espadrille* białe płócienne, tors zaś okryty granatową, fularową koszulą, szeroko otwartą u szyi, z dużym, wełnianym białym marynarskim kołnierzem. Na głowie beret biały, a na plecach zarzucony żakiecik ciemny o świecących guzikach. Wyglądała jak paź smukły i zuchwały, no-

sząc ten kostium trochę ryzykowny z nieporównaną dystynkcyą i wdziękiem.

Wielohradzki wpatrywał się w nią z niemym zachwytem, ona zaś patrzyła na niego z widoczném upodobaniem. Chwilę tak skrzyżowały się te cztery źrenice. Pierwszy ocknął się mężczyzna i, uśmiechając się teraz tak, jak uśmiechają się ci, którzy mają atu w ręku, wyrzekł:

— Chodźmy!

I poszli w głąb wydmy piaszczystéj, ku drzemiącym lub zrywającym się do lotu skałom, po za któremi białe, jak mleko, morze powoli zaczynało się złocić i różowić po brzegach szumiących fal.

. . . . . .

Szli tak długo, milcząc, aż dotarli tam, gdzie woda cienkiemi strumykami przepływała po piasku, nakształ tniezliczonych strumieni, czystych jak łza i szemrzących cichutko po milionach muszelek, które się żółciły, różowiły, bielały i czerniły wśród niepewnego tła piasku. Wielohradzki zdjął trzewiki i pończochy, ukrył je w rozpadlinie skały i brodził teraz boso po piasku, cokolwiek zażenowany, nieoswojony ze zwyczajami przyjętemi na wybrzeżach morskich. Lękał się kataru i newralgii, lecz widząc, z jaką odwagą i niedbałością Muszka zanurza się w coraz głębsze pasma wody, usiłował ją naśladować, pomimo

pewnego wstrętu, jaki mu ta zimna, szczypiąca woda sprawiała.

Co chwila przelatywały drobniuchne szare rybki, uderzały go po nogach i zakopywały się szybko w piasek, niknąc w jednéj chwili, niemal w czarodziejski sposób. Czasem przewinął się jakiś długi robak, który zastanawiał Muszkę, śledzącą ciekawie jego wężykowate ciało. Tu i owdzie płynęła dziwaczna gwiazda kraba, mała i jakby z kryształu zrobiona. Muszka jednak potrząsała głową. Pragnęła dziś złowić kilka większych krabów do swojego akwaryum, które miała w pokoju hotelowym.

Szli więc coraz daléj, spotykając teraz gromadki dzieci błądzące wśród wody, z siateczkami na ramionach, wpół nagie, ciemne od wiatru morskiego, lub młode dziewczyny w kostiumach kąpielowych, idące na połów krewetek. Jakiś pies, chudy i brzydki, błądził wśród skał i nagle pokornie przyplątał się do stóp Muszki, która przyjaźnie pogłaskała go po długim, lisim pysku.

— Pan się dziwi, że ja tak lubię zwierzęta?... — spytała nagle. — Lubię je, bo wiem, że pieszczotą swoją sprawiam im wiele radości... Pokorne to i tak się łasi...

Głaskała wciąż łeb kudłatego kundla.

— Czegoż ty szukasz tu po skałach, sieroto? — spytała — może czekasz na swojego pana, który barką popłynął na morze?...

Nagle zwróciła się ku Wielohradzkiemu i dość rozkazująco spytała:

— Do kogo był ten list, który pan schował do kieszeni, widząc mnie w bramie hotelu?...

Wielohradzki spojrzał na nią zdziwiony i ogarnęła go wielka radość.

Ta jéj niedyskrecya zbliżała ich już, łączyła jakimś węzłem, w słowach wyrażonego uczucia zazdrości.

Płaski jego umysł nie znalazł nic lepszego, jak w banalny sposób wyzyskać sytuacyę.

— Och!... — wyrzekł, cedząc wyrazy — pani téj osoby nie zna... to... *enfin*... nie mówmy o tém.

Uśmiech ironii przesunął się przez usta Muszki.

— Powiedziałam już panu — wyrzekła tym samym ostrym głosem — że lubię tylko istoty dobre, potulne i proste... Jestem sama *trop bonne comédienne*, ażebym mogła znosić grę innych aktorów koło siebie. Prosto, otwarcie, szczerze, poczciwie powiedz mi pan, do kogo pisałeś?

Wielohradzki w téj chwili porzucił maskę subtelnego światowca.

— Do mojéj mamy!... — odpowiedział prawie dziecinnym głosem.

Muszka uśmiechnęła się teraz znowu, lecz bez śladu ironii, i szafiry swoich oczu utkwiła w twarzy Tadeusza.

— Powtórz to pan jeszcze raz!... — wyrzekła.

— Do mojéj mamy!... — powtarzał Tadeusz.

A ona podała mu nagle swoją rękę i, wciąż się uśmiechając, wyrzekła:

— Dziękuję!...

Rzuciła siatki na skałę i usiadła na wielkim kamieniu płaskim, głaszcząc wciąż jedną ręką zbłąkanego psa, który się do niéj tulił, a drugą przyciągając ku sobie Tadeusza, pokornego i usiłującego być jaknajprostszym, jaknajszczerszym, skoro w ten sposób mógł zdobyć jéj dobre słowo i—serce.

Słońce teraz tryumfalnie rozproszyło mgły i blady błękit zaczął się ukazywać, kładąc niebieskie plamy na powierzchnię morza. Tu i owdzie zjawiały się barki o szeroko rozpiętych żółtych i pomarańczowych żaglach. Jakiś jacht przepłynął zdaleka, płaski, z parasolem dachu w purpurowe i białe paski. Po skałach, gdzie czerniały całe masy *warechu,* chodziły bretonki w białych czepkach i, schylając się, zbierały brunatne kłęby roślin, składając je, mokre i oślizgłe, w duże płachty szafirowe, rozciągnięte na grzbiecie kamieni. I nagle wyjechał z po za skały wóz zaprzągnięty w dużego rudego konia, napełniony *warechem,* mając na wierzchu téj zionącéj jodem sterty dwoje dzieci w niebieskich sukienkach i czerwonych, jak mak polny, czepkach. Stary breton, dawny rybak, z twarzą zjedzoną morzem, niemal brunatną w jasném oświetleniu słoneczném, trzymał konia za uzdę i przeprowadzał wóz ostrożnie śród nagromadzonych dokoła kamieni. Jedno z dzieci

podniosło się nagle i przez chwilę chwiało się na czarnéj płaszczyźnie *warechu*, jak roślina o błękitnéj łodydze, uwieńczona purpurowym kwiatem. I nagle pozostało nieruchome, z wyciągniętemi rękami, odcinając się z przeczystą dokładnością na tle coraz bardziéj jaśniejącéj przestrzeni.

Muszka, szeroko oddychając, piła tę czystość i ciszę, ten bezmiar olbrzymiéj krystalicznéj pustyni i, trzymając wciąż rękę Tadeusza, zaczęła mówić nizkim, harmonijnym głosem:

— Niech mi pan tu nigdy nie mówi o Lwowie... o tych, którzy nam są wspólnie znani... Ja tu chcę żyć zupełnie inném, pełniejszém, piękniejszém życiem... Nie chcę, aby mi sylwetki tych ludzi mąciły jasną linię morza...

— Dobrze! — odparł Tadeusz. — Ja sam radbym o nich zapomnieć.

Był w téj chwili zupełnie szczery. Ta poranna wycieczka, złota od słońca i różowa od uśmiechu i obecności Muszki, przenosiła go w nieznaną mu dotąd krainę szczęścia. Ogarnęło go rozmarzenie, smutek; uczuł, że zaczyna się kochać w Muszce bez pamięci. Lwów majaczył w oddali, jak wejście do butwiejącego grobowca. Chciał o nim zapomnieć, o swéj nędzy, o namiestnictwie, o wszystkiém.

Muszka szerokim giestem ukazała mu przechodzącą grupę rybaczek.

— O ile one od nas estetyczniejsze... o ile więcéj mają w sobie wdzięku!...

Lecz Tadeusz nie odczuwał jeszcze tego piękna i zauważył w duchu, że wszystkie te kobiety były płaskie i źle zbudowane. Zachował jednak dla siebie tę uwagę, teraz przykląkł obok Muszki i delikatnie, kolejno całował jéj cokolwiek opalone palce, z których Muszka poprzednio zsunęła rękawiczki, rzucając je na deseczkę kabiny.

Białe ptaki nagle porwały się do lotu i zaczęły bić skrzydłami, kierując się w stronę morza. Płynęły w jasności słonecznéj, która powoli zaczęła gorzéć łuną na skraju horyzontu. Muszka radosnym głosem zawołała:

— Mewy!... patrz!... mewy!...

Tadeusz rękę jéj do swéj twarzy przytulił.

— Jaka pani dobra!... — wyszeptał.

Muszka śmiać się zaczęła przeciągle.

— Muszę!... choćbym nie chciała... Mam wszystko, dokoła mnie, co mi jest drogie... morze... słońce... tęczę barw... ciszę... i dwa poczciwe stworzenia...

Obiema rękami pogłaskała psa po łbie.

Lecz Wielohradzki nie czuł tego dziwnego zidentyfikowania go z psim przybłędą.

— Nie znałem pani... z téj strony — wyrzekł — byłaś pani tak zawsze poważną, dziwną, niemal surową...

— Och!... — odrzuciła Muszka — nie uwierzy

pan, jak owo *milieu* przejrzyste i jasne na mnie działa... A przytém...

Urwała i pochyliła się teraz nad psem, któremu uważnie przyglądać się zaczęła.

— Jak pan sądzi? jaka to rasa? mnie się zdaje, że to będzie *chien-loup*. Spotykałam często takie psy w Bretanii, tylko... tamte miały guzy na czole, a ten... nie ma guza.

Wysunęła prawą rękę z dłoni Wielohradzkiego i zaczęła gorliwie poszukiwać owego guza na łbie zwierzęcia.

— Niema... — wyrzekła po chwili — co téż to może być za rasa?... A może to jaki *bâtard*, a ja napróżno sobie głowę łamię. Jak pan sądzi?

— Nie wiem... nie znam się...

— Prawda, zapomniałam. Nie należysz pan do sportowców... I w tém cały pana wdzięk...

Dawniéj Tadeusz byłby się nadął i odpowiedział: „nie lubię sportów"; dziś czuł, iż to kłamstwo fałszywe może sprawić złe wrażenie, więc milczał, klęcząc wciąż na kamieniu z potulną miną grzecznego chłopczyka.

Muszka zdawała się teraz pogrążoną w ciągłéj kontemplacyi morza.

— Patrz pan — wyrzekła — jak się tam mienią turkusy, szafiry, szmaragdy... Wszystko to wypływa z liliowéj bieli porannéj i powoli zamienia się w cały pas najkosztowniejszych klejnotów.

Po chwili dodała, przeciągając zgłoski:

— Ja kocham się w morzu!...

— Tak!... — podchwycił Tadeusz — dobrze pani mówi, że kocha się w morzu. Pani kocha w tych mieniących się falach siebie samą... swój charakter... swe porywy... nawet barwę swych oczu...

— Więc według pana jestem taką mieniącą się tęczą?

— Tak!...

— Jedną z tych heroin obecnych francuskich romansów, niepochwytną, nadzwyczajną, *une Slave aux yeux glauques*... prawda?

Głos jéj brzmiał ironicznie. Różowe usta w złośliwym uśmiechu krzywiły się niemiło.

Tadeusz doznał uczucia zimna.

— Tak!... trochę!... — wybełkotał, tracąc kontenans.

Ona leciuchno, prawie niedostrzeżenie wzruszyła ramionami.

— *Oh!... que c'est fade!...* — wyrzekła, odwracając głowę.

Zapanowało głuche milczenie, przerwane tylko na chwilę cieniutkiemi głosami dzieci, które powracały z połowu, zmoczone, obryzgane wodą, z kieszeniami wypchanemi masą muszli, ze wstążkami *warechu*, przewieszonemi przez plecy. Nagie ich różowe nóżki zamigotały w powietrzu, purpurowe berety przez

chwilę rzuciły płomienną nutę i zgasły po za parawanem skał.

Tadeusz klęczał, jak dzieciak na pokucie, szczerze zmartwiony i skubał własne palce z gorliwością, godną lepszéj sprawy. Nagle zdecydował się położyć kres téj sytuacyi.

— Pani znów niedobra!... — wyrzekł cicho, a głos jego brzmiał taką szczerą pokorą, iż Muszka odwróciła się szybko i z uśmiechem spojrzała na jego zasmuconą minę.

— Ależ nie!... nie!... — zawołała — nie jestem niedobra!... nie lubię tylko, gdy kto chce ze mnie gwałtem zrobić ekscentryczną istotę. Nie znam nic trywialniejszego i bardziéj banalnego, jak wszelkie ekscentryczności...

I zrywając się nagle ze skały, dodała:

— Chodźmy łowić kraby!...

I poszli znów daléj ku morzu, wśród ciemnych stert *warechu*, pełzającego po piasku, jak najcudowniéj wycinane wstęgi. Przed niemi masa niezmierzona wody pokrywała się coraz gęściéj kadłubami statków i teraz tryumfalnie z owéj walki złota, rubinów, opali i szmaragdów stawała się jednym wielkim szafirem, czystym, doskonałym, który przechodził ku brzegom w bladość turkusu, oprawionego w srebro pian.

— Mamy jeszcze godzinę czasu przed sobą... — wymówiła Muszka — późniéj wrócimy na śniadanie i, idąc koło poczty, wrzucimy list do mamy.

Wymawiając te słowa, starała się nadać im intonacyę głosu Wielohradzkiego. On, nagle porwany, usłyszał ten dźwięk i przejęła go radość i nadzieja, gdy Muszka raz jeszcze, jakby wsłuchując się w ulubioną melodyę, powtórzyła z lubością melomana:

— Do mamy!...

. . . . . .

Codziennie teraz rano wychodzili na połów owych krabów i siadali na odłamach skały pomiędzy stosami brunatnego *warechu*. I natychmiast Tadeusz szukał ręki dziewczyny, która poddawała się chętnie téj dyskretnéj pieszczocie i pozwalała całować swe palce długie, wązkie, zakończone różowemi pazurkami.

Patrzyli na morze, mówili niewiele: ona—ciągle pomimo pozornego przystępu szczeréj dobroci zamknięta w sobie, często ironiczna; on—niepewny i wahający się, lecz wchodzący już w rolę pokornego psa, czekającego cierpliwie na dobre słowo swego pana i chlebodawcy.

Często spotykali na skałach którąś z Amerykanek, siedzącą sztywno przed stalugami pod parasolem z białego płótna, przymocowanym do poręczy krzesełka. Muszka zamieniała z malarką kilka słów po angielsku, co pozwalało amerykance pokazać szereg strasznych zębów i rzucić na Tadeusza przelotne, ledwie dostrzegalne spojrzenie.

Raz Wielohradzki posłyszał najwyraźniéj:

— *Your correspondent!...*

— *No!...* — odparła Muszka.

Lecz amerykanka zaczęła śmiać się tak, iż jéj bluzka, tworząca na plecach garb, zupełnie wysunęła się z paska.

Tadeusz zmarszczył brwi i uczuł się tym śmiechem mocno dotknięty.

Skoro zeszli ze skały, odezwał się natychmiast:

— Cóż to za monstrum!...

Mówił umyślnie głośno, pragnąc, aby amerykanka usłyszała ostatni wyraz.

Lecz Muszka, będąca dnia tego w wenie wielkiéj pobłażliwości, wyrzekła tonem właściwym doskonale pięknym kobietom, które w obecności mężczyzny bronią innych, doskonale brzydkich kobiet:

— Och!... piękność jest rzeczą względną... *On ne sait jamais*, co ludzie rozumieją pod słowem piękność! Te panienki nie są piękne... być może.., ale mają dużo dystynkcyi... są zgrabne... doskonale wychowane... ułożone... i rozumieją życie...

— Co do téj ostatniéj kwestyi, ma pani najzupełniejszą racyę — odparł ciągle zirytowany Tadeusz.

Muszka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Pana zapewne razi ich flirt z kolegami? Co do mnie uznaję to za rzecz zupełnie naturalną. Korzystają z wolności i swobody... są młode... kochają....

— Och!... — podjął Tadeusz.

— Ależ tak!... — ciągnęła Muszka — kochają *sezono-wo*... Taka miłość kompletuje ogólną harmonię, całą pieśń morza, nieba, gwiazd, urok ciszy i promieni słońca... Czy pan tego nie rozumie?

— Nie!... — odparł Tadeusz.

— A!... — zdziwiła się Muszka — *tiens*, ja myślałam...

Lecz Tadeusz, zdjęty nagłą śmiałością, szybko mówić zaczął:

— Nie... nie rozumiem... miłość nie może być sezonowa... to nie jest miłość, to zabawka...

— A!... pan rozumie tylko miłość tragiczną... na całe życie!...

— Tak!... na całe życie!...

Zatrzymali się teraz na środku dużéj płaszczyzny, po któréj biegły srebrne strumienie wody.

Oczy ich po raz pierwszy może spotkały się szczerze, otwarcie, i pierwsza kobieta uciekła w bok źrenicami, jakby ten nadmiar silnego uczucia, który się objawił w tym lalkowatym wzroku mężczyzny, przeraził ją i sprawił w jéj moralnéj istocie silne wstrząśnienie. Zaczęła iść naprzód szybko, milcząc, nagle spoważniała, zamyślona, lecz on dogonił ją i, ująwszy jéj rękę, zapytał nizkim głosem, pochylając się nad jéj ramieniem:

— Czy to cię przeraża?...

Ona nie odpowiadała, pobladła, z oczyma rozsze-

rzonemi, postarzała nagle, jakby na jéj barki walił się ciężar przechodzący siły.

Lecz nie odsuwała od siebie drżącego i olśnionego swoją śmiałością chłopaka: przeciwnie, zwalniała kroku, jakby pod urokiem mistycznéj i niewidzialnéj siły.

— Czy cię to przeraża? — powtarzał Tadeusz.

— Nie!... — odparła nareszcie zaledwie dosłyszalnym głosem.

Milczeli chwilę, oddychając ciężko, lecz szli ciągle ku morzu, które, dziś wzburzone, biło z dalekim głuchym łoskotem o skały i podstawy sygnałów.

Tadeusz pochylił się tak, iż ustami prawie dotykał włosów dziewczyny.

— Na całe życie?... — zapytał.

— Na całe życie!... — zabrzmiało jak echo.

. . . . . .

Tego dnia Tadeusz, powróciwszy do hotelu, zastał dwa listy pod swoim adresem.

Na jednéj kopercie poznał rękę matki, drugi adres był nakreślony nieznaném mu pismem. Zadziwił się niepomiernie.

Oprócz matki, nie wiedział nikt o miejscu jego pobytu.

Zdjął go nerwowy niepokój. Zamknął drzwi na klucz i rozerwał ową kopertę. Ukazała się ordynaryjna ćwiartka papieru, zakreślona drobnem, niewy-

robionem, prawie dziecinnem pismem. Wielohradzki brwi zmarszczył i, usiadłszy na stole, czytać zaczął.

List Teci do Wielohradzkiego.

Bardzo się pan zapewne zadziwi, dostawszy ten list, i to jeszcze więcéj pana zadziwi, że to ja do pana piszę w sekrecie przed Babką i Mamą Pana. Ale ja bardzo dużo walczyłam, zanim wzięłam pióro do ręki, dużo płakałam, bo wiedziałam, że źle robię i że nie powinnam pisać do Pana tak w sekrecie przed Babką i przed Pana Mamą. Tylko mnie się zdawało, że Pan był dla mnie bardzo życzliwy, a nawet przez jakiś czas to Pan mówił mi, że jest moim przyjacielem. Więc ja pomyślałam, że przecież Pan to sobie przypomni i tego mojego listu za złe wielkie mi nie poczyta. Ja, widzi Pan, nic nigdy nie zapomniałam z Pana dobroci dla mnie, i teraz mam to wszystko ciągle żywo przed oczami, tak, że ani na chwilę nie mam wolnéj myśli, i schudłam i nie śpię, a wciąż tylko przypominam sobie, że Pan był dla mnie taki dobry i tak życzliwie się ze mną obchodził.

Ja nie wiem, czy Pan to wszystko pamięta i czy Pan téż jeszcze myśli o mnie kiedy, bo ostatniemi czasy to zdawało mi się, że Pan mnie nie lubi, i starałam się Panu z drogi schodzić, aby tylko Pan źle na mnie nie patrzył, bo takie Pana oczy to mi bardzo wielki smutek sprawiały i ja już potém w nocy nigdy nawet zasnąć nie mogłam.

Więc ja-bym wolała, żeby mi Pan poprostu powiedział i poradził, co ja mam począć, bo Babka i Mama Pana chcą, żebym wyszła za mąż za pana Janczewskiego, i chwili spokoju teraz w domu nie mam, tak mnie ciągle Babka prosi i namawia. Babka mówi, że to będzie dla niéj śmierć spokojna i los Felka zapewniony... Ja chciałabym wiedzieć, co mam robić, czy mam się jeszcze czego dobrego spodziewać w życiu i czekać cierpliwie, czy téż już tak powiedzieć sobie, że dla mnie wszystko przepadło i pójść za tego pana, Babkę uspokoić i bratu dać wychowanie? Niech Pan mi napisze szczerze, jak na świętéj spowiedzi: ja się nie pogniewam i przebaczę Panu, i będę zawsze dla Pana i dla Mamy Pana życzliwą przyjaciółką. Choć smutno mi będzie i bardzo ciężko tak wyrzec się wszystkiego. Ale niech będzie tak, jak Bóg chce. Ja tak postąpię, jak Pan powie, i nigdy się nawet żalić nie będę, że o mnie tak Pan prędko zapomniał. Niech Pan ten list spali, proszę Pana na słowo honoru, bo bardzo się boję, ażeby kto nie dowiedział się kiedy o téj mojéj śmiałości. Ale to tylko rozpacz mnie doprowadziła do tego, niech mi Pan wierzy i nie myśli źle o mnie, bo ja jestem bardzo nieszczęśliwa i mam przeczucie, że ja to już taka nieszczęśliwa zostanę na całe życie. Adres Pana to ja podpatrzyłam z koperty, jak Mama adresowała, tylko błagam Pana, niech Pan mnie nigdy nie zdradzi, bo chyba zabiłabym się ze wstydu, gdyby się ludzie do-

wiedzieli, że ja do Pana taki list napisałam. Niech Pan napisze na pocztę *restante*, to ja codzień wpadnę, jak będę odprowadzać Felka do szkoły. I raz Pana jeszcze proszę, na wszystko co panu święte, niech Pan mi napisze całą prawdę, niech ja wiem, czy Pan téż jeszcze o mnie myśli.

Przywiązana i nieszczęśliwa

Tecia.

Tadeusz wolno odłożył list na bok.

Skrzywił usta, zasępił się, przez długą chwilę siedział nieruchomy, przenosząc się nagle myślą do Lwowa, do ciasnych i smutnych klatek swego mieszkania, do wyrobniczéj postaci Teci w czerwonym jerseyu, schylającéj swą anemiczną twarz nad turkocącą maszyną. I powstało w nim wielkie uczucie niesmaku i odrazy do samego siebie za to bezmyślne i głupie zbliżanie się do tego dziecka, do którego nic go nie ciągnęło! Nie mógł teraz zrozumieć, dlaczego w sekrecie przed matką zamieniał z ową Tecią spojrzenia, uściski rąk, nawet pocałunki. Dziewczyna wzięła tę rzecz na seryo i najwyraźniéj w liście pragnęła dowiedzieć się prawdy. Pogrążony w egoistycznem zadowoleniu nie odczuł ani na chwilę rozpaczy, jaka dławić musiała serce dziewczyny. Siedząc tak na stole, w tym eleganckim numerze hotelowym, obwieszonym draperyami zielonego aksamitu i zastawionym meblami z różanego drzewa i palisandru,

mając przed sobą przez otwarte szeroko okna cały port morski, z którego wystawały tajemnicze i fantastyczne fortyfikacye starego grodu, cały jeszcze upojony pięknością, elegancyą, szykiem Muszki, sam szykowny i zgrabny w swéj białéj flanelowéj koszuli i pasie z czarnéj wełny, z beretem na lekko zafryzowanych włosach, nie umiał a raczéj nie chciał zrozumieć smutków innéj istoty. I tak jak w porcie mijał obojętnie klnących i złorzeczących sobie rybaków, którzy wskutek konkurencyi zmuszeni byli wyrzucać owoc całodziennéj, ciężkiéj pracy w otchłań morza i skazywać tém samém siebie i swą rodzinę na nędzę i głód całéj doby, tak samo stawał obojętny, a raczéj znudzony, wobec skargi Teci, uważając ten list tylko jak rodzaj intruza, nieproszonego gościa, który mu przypominał w niewłaściwéj chwili szarą banalność jego życiowéj ścieżki i jego niewytłómaczoną minioną głupotę.

Wyciągnął rękę i sięgnął po list matki. Otworzył kopertę i czytać zaczął ćwiartki blado-zielone, zakreślone pięknem, równem pismem spokojnéj i ufnéj zawsze w przyszłość kobiety.

List matki do Tadeusza.

Najmilszy mój i najukochańszy Synu.

Po twym pierwszym liście, któtkim i nakreślonym z widocznym pośpiechem, nadszedł wreszcie twój list drugi, dłuższy i szczerze mnie radujący. Te trzy

dni, które trwała twoja podróż, spędziłam na modlitwie, tak bardzo się lękałam jakiego wypadku na kolei, boć to o to nietrudno, zwłaszcza za granicą. Nareszcie odetchnęłam, mając od ciebie wiadomość. Gdybyś wiedział, ile mi szczęścia i radości przysporzyły te słowa twojego listu, w którym tak ładnie i serdecznie piszesz, iż pierwszy twój list został wrzucony do puszki przez „was dwoje". Błogosławiłam was w myśli oboje, ciebie mój Tadziu najdroższy, i tę dobrą, szlachetną dziewczynkę, którą codziennie więcéj kocham i którą z taką radością przycisnę do serca i nazwę swą córką. Mów jéj często o mnie — i nawzajem wywdzięczając się za jéj dla mnie delikatne i poczciwe uczucie, staraj się być z jaknajwiększą atencyą i respektem dla jéj matki. Wiem, iż nie potrzebuję ci tego polecać. Znam twój takt i wiem, że rozumiesz całą doniosłość podobnego kroku. Potrzeba, ażebyś pozyskał serce nietylko panny, ale i całéj rodziny; wtenczas poczujesz się pomiędzy niemi jak u siebie i sytuacya twoja się ugruntuje. Niemniéj przeto bądź pełnym szacunku dla hrabiny, lecz bez zbytniéj uniżoności. Oni mają za sobą w téj chwili przewagę materyalną, lecz ty—moralną. Oboje wraz z Muszką walcząc zwycięzycie, a wasza stara matka odetchnie radośnie ciesząc się waszem szczęściem. Mówię — ciesząc się z daleka — gdyż ja z wami mieszkać nie będę. Wiem, że młode małżeństwo lubi być w domu samo. Wyślecie mnie na wieś, na moją

drogą wieś, do któréj bardzo tęsknię, i tam ja odetchnę swobodnie i dokończę życia w spokoju, ciszy i modlitwie za was oboje i za szczęście wasze. Jeszcze dwa tygodnie, zanim cię ujrzę i przycisnę do mego serca. Bardzo mi tu smutno bez ciebie, każdy kącik mi ciebie przypomina. Wczoraj uporządkowałam twoje archiwum. Nie bój się, nie popsułam nic i wszystkie ordery i cacka napowrót ułożyłam na swojem miejscu. Zdrowie moje niezłe, trochę mi tylko oczy nie dopisują. Tecia za to ma się jakoś niedobrze, chudnie i traci siły. Piknicka koniecznie postanowiła ją wydać za mąż. Ja się zachowuję neutralnie. Oto chyba wszystkie nowiny. Niewiele cię one obchodzą, bo masz teraz o czemś ważniejszem do myślenia, o czemś, co los twego całego życia rozstrzyga. Zawsze miałam nadzieję i wiarę w miłosierdzie Boskie. Wiedziałam, że nie dziś to jutro pozycya twoja się zmieni i że powrócisz nareszcie na stanowisko, które zajmować winieneś. Dobroć Boża jest nieograniczona. A teraz niech cię ucałuję, mój synu najukochańszy, i polecając opiece Boskiéj i natchnieniu Bożemu, kreślę znak Krzyża nad twoją głową.

Twoja najprzywiązańsza matka,

Adela Wielohradzka.

P. S.—Mój drogi Tadziu—staraj się, aby te pieniądze, które ci dałam, wystarczyły, bo trudno

byłoby mi posłać ci jeszcze cośkolwiek. Całuję cię raz jeszcze—was dwoje—Twoja matka.

Tadeusz obydwa listy złożył do szafy, namyślił się jednak i, szybko zapaliwszy świecę, wyjął listy i spalił je w głębi kominka. Uczyniwszy to, obejrzał popiół, roztarł w palcach to, co jeszcze pozostało z kawałków spalonego papieru, i wydobywszy z podróżnéj teczki arkusik papieru, pisać zaczął.

List Tadeusza do matki.

Droga Mamo!

Liścik Mamy w téj chwili otrzymałem i natychmiast nań odpowiadam, całując ręce Mameczki za jéj dobre słowa i poczciwe życzenia. Spełniło się przewidywanie Mamuchny. Dziś, przed chwilą — ja i Muszka zamieniliśmy z sobą przyrzeczenie dozgonnego przywiązania. Nie wiem teraz, co mam począć. Czy zapytać jéj, jak mam postępować? Jak Mamuchna myśli? Boję się jakimś niestosownym krokiem popsuć to, co ona, biedactwo, musi zdobywać u swéj rodziny. Nie mówiliśmy nigdy o tém, bo pojmuje Mateczka, jaka to jest delikatna materya. Przyznałbym się w takim razie do mojéj *infériorité*, musielibyśmy analizować sytuacyę, a to dla nas obojga byłoby niewymownie przykre. Obecnie jednak jestem prawie spokojny, bo Muszka nie kryje już przedemną swego uczucia i, nie zapominając na chwilę o takcie

i godności kobiecéj, otwarcie daje mi do poznania, iż jestem dla niéj czemś i że się liczę w jéj życiu. Nigdy nie widziałem jéj we Lwowie tak miłą, naturalną, dobrą i szczerą, jak tutaj. Jestem przekonany, że Mateczka przywiąże się do niéj całą duszą. Dlaczego Mamusia pisze, że z Tadziem już mieszkać nie będzie, skoro się Tadzio z Muszką ożeni? Mamusia będzie zawsze z nami: jestem pewny, że Muszka nie pozwoli, aby Mamcia osobno mieszkała. Wszystkie garnitury leżą doskonale, tylko się trochę w kuferku pogniotły. Koszule zaś, tak jak Mamcia je zwija, są wybornie dowiezione i gorsy zupełnie nie połamane. Tylko tutaj chyba nigdy nie włożę fraka, bo tu niema kasyna i wieczorem wszyscy się rozchodzą do swoich pokojów. Posłucham rady Mameczki co do zyskania sympatyi saméj hrabiny, ale, jak dotąd, nie widziałem jéj prawie. Muszka mnie przedstawiła matce, hrabina mnie doskonale przyjęła, i od téj chwili znikła mi z przed oczu. Pójdę jutro na plażę w godzinie kąpieli i zastosuję się do życzenia Mamy. Kończę ten list, bo lada chwila zadzwonią na obiad. Niech się Mamuchna nie boi: nie wydam więcéj, jak Mamcia mi dała, gdyż, tu niema poprostu na co wydawać. Wiem, że i te pieniądze Mamcia cudem zdobyła, ale może już w niedalekiéj przyszłości zdołam odwdzięczyć się Mamci za wszystkie jéj dla mnie dobrodziejstwa.

Ręce i nogi Mamci całuję i proszę kochać mnie zawsze i być jaknajlepszéj myśli i nadziei.

Najprzywiązańszy syn,

Tadzio.

P. S. Niech Mameczka powie Teci, że ja radzę jéj szczerze, aby się nie wahała i poszła za mąż za pana Janczewskiego.

Włożywszy list do koperty i nakreśliwszy adres, Tadeusz umył ręce, przygładził włosy, uperfumował się dyskretnie wodą kolońską i zeszedł do sali jadalnéj, nie zmieniając ubrania. Przyjął bowiem sposób życia Francuzów, którzy siadali do stołu we flanelowych koszulach i *espadrillach* o podeszwach słomianych, nie żenując się bynajmniéj, przesadzając o ile możności owo zaniedbanie w stroju, jakby dla kontrastu z Amerykanami, którzy, zawsze *correct*, zmieniali swe dzienne kurtki na smokingi i stanowili w kącie stołu klan światowy, detonując tą poprawnością na ogólnem tle stajennego zaniedbania innych gości.

Wielohradzki zasiadł na swojem krześle i z miną znudzonego wielkiego pana zaczął czytać *menu*. Zauważył, iż dystygowańsze osoby piły wody mineralne i droższe wina. I on miał teraz swoją armię butelek, którą obstawiał dokoła talerze. Nie rozmawiał z nikim, niezmiernie dumny ze swéj blizkiéj zażyłości z Dobrojowskiemi, których odosobnienie się

imponowało niezmiernie Francuzom. Naprzeciw niego malarze francuscy, codzień więcéj rozczochrani i dziwaczni, prowadzili teraz rozmowę o Wolterze, starając się zrehabilitować jego fatalną a niezasłużoną opinię. I nagle, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, zaczęli mówić o Muszce, porównywając jéj rysy do obrazu Tomasza Grimma, znajdującego się w Southampton Galerie. Wielohradzki zmarszczył brwi, zaczął gryźć usta i wyzywająco spojrzał na rozczochrane głowy malarzy, gotowy w każdéj chwili do nerwowego wystąpienia w razie, gdyby który z tych panów ośmielił się w lekceważący sposób odezwać o pannie Dobrojowskiéj.

Lecz malarze, jedząc szparagi, debatowali teraz, czy nie należy przyjąć jako pewnik teoryę, iż zamiast transformacyi, udoskonalającéj coraz więcéj żywą istotę, istnieje wręcz przeciwna transformacya obniżająca. I tak my, ludzie, jesteśmy niższe istoty niż owady i ptaki, lecz wyższe niż zwierzokrzewy i rośliny. Powoli zatracając ruch, który jest życiem, i wrastając w ziemię, staniemy się cząstką kamieni, gruntu skalnego, i utworzymy ową bryłę wystygłą, która będzie w przyszłości ziemią naszą.

Wielohradzki przez chwilę starał się zrozumieć wątek téj rozmowy tak, jak codziennie mimowoli starał się wniknąć w sens owych dziwacznych a dla niego niezrozumiałych słów, które po przez stół krzyżowały się dokoła niego z szybkością i migotliwością

błyskawicy. Lecz malarze, znudzeni już tym przedmiotem, zajmowali się teraz „Katechizmem buddyjskim" przez Soubhadrę Brikshon i ganili niezmiernie jego zbyt dowolny układ, „dla użytku europejczyków" sporządzony.

Powstała dyskusya gorąca i ożywiona, gdyż jeden z malarzy bronił owego Soubhadrę i usiłował dowieść, że katechizm ów jest najzupełniéj zgodny z doktryną Buddhy Gotamy. Wśród téj wrzawy murzynka, coraz więcéj zziębnięta, zjadła całą stertę szparagów, połykając je całe, i otwierała przytem tak szeroko swe grube wargi, iż zdawało się, że połknie cały stół wraz z biesiadnikami. Niektórzy goście, siedzący bliżéj klanu malarzów, zaczęli mieszać się do tej dyskusyi, i nagle Wielohradzki uczuł się otoczony teozoficzną atmosferą, pełną burżuazyjnego mistycyzmu. Pojawienie się olbrzymich baranich pieczeni, złocących się rudemi masami w obramowaniu białych półmisków, przerwało żarliwe ścieranie się zdań przeciw i w obronie budyzmu. Rzucono się z zapałem do mięsa i sałaty i przez długi czas widać było tylko szczęki poruszające się i miażdżące jadło. Lecz, gdy służące zjawiły się, aby uprzątnąć talerze, błękitny kwiat modnego mistycyzmu zaczął krążyć znów w przestrzeni. Wypoczywano po zwalczeniu trochę twardéj baraniny, w oczekiwaniu kremu czekoladowego, który zapowiadało *ménu*, przelatując z rąk do rąk z szybkością papierowego motyla. Czasu tego

użyto na powrócenie do badania źródeł wszelkich religii. Jakiś komiwojażer zaimponował wszystkim, mówiąc, iż ma znajomego, którego brat widział na własne oczy indyjskiego fakira. Malarze teraz wzruszali ramionami, patrząc na mówiącego z politowaniem. Wielkie rzeczy—fakir! Każdy z nich potrafi to samo; trzeba tylko.. chcieć. Podkreślali to słowo i uśmiechali się tajemniczo, porozumiewiając się wzrokiem. I nagle, jakby chcąc zaznaczyć pogardę swoją dla tych filistrów, czepiających się zbyt wysokiego przedmiotu rozmowy, zaczęli mówić pomiędzy sobą o teoryi harmonii barw, którą można było mechanicznie przeprowadzić na podstawie biegu planet. Była to już rzecz fachowa, i powoli teraz teozoficzne rozmowy milkły niepodsycane, zwłaszcza, iż pojawiły się salaterki pełne czarnego kremu, obłożonego żółtemi, wyschłemi biszkoptami.

Wielohradzki siedział, milcząc, pochylony nad talerzykiem, i jadł leguminę, pełen jakiegoś błogiego zadowolenia.

Myśl o Teci, która go niemile drażniła w chwili rozpoczęcia obiadu, odbiegła go zupełnie. Teraz już tylko cały był przejęty swą miłością dla Muszki i dusza jego rwała się po za te drzwi, za któremi znajdowała się hrabianka.

. . . . . .

Na „plaży" czerniło się aż od dzieci, które znosiły swoje okręciki, yachty, łódeczki, barki, yolle, i ustawiały je rzędem na piasku. Stary wilk morski Jagoury, z nogą drewnianą i twarzą czarną od wichru i soli, czekał w niewielkiéj łodzi spokojnie, paląc fajkę i plując w morze. Co chwila jakieś dziecko wybiegało tuż po nad brzeg, tak, że fale, zielone dnia tego jak szmaragd, moczyły końce drobnych nóżek, i, stanąwszy nad wodą, krzyczało:

— *Jagoury!...*

— *Ben quoi?...* — pytał flegmatycznie breton.

Dziecko dawało mu jakieś polecenie, którego on słuchał obojętnie, kiwając głową. On-to bowiem miał zabrać na swą łódź wszystkie okręciki i wypuścić je na pełne morze. Latarnia morska była metą tych regat miniaturowych; dziesięć franków — pierwszą nagrodą. Statków zapisanych była spora liczba; lecz ciągle jeszcze nadciągały dzieci, prowadzone przez bony w białych fartuchach i muślinowych czepkach, niosące maluchne okręciki. Ze wszystkich uliczek, rozpadlin murów, wąwozów, wysuwali się tryumfujący malcy w beretach, z nagiemi łydkami, drepcąc po piasku, bijąc się z boną i spiesząc nad brzeg, aby natychmiast zacząć krzyczeć:

— *Jagoury!...*

— *Ben quoi?*

Lecz dzieci już odbiegały i stawały na ich miejsce

inne, tak samo w beretach, z nagiemi łydkami, i wołały cieniutko:

— *Jagoury*!...

Starsze osoby powoli odmykały swoje kabiny, wydostawały fotele i składane krzesła i siadały, usiłując znaleźć choć odrobinę cienia. Słońce jaśniało w całéj potędze i piasek plaży był prawie gorący od jego promieni. Purpurowe parasole, porozpinane dokoła, wyglądały jak polne maki olbrzymie, a złoty kolor piasku zdaleka sprawiał wrażenie wielkiego łanu pszenicy. Kilka dziewczynek miało błękitne sukienki, co w ten łan rzucało niewielkie punkty chabrowe. Lecz już morze zielenią swoją, dziwaczną i nieusprawiedliwioną (bo całe niebo czerniało aż do szafiru), obejmowało wielką ramą wysunięty daleko przylądek i, bieląc się lekko srebrną pianą w rozpadlinach skał, symfonię chabrów, maków i kłosów zmieniało w step zieleni, step niezmierzony, niosący na swoim rozkołysanym grzbiecie pomarańczowe plamy rozpiętych szeroko żagli.

Nagle u brzegu powstał ruch wielki: powoli mały i bosy breton, w płóciennych spodniach i niebieskiéj kurtce, zaczął podawać kolejno okręciki Jagouremu, który przybił do ścieżki kamiennéj, sterczącéj wysoko wśród fal morskich. Chłopak skakał dziwnie zręcznie po czarnych grzbietach kamieni, a gromadka dzieci, stojąca na brzegu, śledziła jego ruchy z wielkiém natężeniem. Lecz nagle jeden z małych chłop-

ców w czerwonym berecie pobiegł tuż za bosym bretonem i, szybko przeskakując z kamienia na kamień, przedostał się do łodzi Jagourego. Było to niejako hasłem, natychmiast bowiem cały tłum chłopczyków i dziewczynek rzucił się ku owéj ścieżce z piskiem i hałasem. Bony wmieszały się także pod pozorem opieki i w mgnieniu oka łódź Jagourego napełniła się beretami, wśród których bieliły się czepki sług i żagle miniaturowych okręcików.

— *Hoe ho*!... — krzyknął Jagoury.

Bosy chłopak odepchnął łódź, która, obciążona, wypłynęła na morze. Widać było na tle ciemnych desek kilka różowych rączek, gwałtownie pragnących zanurzyć się w wodzie. Berety powiały pożegnaniem, pisk i śmiech dopłynął razem z falą do brzegu, i nagle wszystko ucichło; łódź płynęła po tafli szmaragdu, pozostawiając za sobą szeroką brózdę o dziwacznych, złoto-szafirowych połyskach.

Wówczas Wielohradzki zbliżył się ku paniom Dobrojowskim, które siedziały w cieniu wielkiego parasola, wpół leżąc niedbale na dużych fotelach, z trzciny i szarego płótna złożonych.

Tadeusz pragnął zastosować się do rad matki, zbliżyć się cokolwiek do saméj hrabiny i dać się jéj poznać z jaknajlepszéj strony. Wydawało mu się to zupełnie naturalne i nawet niezbędne.

Hrabina siedziała znużona upałem i zdenerwowana morskiém powietrzem. W fałdach jéj sukni spa-

ła Tamtutka. Dama ubrana była szaro. U jéj stóp skurczona, w kapeluszu Salutystek i dżetowéj peleryncę, siedziała panna Marcela.

Muszką zdaleka odcinała się na szarém tle płótna jasną barwą letniéj sukienki. Był to rodzaj barežu, mieniącego się liliową i złotą nitką. W stanie ściągnięty stanik szeroką białą morową wstążką płynął ku górze w tysiącznych drobnych fałdkach i rozchodził się w olbrzymich rękawach, spadających ku łokciom okrytym skórą niezmiernie długich rękawiczek. Duży kapelusz *Cabriolet* w stylu *Directoire'u* z wielkiemi liliowemi różami, umieszczonemi tuż po nad uszami Muszki, nadawał jéj twarzy cechę niezmiernie artystyczną i stylową.

Siedziała nieruchoma, z oczyma wlepionemi w przesławny *Cosmopolis* Bourget'a, który dla stopnia jéj umysłu był najzupełniéj odpowiednią strawą.

Gdy Wielohradzki zbliżył się ku Dobrojowskim, obie damy, zaczytane w owym episierskim psychologu, drgnęły, a Tamtutka, obudziwszy się zaszczekała, groźnie. Wielohradzki z uśmiechem zdjął kapelusz i przypomniał się hrabinie, która zdawała się spoglądać na niego ze zdziwieniem. Lecz uśmiech jego zlodowaciał na widok nagle ściągniętych brwi Muszki i gniewnego spojrzenia. Zdawała się być zdziwioną i niemile dotkniętą jego przybyciem. Hrabina jednak, jako dobrze wychowana osoba, zaczęła wypytywać Wielohradzkiego: co robi, czy poczynił duże

studya i czy znajduje Concarneau rzeczywiście tak niezwykłem pod względem malowniczego położenia?

Wielohradzki odpowiadał zdławionym głosem, starając się o ile możności odzyskać równowagę, lecz wzrokiem omijał Muszkę, lękając się spotkać z jéj rozgniewaném spojrzeniem. Czuł, iż popełnił znów jakąś niewłaściwość, i rozpacz ścisnęła mu serce. Jakkolwiek nie patrzył teraz na Muszkę, nerwami widział ją wybornie. Siedziała nieruchoma. Przez przyzwoitość położyła książkę, ale oczyma błądziła po morzu, nie biorąc żadnego udziału w rozmowie i zachowując się, jakby Wielohradzki nie był jéj zupełnie znany. Z tą zmarszczką na czole, z ustami zaciętemi, wystrojona, prześliczna, przypominała najzupełniéj tę Muszkę lwowską, która królowała wśród balów lub wiodła orszak ekwipaży na *mail*'u Maleniego.

Nagle powstała i zwróciła się ku pannie Marceli.

— Będę się kąpać! — wyrzekła — niech panna Marcela otworzy kabinę.

I szybkim ruchem złożyła fotel, tak jakby lękała się, ażeby Wielohradzki nie zajął jéj miejsca. Z Bourgetem pod pachą weszła do kabiny i z jakąś nerwowową złością drzwi za sobą zamknęła.

Tymczasem Dobrojowska przeciągała z Wielohradzkim rozmowę. Nie mieli jednak sobie nic do powiedzenia i nić przewodnia rwała się ciągle, plącząc się w kółku prostych komunałów. Nadeszła

chwila, w któréj Wielohradzki czuł, iż musi się oddalić, i że przeciąganie téj rozmowy zaczyna już być natręctwem. Pomimo upału oblewał go chłód, tak wielkie moralne zimno biło od téj kobiety, ubranéj w stalowe, wystygłéj barwy szaty, od jéj twarzy grzecznie z wielkopańska uśmiechniętéj, od jéj oczu, w których teraz dopiéro Wielohradzki dostrzegł zupełne podobieństwo do oczu Muszki w wyrazie, oprawie i mieniącym się prześlicznym szafirze.

Zmrożony, onieśmielony, a mimo to prawie rozpaczliwie natrętny, stał wciąż Tadeusz przed Dobrojowską, nie umiejąc już teraz zręcznie się pożegnać, odejść, przerwać tę niewłaściwą, śmieszną sytuacyę, która go do rozpaczy doprowadzała. Nagle otworzyły się drzwi kabiny i w ciasnym ich otworze pojawiła się Muszka. Była w bluzie flanelowéj, białéj, podbitéj delikatnym różowym jedwabiem. Na nogach miała czarne jedwabne skarpetki i białe *espadrille*, związane gumowemi wstążkami. Na ramiona zarzuciła płaszcz biały, najeżony kilkoma rzędami pelerynek.

Na głowie związała fular purpurowy, mieniący się dziwnie w promieniach słońca. Ukryła pod nim włosy, i oczy jéj w tém obramowaniu krwawém nabierały fatalnego wyrazu. Stała wciąż na progu kabiny z brwiami zmarszczonemi, jakby oczekując na odejście Tadeusza, którego nie chciała spotkać na swéj drodze.

Nareszcie Wielohradzki wzrok ten zrozumiał i, uchyliwszy kapelusza, na bok się usunął. Natychmiast Muszka zeszła ze schodów, a za nią, jak cień czarny, sunęła panna Marcela. Tamtutka, poszczekując, zesunęła się z kolan hrabiny i zaczęła biedz za panną Marcelą.

Wielohradzki, idąc wolno ku drugiéj plaży, śledził wzrokiem oddalającą się ku brzegowi Muszkę. Szła powoli, wyprostowana, rozwiewając fałdy swego płaszcza. Czuła się doskonale piękną i tryumfowała w téj apoteozie ujawnionéj swéj urody, idąc powoli ku falom, które teraz leniwie brzeg oblewały, zielone o złotych pręgach, przeciętych srebrem piany.

Wielohradzki wszedł na skałę dzielącą obie plaże i usiadł, patrząc wciąż na Muszkę, która teraz zatrzymała się, rozmawiając z kilkoma Amerykankami. Dziwacznie wydłużone postaci owych miss, odzianych w czarne lub ciemno-zielone kostiumy, silnie znaczyły się na jasnéj powierzchni piasku. Przez chwilę stały tak ciemne i chude, ukryte pod rondami swych dużych słomianych kapeluszy, mając pośrodku białą smukłą postać Muszki z purpurową plamą fularu, jak kwiat płomienny w słońcu rozkwitającą. I nagle porwały się wszystkie i wbiegły do wody, roztrącając pianę. Olbrzymie srebrne koło otoczyło je.

Znikły w niem i po chwili wypłynęły wśród zieleni i szafiru, kołysząc jedynie skrzydłami kapeluszy

i mając na czele płomienny fular Muszki, czerwieniący się w oddali, jak rubin na tém tle z szafirów i szmaragdów utkanem.

Zaczęły płynąć wszystkie razem ku trampolinie, która wystawała płaskim, żółtym grzbietem daleko od brzegu. W drodze spotkały amerykańskich malarzy, płynących w przeciwną stronę. Dziewczyny minęły mężczyzn i dopadły trampoliny. Jedna po drugiéj wysuwały się z wody i siadały lub stawały na deskach. Sylwetki ich odcinały się w przestrzeni z przedziwną czystością. Słońce zalewało je teraz potokami światła, żłobiąc złociste bruzdy w szumiących falach. I tylko jedyna postać Muszki, biała i różowa, miała w sobie przejrzystość opalu. Kontury jéj rozpływały się w przestrzeni, purpura fularu była już tylko maluchną, migocącą w powietrzu gwiazdeczką.

Wówczas sercem Wielohradzkiego zaczęło szarpać jakieś dziwne przeczucie. Zrozumiał, iż gra w zakryte karty, lecz bał się je odwrócić i sytuacyę wyświetlić. Przypominał sobie intonacyę jéj głosu, gdy powtórzyła za nim „na całe życie“. Była szczera. Lecz dlaczegoż dzisiaj znalazł w niéj tyle opornego gniewu? Kiedy była więc szczerą? dziś, czy wtedy? Odwrócił głowę i spojrzał na drugą „plażę“. Tuż u stóp skały, na któréj siedział, ujrzał całe mrowisko Amerykanek, siedzących przy porozstawianych stalugach. Sam Sanderson, ze swą twarzą morfinomana,

siedział wyprostowany na małém krzesełku i jakieś szkice kreślił. Na samym brzegu unieruchomieni w romantycznych pozach stali trzej mali chłopcy, niby zajęci puszczaniem na wodę drewnianego statku. Fale oblewały ich bose stopy, obdarte berety okrywały głowę. Nieruchomi, jakby nagle zaklęci, przedstawiali wybornie typ „rodzajowego" obrazka.

Amerykanki gorliwie przenosiły na płótno olejne fotografie téj teatralnéj sceny. Sanderson od czasu do czasu wstawał, szedł ku morzu i potwornym akcentem wydawał rozkazy modelom:

— *Vô—plous an arière!...*

Profesor powracał na swoje miejsce, zatrzymując się po drodze przed stalugami téj lub owéj uczennicy. Milcząc, zamieniał z nią kilka gestów. Dziewczyna kiwała głową i znów zapadała cisza.

Wielohradzki powstał i ku trzeciéj „plaży" iść zaczął. Lękał się, aby Muszka go nie dostrzegła i nie posądziła o niedyskrecyę. Czuł, iż ani na krok nie posunął się w zbliżeniu do panny Dobrojowskiéj i że pomimo zamienionych uścisków i kilku słów bardziéj znaczących lęka się jéj tak samo, jak we Lwowie.

Minął trzecią „plażę" i wyszedł teraz na brzeg zupełnie pusty, zawalony kamieniami, pomiędzy któremi szumiały fale, unosząc na sobie całe wstęgi ciemnego *warechu*. Odetchnął, nie widząc stalug i błękitnych bluzek Amerykanek. To bezustanne szarpa-

nie szmatków natury i przenoszenie jéj na kawałki płótna zaczęło go męczyć i wydawać mu się śmieszną pretensyą. Jego estetyka ograniczała się rozróżnianiem oleodruku od akwarelli. Lecz ten bezmiar piękności natury porwał go swą wielkością i przepychem. Zrozumiał bezmiar i bogactwo. Kawałek płótna i trochę farb wydało mu się nędzą śmieszną i pretensyonalną.

Szedł wciąż naprzód, widząc teraz przed sobą całe stosy tych szarych, wielkich łomów, oszlifowanych przez fale i okrytych ciemno-bronzowym płaszczem *warechu*. Po lewéj stronie rozciągała się płaszczyzna morza, migocąca teraz kolorami tęczy, po prawéj — zieleniały łąki, czerniły się świerki, bielały wille. Kilka domów stało zupełnie osamotnionych. Jeden z nich, niewielki, z wieżyczką, podbił duszę Tadeusza. Szczególniéj pociągnęła go wieżyczka.

— Dobrze byłoby tu we dwoje!... — pomyślał, patrząc melancholijnie na zamknięte okiennice. — Domek niewielki, ale bylibyśmy bliżéj jedno drugiego. W wieżyczce urządziłbym sobie *fumoir*....

Pokręcił głową nagle zdjęty galanteryą.

— Nie!... to byłby *boudoir* Muszki... ręczę, iż pozwoliłaby mi palić jednego papierosa po obiedzie... Pilibyśmy tam czarną kawę!...

Przed oczyma jego, jak *fata morgana*, przesunęło się widzenie różowego (koniecznie różowego) buduaru, z nieodłączną skórą białego niedźwiedzia na

podłodze i szafką, w któréj stałyby saskie i sewrskie figurki. I tam, on, koło Muszki, pijący kawę z malutkiej filiżaneczki i strząsający popiół z papierosa piątym palcem, tak, jak to robił Malewicz w chwilach ataku wyższéj kokieteryi...

Marzenia te uniosły go. Szedł daléj, ciągle wykręcając głowę w stronę willi, z któréj balkonu powiewała karta „*à vendre ou à louer*".

— Nie opłaci się wynajmować... — myślał Wielohradzki — lepiéj kupić. Ciekawy jestem, co też to może kosztować? Dwadzieścia, trzydzieści tysięcy franków...

Nagle coś mu pod stopami zapiszczało. Cofnął się przerażony.

Z kamienia podniosła się murzynka, owinięta purpurową draperyą.

— *Moà pose?*... — wymówiła, jakby tłómacząc swą obecność i dziwaczną, skurczoną pozę, jaką natychmiast znów przybrała.

Wielohradzki obejrzał się, lecz nigdzie nie dostrzegł stalug. Natomiast tu i owdzie na kamieniach ujrzał siedzących nieruchomo francuskich malarzy zaopatrzonych w skurczoną na grzbiecie kamienia murzynkę. Zdaleka wydawała się jak potworny głowonóg, o czarnych, chudych ramionach. Przysiadła skurczona z promieniami swych nóg i rąk, rozciągniętych pośród gąszczu *wareċhu*, miała w sobie

fatalną grozę jakiegoś potworu dziwacznego, czającego się na upatrzoną ofiarę.

Tadeusz, zmieszany tém spotkaniem, cofnął się i mimowoli ku owéj willi z wieżyczką iść zaczął. Doszedłszy do kraty, stanął i pozostał tak nieruchomy, wpatrując się w ową kartę uczepioną o kraty balkonu, kartę, którą wiatr na obie strony kołysał.

I z uporem maniaka ciągle czytał:

— *A vendre ou à louer.*

X.

List Tadeusza do matki.

„Mateczko najdroższa i najukochańsza!

„Parę słówek tylko piszę — naprędce. Jestem bowiem niezmiernie zajęty. I niech Mamuś zgadnie czem? Wymyślaniem nowych figur do kotyliona!!!! Prowadzić bowiem będę tańce na balu, który amerykańska kolonia wydaje tu dzisiaj. Zwrócono się do mnie z prośbą o zaaranżowanie kotyliona. Nie wiem, zkąd dowiedzieli się o téj mojéj specyalności. *Enfin*, tak nalegali, że musiałem przyjąć, tém bardziéj, iż widziałem, że Muszka sobie tego życzy. Mam wiele kłopotu, gdyż pojmuje mateczka, iż tu niema żadnych przyborów, a zamało jest czasu, aby je z Paryża sprowadzać. Panienki więc same zajęły się fabrykowaniem orderów, bukietów, szarf, a ja tymczasem suszę sobie głowę, starając się coś z tych domowych fabrykatów ułożyć. Co zaś do saméj pani Dobro-

jowskiéj, to tak, jak Mameczka kazała, zbliżyłem się i zostałem niezmiernie życzliwie przyjęty. Niech się Mameczka nie niepokoi. Wszystko będzie dobrze. Z ostatniego listu widzę, iż Mama trochę straciła na humorze. Czy czasem Matuchna nie zadużo pracuje? Ja utyłem trochę, bo kuchnia wyborna i powietrze morskie świetne, dodaje apetytu. Frak mój nawet jest trochę ciasny. Droga Matusiu, zbliża się już termin mego wyjazdu. Za cztery dni, to jest w chwili otrzymania mego listu, wyślij mi umówioną depeszę. Przypominam Ci tekst:

— *Revenez immédiatement, affaires urgentes, moi malade.* W ten sposób znajdę usprawiedliwienie z mego nagłego wyjazdu przed Muszką. Mogłaby żądać, abym pozostał, a Mamcia wie, że Tadzio nie ma już wiele pieniędzy i tylko tyle, co na drogę. Całuję rączki drogiéj Matusi, czekam depeszy i sercu Mamci się polecam

najprzywiązańszy syn
Tadzio."

Napisawszy ten list, Wielohradzki zaniósł go na pocztę i powrócił czemprędzéj do swego pokoju, gdzie spędził całe popołudnie na kreśleniu kółek, kresek i liczb, stanowiących kombinacye kotylionowe. Widocznie za inicyatywą Muszki, jeden z amerykańskich malarzy zbliżył się do niego po śniadaniu i, przedstawiwszy się, w bardzo gładki sposób prośbę

swoją wypowiedział. Próżność Tadeusza mile pogłaskana została. Ci Amerykanie imponowali mu niezmiernie swą wykrochmaloną poprawnością. Przyjął zaproszenie skwapliwie, zdziwił się jednak, gdy Amerykanin, z zupełnie seryo miną, zapowiedział mu, że ów bal będzie kostiumowy i że wszyscy biorący w nim udział, tak mężczyzni jak kobiety, przebrani będą za małe dzieci.

— *Petits garçons... petites filles*!...

— A!... — zdziwił się Tadeusz.

Spotkawszy na ulicy Muszkę, idącą w stronę kabiny z panną Marcelą, chciał przejść obok, lękając się popełnienia nowéj niedyskrecyi, lecz panna Dobrojowska, roześmiana, wesoła i prześliczna w swéj różowéj batystowéj budce i muślinowéj białéj sukni, wyciągnęła do niego rękę, wabiąc go gestem i głosem. Wielohradzki podbiegł uszczęśliwiony. Panna Marcela dyskretnie usunęła się na bok. Zaraz zaczęli mówić o projektowanym balu i o kostiumach dziecinnych, zaakceptowanych jednomyślnie przez klan Amerykanek. Lecz Muszka wzruszyła ramionami, oświadczając, iż za nic nie włoży fartuszka małéj dziewczynki, lecz przyjdzie w tualecie spacerowéj. To samo postanowił Tadeusz, któremu tytuł *conducteur de cotillon* nadawał pewne prawo zachowania balowego stroju dorosłego mężczyzny.

I weseli, nagle rozradowani, szli obok siebie, radzi z życia i doskonałości swego zdrowia i urody, kąpiąc

się literalnie w sympatycznych prądach, jakie ich otaczały. Zaglądali przez balustradę w morze i zachwycali się tajemniczą krepą siatek, które wiatr rozwiewał jak szaty almei tańczącéj wśród fal.

Minęli port i wydostali się na gościniec, po którym krzyżowały się niezliczone ścieżki. Zagłębili się w jedną z nich, całą zieloną od gałęzi drzew, rosnących po za liniami murów. I nagle wzrok ich doznał olśnienia. Pomiędzy tą ciemną zielenią wznosiły się wały lśniącego srebra i miedzi złotéj, pełnéj kolorowych iskier.

Promienie słońca wpadały przez otwory gałęzi i migotały wśród tych skarbów, które zdawały się wylewać kaskadami i z ponad murów, aż na środek ścieżki, pomiędzy mchami srebrzyć się, złocić i czerwienią miedzi połyskać.

Były to okrawki pudełek od sardynek, które mieszkańcy spożytkowywali, tworząc z nich kolczaste i bezpieczne ogrodzenia. Lecz w tym półcieniu, w tych migotliwych blaskach przekradającego się słońca, były to skarby Golkondy, rzucone pod stopy przechodniów z hojnością jakiegoś mistycznego bogacza. Tworzyły on wały fantastycznych bogactw, całe kopalnie nagle odkryte i na światło dzienne w doskonałéj już formie wyprowadzone. Wśród zieleni złoto i srebro szalało migocącemi i ciągnącemi się blaski.

Muszka wyciągnęła obie ręce, porwana nagle urokiem tego przepychu.

— Jakie to ładne!.. zdaje mi się, że wchodzimy do jakiegoś Sezamu!.. Przypomina mi się Ali-Baba i czterdziestu rozbójników...

Wielohradzki westchnął.

— Ach... gdyby ta blacha była szczerém złotem — wyszeptał.

Muszka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Chciałbyś pan być nababem? — spytała.

On odparł z wielką szczerością:

— Chciałbym...

Dziewczyna ramionami wzruszyła.

— Czy sądzisz pan, że to dodałoby ci uroku? — zawołała. — Nabab to w obecnym składzie społeczeństwa istota bardzo banalna, pospolita i zwykle niezajmująca... Przynajmniéj ja tak sądzę...

Wielohradzki gorączkowo chwycił się tego tematu rozmowy, który zdawał mu się rozświetlać całą sytuacyę.

— Byłem pewny— zaczął zdławionym głosem— iż pani, tak jak zresztą wiele kobiet wychowanych w dostatkach i zbytku, ceni ów zbytek... i owe dostatki...

Muszka szła ciągle naprzód ostrożnie, zgarniając swe szeroko rozpościerające się białe muśliny i ochraniając je od rozdarcia o kolce blachy.

— Zapewne — odparła już poważniéj i nagle zesztywniała moralnie—cenię dobrobyt, tak, jak cenię własną istotę, do któréj się przyzwyczaiłam. Są je-

jednak chwile i uczucia, które z owemi „dostatkami", jak je pan nazywasz, nie mają nic wspólnego...

Tadeusz zbliżył się ku niéj i widząc, iż ona nietylko nie przyśpiesza kroku, ale raczéj zwalnia szybkość swego chodu, pochylił się znów nad jéj ramieniem.

— A więc ja?.. — zapytał.

— Pan?.. należysz do tych osób, których pozycya materyalna jest dla mnie najzupełniéj obojętna... nie troszczę się o nią... nie pragnę nawet wiedzieć nic w tym względzie... Pan istniejesz dla mnie sam, sam — bez otoczenia, bez warunków życiowych...

I powoli, przysłaniając powieki, dodała:

— Pan jesteś moim snem!..

Tadeuszowi nagle zaczęły drżeć wargi.

— Dlaczego... snem? — zapytał — niech będę rzeczywistością...

Ona zwróciła ku niemu swą piękną twarz i nagle Tadeusz ujrzał przed sobą jéj oczy powleczone jakąś mgłą wilgotną.

— Rzeczywistością senną... — wyrzekła powoli, jakby namyślając się, jakim nic nie znaczącym wyrazem zakończyć harmonijny akord téj przedmiłosnéj strofy.

Przed nimi wił się wciąż ów wąwóz pod sklepieniem drzew, tajemniczy i nieskończony. Amarantowe kiście *digitalu* kwitły całemi pękami w rozpadlinach murów; kamienie, obrosłe szmaragdowym mchem,

mieniły się od plam słonecznych, a kaskady blach zamieniały się teraz w istne potoki srebra i złota, zalewając chwilami ścieżkę i tamując drogę.

Zdaleka słychać było szmer kroków panny Marceli i szelest jéj sukni.

Muszka odwróciła się, widocznie zdenerwowana obecnością panny służącéj.

— Panno Marcelo! — zawołała nawpół rozkazująco, nawpół z uśmiechem — ja i pan Wielohradzki pójdziemy do fermy w Croine napić się mléka... Niech panna Marcela tu na nas zaczeka... Panna Marcela mléka nie lubi!

Jak maryonetka nagle nakręcona, przysiadła panna Marcela na płaskim kamieniu i, podparłszy głowę, spokojnie czekać zaczęła.

Tymczasem Muszka i Wielohradzki zaczęli iść szybko, biedz prawie. Twarz hrabianki pokryła się rozkosznemi dołkami, tak roześmiana była cała jéj istota, przejęta nagle rozkoszą wesołości dziewczęcéj. Tadeusz, porwany, rozkochany, uszczęśliwiony, biegł za nią wśród palm paproci, kiści *digitalu* i srebrnych kaskad blachy. W swéj białéj sukni, delikatnéj i przejrzystéj, po któréj ślizgały się promienie słońca, wysmukła, z aureolą różowéj jutrzenki kapelusza dokoła głowy, zdawała się zjawiskiem delikatném, z woni i barwy róży złożoném.

Biegnąc, wyciągnęła przed siebie ręce i płynęła wśród téj jasności, pod baldachimem liści, które, jak

spękane, stare szyby kościelne, zielony czarodziejski blask na nią rzucały.

Tadeusz szedł za nią i nagle uczuł w głowie zamęt, jakiś chaos, jakby opuszczała go wola, pamięć, sumienie. Biała postać majacząca przed nim hypnotyzowała go i on, zwykle przebywający w ciasnéj przestrzeni wrażeń, przeraził się nieledwie tém nagłém wstrząśnieniem, jakiego doznawać zaczął.

— Gdzie my idziemy? — zawołał nagle, a głos jego zabrzmiał tonem trwogi.

Muszka stanęła, i tonąc cała w paprociach i kępie liliowych dzwonków, odparła:

— I po co to pytać? po co to chcieć koniecznie wiedzieć, gdzie nas życie poprowadzi.. oczy zamknąć i... czekać...

I uśmiechając się dodała:

— Wieczna ciekawość nieznanego!... *fièvre de l'Inconnu!...* a przecież to nieznane... zakryte .. to cały urok życia!...

Podniosła w górę ręce, założyła je za głowę i pod rzęsami zabłysły dziwnie jasno i miłośnie szafiry jéj oczu...

— Urok życia!... — powtórzyła, patrząc prosto w twarz Tadeusza.

On rzucił się ku niéj i nagle zuchwały, niemal brutalny, porwał ją w objęcia.

— Muszko!... — wyszeptał, nie śmiejąc całować

jéj ust, które uśmiechnięte miał tuż przed swojemi ustami.

Ona wciąż patrzyła na niego z pod przysłoniętych rzęs; z wpół otwartych warg migotały teraz perły zębów białych, jak u młodéj wilczycy.

Tonęli teraz w jasności, woni, blasku — w tęczy barw migocących koronami kwiatów.

Tadeusz w téj chwili nie liczył, nie kombinował: widział tylko przed sobą ukochaną i pożądaną kobietę. I cicho, namiętnie, z po za zaciśniętych zębów zapytał:

— Ty moja?... prawda?... moja?...

Jéj oczy pociemniały i zęby zacięły się, tak jak u niego, jakimś nerwowym, spazmatycznym wysiłkiem. Milczała, powoli tracąc dziewczęcy wdzięk i przybierając nagle maskę dojrzałéj kobiety.

— Odpowiedz!... — szeptał mężczyzna.

— Przyszłość odpowié!.. — rzuciła nagle i, wyślizgnąwszy się z objęć Wielohradzkiego, znów naprzód biedz zaczęła.

. . . . . .

W ciemnéj chacie o rzeźbionych belkach migotał na wielkim kominie ogień, trawiący nędzne brzozowe gałęzie.

Na pniaku drzewa, prawie dotykając sabotami ognia, siedział stary breton i, paląc fajkę, pluł w popiół.

Niedaleko, w kołysce, rzeźbami ozdobionej, leżało doroczne dziecko, poważne, spokojne, z twarzą dorosłego mężczyzny, bladą i nalaną. Dwie czarne źrenice utkwiło w świecące gwoździe, któremi meble nabijane były, i zdawało się pogrążone w ekstazie mistycznéj — dziwaczne i chorobliwe w swym aksamitnym, złotem haftowanym czepku.

Wielohradzki i Muszka usiedli za stołem, czekając na mleko, które czarno odziana chłopka wielką drewnianą łyżką z misy przelewała w małe miseczki. Cała gromada milczących i chmurnych dzieci, zbita w kącie w jedną massę błękitnego sukna, purpurowych czepków, sabotów i zasmolonych twarzy, śledziła z pod oka tę pannę biało ubraną, strojną i elegancką, któréj obecność napełniała ciemnię izby jakaś chorobliwą i niepokojącą dysharmonią. Pończochy Wielohradzkiego, pończochy wiedeńskie, dość pstre, dalekie od wykwintnéj harmonii angielskich wełn, drażniły także te chłopskie umysły. Lecz zdziwienie kryły dzieci w sobie, ciągle poważne, zamyślone i smutne, z twarzami zestarzałemi przedwcześnie, w ciemni izby obstawionéj dokoła artystycznie rzeźbionemi meblami.

Czuć tu było nędzę piękną, szamocącą się ze szpetotą, panującą wszechwładnie, przechowującą zazdrośnie artyzm codziennych sprzętów z poetyczną skrzętnością Japończyków.

Łóżka, szafy, komin, ławy, łyżki, zawieszone

u stropu w rodzaju drewnianego pudełka; deska, na któréj leżały czarne bochenki chleba, — wszystko to miało w sobie linie i zarysy przechowane z Wieków Średnich, z lekką domieszką gotyku w ornamentacyach, lecz w całości zachowujące harmonię stal, czerniących się w półzmroku starych, rozpadających się w gruzy bretońskich kościołów.

Wielohradzki i Muszka, przedzieleni wązką deską stołu, siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu, i tylko oczy ich spotykały się co chwila, migocąc jak fajerwerki.

Hrabianka zdjęła z głowy „kapotkę" i oparła się plecami o ciemno-brunatne tło ściany. Włosy jéj były prawie téj saméj barwy, co deski, lecz promienie słońca, wpadające ukośnie przez drobne szybki jedynego okna, zapalały w kręconych kędziorach aureole złotawych iskierek.

Wzrok jéj wciąż wpadał w źrenice Tadeusza i uciekał szybko jakby spłoszony. Dodawało jéj to uroku. Był to fałsz z pozorami eleganckiéj naiwności, przewrotność wszystko wiedzącéj dziewczyny, złagodzona wdziękiem trwożącego się podlotka.

We drzwiach chaty zaciemniło się nagle. Ciężko wlokąc pokrzywione nogi, wszedł Jagoury z fajką w ustach. Odziany w swe poszarpane ubranie poławiacza sardynek, miał wygląd żebraka. Lecz beret granatowy z fantazyą spadł mu na ucho olbrzymie, włosem obrosłe. Poszedł wprost do komina i nachy-

lił się nad ogniskiem. Szczypcami drucianemi wyjął żarzący się węgielek i, pykając głośno, fajkę gasnącą rozniecać zaczął.

I nagle parsknął śmiechem brutalnym, hałaśliwym.

Stary breton, siedzący koło komina, nie poruszył się nawet, nie spytał Jagourego o przyczynę téj wesołości. Bretonka, nalewająca mléko, podeszła do stołu i postawiła dwie miseczki purpurowe, dziwacznie malowane, przed Muszką i Tadeuszem.

— *Bara?* — zapytała.

I nie czekając na odpowiedź, zdjęła z deski olbrzymi bochen czarnego chleba i położyła go na stole.

Tymczasem Jagoury zbliżył się także do stołu i w zczerniałych rękach kruszyć zaczął kawał hreczanego naleśnika.

Śmiał się ciągle, pluł w ogień i kiwał głową.

Okruchy zgarnął i wszystko razem wtłoczył w rodzaj dziury, których było kilka na powierzchni stołu.

Bretonka wlała mu w ten otwór trochę mléka i zamieszała tę zupę palcem. Jagoury odłożył fajkę i usiadł na ławie.

— *Permettez?*—zapytał Muszki, uchylając beretu.

Panna Dobrojowska skinęła głową. Przyglądała sie ciekawie téj olbrzymiéj ludzkiej maszynie, którą morze pokryło czarną rdzą, a jod *warechu* pokostował rudą barwą. Jagoury zdawał się jakimś starym

rybakiem, zbiegłym ze sceny teatralnéj. Jadł powoli, zanurzając łyżkę w otwór stołu, zastępujący mu głębokie talerze i wszelkiego rodzaju cywilizacyjne nakrycia.

I nagle, z ustami pełnemi mleka i okruchów naleśnika, mówić zaczął, mieszając czystą francuszczyznę z żargonem bretońskim.

— Wyborna farsa!... ci panowie z obserwatoryum... tam... po za miastem, prawie koło stacyi kolei... gdzie to uczeni z całego świata schodzą się obserwować i krajać biedne bydlątka morskie... znów popełnili wielkie głupstwo... Od kilku lat chcieli wykluć jajka homarów... Dręczyli się męczyli, urządzali akwarya... dyabli wiedzą nie co... i nic!... Homary nie chciały się wykluć. Aż po wielu, wielu pracach, badaniach, naukach, kombinacyach... odkryli, że... że...

Tu szeroka dłoń Jagourego zaczęła migać w powietrzu. Stary wilk morski machał rękami i znów zanosił się od śmiechu.

Wielka cisza panowała w izbie. Dzieci stały w kącie jak skamieniałe, a bretonka usiadła przy kołysce z rękoma splecionemi na fartuchu, w postawie istoty, przywykłéj do ciągłego próżnownia.

Tylko przeciągły śmiech Jagourego huczał po chacie i rozbijał się jak fala o kanty rzeźbionych mebli.

— Odkryli, że... ciągnął daléj majtek — że... ho-

mary wykluwają się jedynie w wodzie, będącéj w bezustannym ruchu!... Oto co znaleźli! I radzi, jakby złoto nauczyli się fabrykować, zawołali mnie i mówią mi: — Piotrze Jagoury, jakie to my odkrycie zrobili! Wiemy, że jajka homarów muszą do wyklucia znajdować się w wirującéj wodzie... A ja parsknąłem śmiechem i mówię: było téż czego trzy lata sobie głowę suszyć... A toć każdy bęben wié w Concarneau, że homary potrzebują do wyklucia ruszającéj się wody...

I znów śmiał się długo i przeciągle, trawiony wciąż nienawiścią do tych „cywilizowanych", z których pieniędzy żył, a którzy spadli na jego port rodzinny ze swemi stalugami, kabinami, regatami, pudełkami farb, czerwonemi parasolami, namiotami, obserwatoryami, kalając mu to morze, które teraz już należało do wszystkich, jak ulicznica, zamiast miéć jedynie dla swoich łaskawe przyjęcie, na wzór wstydliwéj i strzegącéj swego ogniska małżonki. Skrzętnie notował wszystkie śmieszności i błędy popełniane przez owych „cywilizowanych", których ochrzcił mianem ogólném „*étrangers*". Myśl, iż kilku uczonych tam, po za białemi murami państwowego obserwatoryum trzy lata dręczyło się nad odkryciem tego, co wiedziały od wieków dzieci dźwigające się od ziemi i kołyszące się na dnie barek na srebrnych stertach sardynek, wprowadziła Jagourego w rozkoszną nerwową wesołość. Od rana opowiadał tę „dobrą farsę"

wszystkim, kogo napotkał na swéj drodze. Teraz umyślnie usiadł przy stole, aby śmiechem swoim upokorzyć tych dwoje wystrojonych, którzy włóczyli się po chatach po to, aby przyglądać się nędzy.

I nagle Jagoury porwał się od stołu i, wsadziwszy w kieszeń swą wygasłą fajkę, powlókł się ku drzwiom, nie skinąwszy nikomu głową.

Starzec siedzący przy ognisku nie ruszył się nawet, to samo i młoda kobieta nieruchoma, z twarzą pożółkłego Sfinksa. I tylko dziecko w kołysce zwróciło teraz swe wielkie, smutne, marzące oczy na czoło Muszki i pozostało tak wpatrzone w aureolę włosów hrabianki, aureolę płonącą całą od iskier zachodzącego słońca.

Tadeusz patrzył wciąż na Muszkę i napawał się szczególną dystynkcyą i harmonią jéj ruchów.

Ręce jéj, długie i szczupłe, wiły się prerafaelitycznemi gestami w przestrzeni. Mała główka, osadzona na wązkiéj i białéj szyi, miała chwilami w sobie jakiś chorobliwy wdzięk sentymentalno-zmysłowych heroin Balzaka. Od czasu do czasu Muszka podnosiła do ust purpurową czarkę i piła mléko z łakomstwem dużéj, gibkiéj, rudéj kotki. W tém otoczeniu artystycznéj nędzy piękność jéj występowała z podwójną siłą. Zdawała się wonném cieplarnianym kwiatem, purpurowym Hibiscusem o delikatnym kielichu, wrzuconym w smutną ciemnię średniowiecznéj komnaty.

Nagle przed oczyma Tadeusza pojawiła się inna postać trywialna: zgarbiona, w jersey'u czerwonego stanika, jedząca brzydko śliwki i wypluwająca w garść szorstkiéj ręki pestki. Często widywał Tecię jedzącą i nigdy nie zastanowił się nad różnicą rasowych przyzwyczajeń. Skrzywił się i potrząsnął głową, jakby chcąc spłoszyć natrętne widziadło. Kształtna, wązka ręka Muszki, opięta w żółtą duńską rękawiczkę, spoczęła delikatnie na blacie stołu.

Bez namysłu Wielohradzki pochwycił ją w swą drżącą rękę. Przez chwilę te obie ręce złączone zarysowały się w promieniu słońca, bijącém przez okno.

Bretonka, siedząca przy kołysce, podniosła się z ziemi, i klekocąc sabotami, zbliżyła się do stołu.

Zaczęła zbierać miseczki i łyżki, sięgnęła po chleb i nagle uśmiechnęła się, widząc tych dwoje młodych, zapominających o reszcie świata wśród wąwozu okiennéj framugi.

— *Mari et femme?...* — zapytała, pokazując dwa rzędy zczerniałych zębów.

Ręka Muszki cofnęła się szybko, jak mała pantera, powracająca do swego legowiska.

— *Non!... non!...* — zawołała i wybuchnęła dziwnym, przeciągłym śmiechem. — Och!... — śmiała się, nakładając kapelusz.

— Ta kobieta wzięła nas za małżeństwo... Co za dobra farsa!... jak mówił Jagoury...

Wielohradzki uśmiechnął się z przymusem. Miał ochotę zawołać: — Cóż w tém dziwnego!... lecz nie śmiał. Czuł, iż znów stoi nad przepaścią i że jedném słowem może rozświetlić całą sytuacyę.

Cofnął się jednak przerażony.

Zaczął szukać pieniędzy w kieszonkach kamizelki, i znalazł tylko dwie dziesięciofrankówki.

Uniesiony hojnością podróżujących po za granicami kraju Polaków, rzucił na stół ową złotą monetę.

Bretonka zafrasowała się.

— Nie mam pieniędzy... nie mogę zdać reszty.

Lecz on banalnym giestem fałszywego wielkiego pana wskazał ręką na stół.

— *Gardez tout ça!* — wyrzekł, zmierzając ku Muszce, która nagle spoważniała, zatrzymała się przy kołysce dziecka i uważnie w twarz malca patrzyła.

— Idziemy? — spytał Wielohradzki.

— Tak.

Zbierając fałdy sukni, wysunęła się Muszka z chaty.

Stojąc na dziedzińcu, na którym suszyły się sterty paproci, zwróciła się ku Wielohradzkiemu z widocznym niesmakiem w wyrazie twarzy.

— Dałeś jéj pan dziesięć franków? — spytała — po co? Pięćdziesiąt centymów było aż nadto dobrą zapłatą. Po co psuć takich ludzi!

Lecz on szybko zbliżył się ku niéj i porwał ją za rękę.

— Moja żona! — wymówił cichym, namiętnym głosem.

Muszka znów śmiać się zaczęła.

— Tak, tak! a ty... mój mąż!...

I wziąwszy się pod ręce, iść szybko zaczęli ku gardzieli wąwozu, w którym oczekiwały na nich kaskady srebra, złota, jasność plam słonecznych, szmaragdy mchów i bluszczu, amarant digitalu, fiolet dzwonków i... blaszana grzywa panny Marceli, téj panny Marceli, która, według słów Muszki, nie lubiła mleka

. . . . . .

Pracownia wspólna amerykańskich malarzy mieściła się w jednym z domów, stojących tuż po nad balustradą portu.

Pracownia była duża i pusta. Jedynie ściany pobielone zarysowane były czarnemi plamami karykatur.

Pomimo wielkiéj ilości świec, oprawnych w różnorodnego pochodzenia świeczniki i lichtarze, w pracowni téj panował smutny półzmrok—żółty, chorobliwy, opadający od sufitu jakimś welonem szarego popiołu.

Szerokie okno, wychodzące na port, przysłonięte było całe czarną płachtą wełnianą. I kir ten jeszcze smutniejszy nadawał wygląd owéj sali, w któréj odbywał się ów „bal" kolonii amerykańskiéj, bawiącéj w Concarneau.

W kątach majaczyły zwalone stalugi, blejtramy, pudełka, pędzle, szczotki, zwoje płótna, pozaczynane szkice i paki potrzaskane, na których czerniły się jeszcze cyfry kolejowe.

Jedno pudełko płaskie, wypełnione trocinami, w których kryła się cała tęcza pasteli, leżało otwarte na podłodze, tuż prawie pod nogami tańczących gości. Około okna, na brudnym stole, zakreślonym mozaiką farb, stała duża waza, a dokoła niéj szklanki.

Na ziemi, pod stołem i wzdłuż okna rzędy wypróżnionych butelek, a na krześle błękitna torba, w któréj czerwieniły i żółciły się pomarańcze i cytryny.

Na środku pracowni kręciło się kilka par przy dźwiękach rozklekotanego pianina, w które walił z całéj siły jeden z malarzy amerykańskich. Reszta towarzystwa skupiała się przeważnie dokoła stołu, wazy i szklanek. *Miss'y* podchodziły śmiało, chwytały łyżkę wazową i wypełniały szklanki ciemnym napojem, utworzonym z mieszaniny rumu, gin'u, whisky, koniaku, szampana, wina czerwonego i białego, rozmaitego gatunku, kirschu, cytryn, pomarańcz, korzeni i rozmaitych innych ingredyencyj.

Panienki odważnie i śmiało połykały szklankę za szklanką tego piekącego napoju. Żółta ich cera nabierała dziwacznych liliowych blasków. Małe oczki świeciły się, żółte zęby migały. Mężczyźni pili także, lecz stosunkowo mniéj, niż panny. Atmosfera ponczowego

flirtu wypełniała pracownię. Rozklekotane pianino skrzeczało wciąż z jakąś bzikowatą zaciętością. Jeden z Amerykanów porwał świecę z lichtarza, i zgasiwszy ją, zaczął kruszyć stearynę, rozsypując ją po podłodze. Lekkie „oach!" dały się słyszéć tu i owdzie. Eteryczne *miss* ślizgały się po tych stearynowych okruchach. Lecz szybko owe wykrzykniki przemieniały się w lichy chichot jakby rozbawionych puszczyków. I znów rozklekotany głos pianina górował, dominując nawet nad szczękiem chochli skrobiącéj dno wypróżnionéj szybko wazy. Teraz zaczynały pukać korki i z nowo otwartych butelek lały się całe kaskady płynów do wnętrza wazy. Jedna z *miss* krajała cytryny, druga pomarańcze. Spiczaste ich łokcie, z których zsuwały się zbyt szerokie cholewy rękawiczek, migotały białawemi punktami na ciemném tle firanki. Wielohradzki, siedzący obok Muszki, zwrócił jéj uwagę na ten fatalny kant nazbyt obnażonych ramion. Hrabianka uśmiechnęła się i, nagle rozsunąwszy tęczowy wachlarz, zasłoniła nim siebie i Wielohradzkiego. Znikli oboje po za tym parawanem z jedwabnéj gazy, po któréj wiły się arabeski srebrnych gwiazdek. I zaczęli śmiać się oboje serdecznie, wesoło, z jakąś pustotą dziecięcą. Ten „bal" był dla nich wyborną komedyą, na któréj występowali w roli widzów.

Przez rzeźbę rączki wachlarza, zbliżywszy swe głowy, patrzyli...

Przed nimi, w pół-ciemném, leniwém świetle skakało kilka par dorosłych, a nawet przerosłych ludzi, odzianych w dziecinne, krótkie sukienki. Kobiety miały spódniczki sięgające kolan, fartuszki z szeleczkami lub zupełnie okrywające sukienki, nędzne włosy, spomadowane i splecione w cieniuchne warkoczyki, na ramionach bransoletki koralowe. Niektóre miały włosy rozpuszczone i spięte grzebyczkiem, jedna zaś, trzydziestoletnia kobieta, płaska, chuda, z czerwonym nosem, włożyła na głowę biały haftowany czepeczek i potrząsała trzymaną w ręku grzechotką. Mężczyźni ubrani byli, jedni w sukienki i fartuszki, inni w majteczki krótkie do kolan, skarpetki i bluzki. Dwóch miało duże śliniaki pod brodą, na których zwieszały się kółka kościane, takie, jakie daje się niemowlętom w chwili wyrzynania się ząbków. Duże krézy obejmowały ich twarze białém kołem, uwidoczniając spaloną cerę, zmarszczki i od tytuniu pożółkłe zęby. Sam Sanderson spacerował z tornistrem na plecach i z długą kantówką w ręce. Na głowę wcisnął *bourelet* trzcinowy, rodzaj wypchanego wałka, który chroni czaszki dzieci chłopów francuskich od rozbicia w razie wypadku, i wpół senny, ze szklanemi oczyma starego morfinomana, kręcił się wśród tańczących w długiéj białéj sukience, przewiązanéj w pasie kawałkiem błękitnéj gazy.

Pomiędzy temi potwornemi dziećmi, o szyjach pomarszczonych i czarnych, policzkach obwisłych,

ustach pożółkłych, oczach podsiniałych, skaczących jak frygi na stopach płaskich, olbrzymich, odzianych w pantofle z kokardami, krążyła najmłodsza i najładniejsza z Amerykanek, przebrana w klasyczną liberyę mamek francuskich.

Wielki czepiec z wstążek purpurowych czerwieniał na jéj głowie. Suknia, z płótna w kratki czerwone i białe, takaż wielka rotunda i duży biały fartuch — dopełniały stroju. Owa mamka biegała na prawo i lewo, karciła, biła po łapach, stawiała do kąta i obcierała nosy. Wszyscy bowiem grali komedyę i zastosowywali postępowanie swe do stroju, jaki przywdzieli. Te wysokie płaskie kobiety, ci mężczyźni o rybiém spojrzeniu bezkrwistych *gentlemanów* zachowywali się tak, jak horda rozpuszczonych i źle wychowanych dzieciaków. Piszczeli, skrzeczeli, bili się, popychali, wydzierali sobie zabawki i szklanki z ponczem. Mamka wpadała nagle pomiędzy „niegrzeczną" grupę i rozdzielała klapsy. Lecz była zajęta głównie flirtem z Sandersonem. W przystępie romantycznego uniesienia poklepawszy go po brodzie, zaprowadziła do kąta i postawiła twarzą do muru. Stary morfinoman szedł, wyprawiając grymasy rozkapryszonego dziecka. I nagle stanął w kącie, kopiąc tylko od czasu do czasu przechodzących, którzy oddawali mu te kopnięcia z procentem.

Muszka i Wielohradzki patrzyli na tę długą, białą postać mistrza, przylepioną do muru i od czasu do

czasu poruszającą się, jakby za pociśnięciem sprężyny. Obok niego *miss* w czepku i *gentelman* w śliniaku, zamieniając flirtujące spojrzenia, wychylali szklanki gorącego grogu.

Dwie *missy* w fartuszkach, z trochą niezdecydowanéj barwy włosów, związanych błękitnemi kokardami, biło się rozkosznie o tekturową lalkę, odebraną innéj *miss*. Jakaś panienka, odziana w sukienkę *Kate Greenvay*, z mitynkami i olbrzymią budką muślinową, piastowała gutaperkowego kota, nie zaniedbując prowadzić nader ożywionego flirtu z wysokim i chudym mężczyzną w paskowanéj bluzce i słomianym kapelusiku.

Jakaś dziwna aberracya umysłowa, razem z przewrotnością, właściwą wpadającym w stan zdziecinnienia waryatom, zdawała się panować tu wszechwładnie. Te skoki, piski, klapsy, nagie łydki i kolana, olbrzymie fartuchy, hafty krótkich spódniczek, świstawki, bębenki, kółka do wyrzynania się zębów, cienkie warkoczyki, krézy, bakenbardy, czerwone nosy, żółte zęby—wszystko to razem tworzyło fatalne wrażenie domu obłąkanych, spędzonych razem w karnawałowéj chwili, dotkniętych jedną i tą samą manją, cofających się w swym rozwoju ku mrocznéj ciemni, z któréj pracą lat całych wydobyci zostali.

— Czy zna pan operetkę „Donnę Juanitę"? — spytała Muszka Wielohradzkiego.

— Znam.

— Pamięta pan w ostatnim akcie święto Jamaiki? Wszyscy aktorzy przebierają się za dzieci. Stary Pambillo flirtuje z Rogerem, przebranym za dziewczynkę. Nazywają się: Pampusiek i Nitećka .. Ci wszyscy ludzie robią na mnie wrażenie takich Pampuśków i Niteciek. *N'est-ce-pas?*

Wielohradzki potwierdził i patrzył z zachwytem na tę śliczną dziewczynę, tak artystycznie piękną, w porównaniu ze szpetotą, jaka otaczała ją dokoła. W dziwacznéj gazowéj sukni, mieniącéj się, jak tęcza, od gorącego szafiru, oranżu, purpury, szmaragdu aż do bladych tonów topazu i opali, zdawała się jakiémś czarodziejskiém zjawiskiem, zabłąkaném w krainę wiedźm i potworów. We włosach jéj migotała gwiazda brylantowa, kryjąca się do połowy w tym kasku tryumfatorki, który lśniącemi karbami wznosił się wysoko nad jéj nizkiém i kształtném czołem. Siedziała wpół leżąc, na płóciennym fotelu, na który narzuciła swą wielką pluszową szafirową rotundę. Na tle téj ciemnéj, chłonącéj światło tkaniny uwidoczniała się jeszcze więcéj jéj smukła kibić, długi stan — jak doskonale piękny kwiat natury, rozkwitający niespodzianie tęczowemi barwy wśród półmroku nocy letniéj.

Nikogo ze „starszych" osób nie było na tym balu. Owa wolność panieńska Amerykanek usuwała wszelkie „przyzwoitki", drzemiące pod ścianami podczas zebrań europejskich. Hrabina Dobrojowska także

pozostała w domu. Za granicą Muszka zwykle używała amerykańskiéj swobody. Nawet panna Marcela była tu zbyteczna. Muszka miała powrócić do hotelu razem z innemi panienkami.

Od początku wieczoru Wielohradzki przysunął się do hrabianki i pozostał przy niéj, nie troszcząc się bynajmniéj o powodzenie tańców, co zresztą było wobec rozbzikowania się Amerykanów najzupełniéj zbyteczne. Tadeusz i Muszka zajęli jeden kąt i tam siedzieli po za parawanem wachlarza Muszki. Szafiry oczu Muszki stały się czernią onyksów. Wielohradzk, rozkochany, wpatrywał się w prześliczny owal twarzy Muszki, w jéj cerę przejrzystą, białą, lekko przysłoniętą warstwą woniejącego *Apple Blossoom*em pudru. Ta woń dzikiéj jabłoni, słodka, a zarazem drażniąca, płynęła nieustannie z fałd jéj sukni, ze zwojów jéj włosów, z atłasu jéj skóry, z każdego powiewu wachlarza lub poruszenia ręki. Tadeusz dławił się literalnie tą wonią. Po raz pierwszy poznał wyrafinowaną subtelność zawachlarzowego flirtu. Zamknięta i rozpalona od świateł przestrzeń denerwowała więcéj, niż szerokie łany wrzosu lub zarośla Paprotki. Mówili mało, lecz oczy ich spotykały się co chwila, i te oczy zamieniały gorące słowa, uściski, pocałunki, pieszczoty. Źrenice Muszki przysłaniała wilgotna mgła, która srebrzyła się i migotała na równi z blaskiem brylantów, ukrytych wśród włosów. Pod wpływem spojrzeń wargi ich rozchylały się, jak-

by chwytając niewidzialne pocałunki; ręce ich w fałdach pluszu rotundy spotkały się i splotły nerwowo, wpinając paznogcie w ciało, nie czując bólu, odrętwiałe z nadmiaru uczucia.

Tymczasem Amerykanie skakali ciągle, a rozklekotany fortepian brzęczał jakąś nieokreśloną, niezrozumiałą melodyę. I nagle rozległ się krzyk:

— *Wirginia roadt!... Wirginia roadt!...*

Szybko utworzyły się dwa szpalery.

Z jednéj strony kobiety, z drugiéj mężczyźni. Fortepian zaklekotał *gigue* i natychmiast, jak maryonetki w ruch puszczone, tancerze i tancerki zaczęli po czworo doskakiwać do siebie, brać się za ręce, odskakiwać, tupać, przebierać nogami, zakładać ręce na piersi, powracać na miejsce i kręcić się w kółko, jak puszczone w ruch bąki.

Połowa świec zgasła, lecz oni nie zwracali na ten szczegół uwagi. Wiercili się i kręcili, podskakując teraz w rodzaju łańcucha, z minami obłąkanych, puszczonych w ruch batami dozorców.

Małe warkoczyki podskakiwały na plecach, kółka kościane, grzechotki, turkotki, trąbki, kapelusiki, czerwone nosy, nagie kolana migotały w przestrzeni. Mistrz Sanderson zgubił swój wałek i szarfę. Jego biała, długa, haftowana sukienka (sukienka rocznego dziecka) wiewała dokoła chudego ciała, jak śmiertelna koszula. Panienka, ubrana w strój mamki, skakała, mając czepek przekrzywiony na prawe

ucho. I nagle, jakby na dany znak, przeraźliwym wrzaskiem wybuchnęła ze wszystkich piersi straszna, potworna melodya:

„*Tarara boum de ay!...*"

Muszka podniosła się z krzesła.

— Chodźmy!... ci ludzie zanadto mnie denerwują!... — wyrzekła, owijając się w rotundę.

— Jakto?... już?... — zapytał z żalem Tadeusz.— pani chce wracać do domu?...

Lecz ona odwróciła się ku oknu, pokazując oczyma srebrne smugi światła księżycowego, jaśniejącego po za szybami, po-przez ciemną tkaninę firanki.

— Chodźmy! tam tak srebrno... tak jasno!...

— A kotylion?

Muszka wzruszyła ramionami.

— Pan, jak dobry wódz, nie chcesz nawet takich niedobitków opuścić bez swéj komendy... Lecz niech się pan nie lęka... ci państwo wolą *gigue* i swoje *gin-coctail* i *whisky-coktail,* niż kotyliona i ordery... Chodźmy!...

Szybko, pod ścianą idąc, wysunęli się z pracowni. Nikt się za nimi nie obejrzał, a gdyby nawet dostrzeżono ich wyjście, nikt z tych mistrzów flirtu nie zdziwiłby się zbytecznie. Młoda miss i młody gentleman szli flirtować przy blasku księżyca. Było to rzeczą zupełnie naturalną i nikogo nie interesującą.

Muszka i Tadeusz, zbiegłszy ze wschodów, zna-

leźli się na ulicy, lecz ścieżkę prowadzącą do morza zatamowała im grupa ludzi, złożona z rybaków i malarzy francuskich. Wszyscy, porządnie pijani, otaczali Jagourego, który z najwyższą pogardą wyrażał się o wszystkich obcych przybyszach, przepełniających Concarneau. Wśród czkawki pijackiéj opowiadał teraz, jako w obserwatoryum przeszłego roku zaprowadzono wielkie badania przyczyn, dla których sardynki przestały przepływać w blizkości Concarneau. Wydawszy dużo pieniędzy i straciwszy wiele czasu, uczeni z obserwatoryum *odkryli* wreszcie przyczyny, które oddalały przypływ sardynek do Concarneau. Zaczęli ogłaszać je drukiem, zasypując swe memoryały mnóstwem nazw, zupełnie niezrozumiałych. Nagle sardynki przypłynęły, i to w tak wielkiéj ilości, że on sam, Jagoury, sprzedawał całe barki na nawóz dzierżawcom folwarków okolicznych.

I mówiąc to, stary rybak tryumfował, drwił, uderzając się pięścią w zapadłe piersi.

— *Nom de nom! cré nom de nom!...* — klął, spluwając.

Inni rybacy potwierdzali jego słowa, dodając, że rząd sprawił obserwatoryum własny statek parowy, którym ci panowie jeżdżą na spacer w towarzystwie kokotek.

Lecz malarze francuscy zaczynali gniewać się i występować w obronie wiedzy. Krzyczeli, iż nie wolno jest urągać jéj poszukiwaniom. Głosy te

ochrypłe mieszały się z sobą, płynąc chrapliwą melodyą po nad balustradą ku morzu. I nagle rzucili się na siebie zajadle i zaczęli bić się wzajemnie rybacy i artyści, zapominając, że przed chwilą pili razem w szynku wódkę, nazwaną przez nich *chaoul*'em.

Koło ściany przytulona, skurczona stała murzynka, trzymając na ramieniu równie skurczoną małpę.

Tak zwierzę, jak i taitianka patrzyły na ten kłęb zbity z ciał ludzkich, walający się po flizach z charczeniem i przekleństwem ochrypłych głosów.

W źrenicach małpy i czarnéj dziewczyny było wiele smutku, zdziwienia i pogardy.

Muszka i Wielohradzki obeszli dokoła dom i wydostali się na „grewę", zkąd można było prawie prosto przejść na „plażę". Powoli zaczęli iść w kierunku kabin, które minęli, zdążając ku trzeciéj „plaży", zwykle osamotnionéj.

Lecz dziś nie było ciemni. Przeciwnie, jasność dziwna, złożona ze srebra i błękitu, rozpływała się w przestrzeni. Wysoko na przejrzystym szafirze zawieszony księżyc roztaczał dokoła aureolę białawego prawie blasku. A na ziemi, na morzu, blask ten nabierał błękitnych tonów, czasem przechodząc w seledyn, czasem ciemniejąc nagle szafirem, często błyskając chłodem turkusu. Cała przestrzeń morza była taka srebrno-błękitna, i gdzieniegdzie, pod uderzeniem wioseł cicho sunących łodzi, zabłyskały nagle wstęgi nieokreślonéj jasności, fosforycznych blasków

i gasły szybko, rozpływając się w ogólném oświetleniu.

Muszka i Wielohradzki szli wolno, w milczeniu. On otoczył ramieniem wysmukłą postać dziewczyny. Gdy wchodziła na skałę, zdawała się na chwilę cała owiana morską falą o blaskach fosforycznych. Z téj tajemniczéj a uroczéj fali występowała wyniośle jéj drobna głowa, jéj twarz nagle pobladła i złoto jéj włosów, w których świeciła gwiazda brylantowa.

Usiedli w zagłębieniu skały, na tém samém miejscu, na którém nastąpiło ich przywitanie niepewne i wahające.

I zaraz Tadeusz przypadł do jéj rąk, szukając jéj dłoni w delikatnych faldach pluszu. Powoli, miękkim giestem ściągnął jéj rękawiczki i zaczął całować te różowe dłonie, woniejące odurzającym zapachem. Hrabianka z widoczną chęcią poddawała się téj niebezpiecznéj pieszczocie. Tadeusz podnosił od czasu do czasu głowę i patrzył wprost w twarz dziewczyny, która rzeczywiście w téj chwili była nieziemsko piękną w blaskach księżyca.

Delikatna jéj cera stała się w tém turkusowo-srebrném świetle śnieżno-białą. Po za nią tło skały szaro-niebieskie służyło jéj za rodzaj baldachimu. Brylanty-gwiazdy migotały zwycięzko, walcząc o lepsze z jednostajnym, zimnym blaskiem księżyca, — i tylko fosforyczne wstęgi, snujące się wśród fali, miały

te same czarowne, tęczowe światło brylantowych promieni.

Wielohradzki powoli ręce Muszki zarzucił sobie na szyję i pozostał tak wpatrzony w jéj oczy, w jéj twarz, w jéj usta, czując, iż w téj powodzi srebra i łagodnego a melancholijnego blasku niknie jego wzburzenie, które go ogarniało tam, w pracowni malarzy amerykańskich.

Natomiast przejmowało go szalone wzruszenie i smutek. Walczył długo, czując, iż łzy nabiegają mu do oczu. Wstydził się tego nadmiaru czułości, tém bardziéj, że twarz Muszki miała wciąż w sobie wyraz dziwny — rozmarzonego Sfinksa. Patrzyła przed siebie, na morze, rozpływające się w szafirze i srebrze, i zdawało się Wielohradzkiemu, iż ten szafir i srebro chłonęła w swoje źrenice. I nagle zamigotało coś na jéj rzęsach. Czy i ona płakała? Nie śmiał się pytać, lękał się przerwać czar téj chwili. Czuł się tylko ze zbytku szczęścia — nieszczęśliwym i był w téj chwili prawie dzieckiem, potrzebującém pieszczoty, uspokojenia.

Powoli osunął głowę na jéj kolana i pozostał tak nieruchomy, ukrywszy twarz w jéj dłoniach. Wówczas Muszka spojrzała na niego z pod przymkniętych rzęs i usta jéj wyszeptały, jakby mimowoli:

— *Pauvre petit!...*

XI.

Z przestrachem Wielohradzki przeliczył zawartość swéj portmonetki i pugilaresu.

Miał jedynie tyle pieniędzy, ile mu na zapłacenie hotelu i na drogę było potrzeba.

Matka nie przysłała telegramu.

Tadeusz zaczął się niepokoić, nie wiedząc, jak wybrnąć z tego położenia.

Szybko zeszedł ze wschodów, ubrany, jak zwykle na połów owych krabów, które ginęły natychmiast, wtłoczone w ciasne akwaryum o szklanych zielonawych ścianach.

Na dolę zastał Muszkę, czekającą na niego pod werendą.

— Przyniesiono dwa telegramy!—wyrzekła panna Dobrojowska — jeden dla pana, drugi dla mnie. Otworzyłam przez pomyłkę telegram, zaadresowany do pana... Proszę nie miéć mi tego za złe... Nie przeczytałam ani słowa...

Wiedział, że kłamała, ale kochał ją teraz z taką bezwzględną zapamiętałością, iż byłby jéj darował nietylko niedyskrecyę, kłamstwo i kokieteryę, ale nawet najgorszą zbrodnię.

Wziął więc telegram i z udaną nieźle obojętnością przebiegł błękitny świstek wzrokiem. Ściągnął brwi i przez chwilę zafrasował się, jaką przybrać minę. Postanowił odrazu oznajmić Muszce o swym odjeździe.

— Ja wyjeżdżam!... —wyrzekł, przybierając ton stanowczy, jakby opancerzając się przed prośbą lub łzami Muszki.

Lecz ona zupełnie spokojnie odparła:

— A!... kiedy?

Wielohradzki uczuł się do żywego tą obojętnością dotknięty.

— Dziś po południu!...

— A!

Nie spytała go o przyczynę, nie zażądała, aby pozostał jeszcze. Opuściła wzrok na telegram, który trzymała w ręku, i zaczęła go czytać uważnie i dokładnie.

Poczém zwinęła i włożyła w kieszonkę żakietu.

Stali teraz oboje przed sobą tak, jak obcy, jak ludzie, którzy się widzą po raz pierwszy i ostatni w życiu. Nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Pierwszy Wielohradzki gwałtem wyrwał się z téj piwnicznéj atmosfery milczenia.

— Czy mogę pisać?... — zapytał prosząco.

Lecz ona zdziwiła się takiém żądaniem.

— Po co?... my także niedługo zabawimy w Concarneau. Jedziemy przez St. Malo do Londynu, a potém prawdopodobnie na Wiedeń do Jarmuszówki, na sezon polowań. Zresztą nie wiem dokładnie... marszruta cała nie od nas zależy... od okoliczności... Chciałam być w Londynie, bo pod Konilred są podobno nadzwyczajne Saint-Huberty... Pan wié... takie duże psy czarne do ścigania dzików. Miałabym ochotę miéć Saint-Huberta. Nikt w Galicyi nie ma téj rasy, nawet Bodoccy, nawet Maleni... *Je serais la seule!... l'unique!...*

Oczami błądziła po placu, po siatkach żagli, kołyszących się w przestworzu. Zdawała się Wielohradzkiemu nagle przeistoczoną, znów tą *sportwoman'*ką, zakochaną w psiarni, istotą ludzką, rzucającą nazwami ras psich, jak kulami.

Ścisnął mu serce wielki żal, serdeczny i szczery. Nie chciał wracać z takiém wrażeniem do Lwowa, chciał zawieźć matce inną, pewniejszą nadzieję. Delikatnie więc, układnie przechylił głowę i zrobił najpokorniejszą, jak umiał, minę.

— Chodźmy łowić kraby!... — wyrzekł prosząco.

Ona broniła się, jakby nagle opancerzona i przywołana do rzeczywistości kobieta.

— Nie!... nie!... dziś nie mam czasu!... Mama trochę cierpiąca... mnie głowa boli...

Lecz on nalegał.

— Ostatni raz!...

Oczy jéj mimowoli padły na jego twarz ładną, bladą i zmęczoną. Miał wygląd lekko zabarwionego posągu: tak blade, pastelowe tony mieniły się pod jego skórą i w jego źrenicach. I zwyciężoną tą dziwnie subtelną urodą chłopaka, panna Dobrojowska nagle zdecydowała się.

— Chodźmy!... — wyrzekła.

. . . . . .

I szli znów wzdłuż balustrady wybrzeża, nad którą kołysały się welony siatek, welony bronzowe, zielone, oranżowe, mieniące się, jak mora, na tle nieba. Barki wypoczywały, a ciężkie postaci rybaków ześlizgiwały się z ocembrowania na ławki łodzi. Po dnie nagiém włóczyła się zieleń porostów i ciemne wstęgi warechu. Wpół nagie dzieci biegały, czepiając się kamieni fortyfikacyi.

Muszka i Wielohradzki szli w milczeniu: on smutny, ona jakaś surowa i znów zesztywniała moralnie. Gdy wyszła ze swojéj kabiny, ubrana jak zwykle, zdawało się Wielohradzkiemu, iż rzuciła na morze wzrok pogardliwy, prawie nienawistny. Lecz szybko wyraz ten cofnął się pod jéj ciężkie powieki. Wchodząc na „plażę", była tylko obojętna, zimna, roztargniona, taka, jaką ją widywał często wśród salonów lwowskich, w chwili prowadzenia kotylionów.

Zaczął niemal żałować, że uprosił u niéj ten ostatni spacer i zmusił ją nieledwie do oddania mu długiego pożegnania. Instynkt kokieteryi kobiecéj, który istniał zawsze na dnie jego duszy, mówił mu, że był to rodzaj gwałtu moralnego, jaki duszy jéj zadał. Lecz żebracza natura męska przeważała i drżącym głosem zapytał:

— Dlaczego mi pani nie pozwala pisywać do siebie?

Nie było odpowiedzi.

— List taki skróciłby mi czas oczekiwania... rozumié pani, że teraz każda chwila będzie dla mnie męczarnią.

Muszka brwi zmarszczyła.

— Jeżeli pan nie masz w sobie cnoty cierpliwości, to lepiéj... radzę... staraj się pan zapomnieć o... Concarneau... i spędzonych w nim chwilach... Sądziłam, że pan jesteś cierpliwszy i że...

Urwała, widocznie szukając słów, dobierając frazesów. Lecz on stawał się coraz natarczywszy, popełniając błąd za błędem, zwyczajem nieprzyzwyczajonego do fortelów miłosnych mężczyzny.

— Czy można mówić o cierpliwości w takiéj chwili!... — zawołał — czy pani nie wiész, że ten, kto kocha, nie umié być cierpliwym?

Muszka nagle wyprostowała się i płomień przebiegł po jéj twarzy.

— Kto pana upoważnił czynić mi podobne wyznanie? — spytała.

Stali właśnie na tém samém miejscu, na którém Muszka jak echo powtórzyła: „na całe życie!"

Tadeusz otworzył szeroko oczy i zaczął się jąkać.

— Ja... sądziłem... że...

I nagle ku rękom Muszki się rzucił i, porwawszy je, całować zaczął.

— Przepraszam!... przepraszam!.. to nie ja wyrzekłem to słowo, to moje serce, ale ja... wyjeżdżam. Pani mi nawet pisać nie pozwala... Pani dziś dla mnie taka niedobra... taka niepoczciwa... dlaczego?... dlaczego?...

Muszka milczała przez długą chwilę i nagle wybuchnęła śmiechem.

— Co za tragedya!... — zawołała — co za tragedya!... po co na wszystko zapatrywać się z tak dramatycznéj strony? To dobre na scenie, w powieściach!... Trzeba życie brać tak, jak ono jest... tak jak się ofiarowuje... i czekać z ufnością, co nam przyszłość przyniesie.

Szybkim ruchem wsunęła swoję rękę pod ramię Wielohradzkiego.

— Przyszłość... przyszłość, *grand bébé*, należy do nas dwojga... Mamy jeszcze całe życie przed sobą!... całe życie!... czy ty rozumiesz doniosłość tego słowa?

I nie czekając na jego odpowiédź, zerwała ze swo-

jéj głowy beret i, powiewając nim w powietrzu, zawołała z gorączkową wesołością:

— *Vive l'avenir!... vive l'avenir!...*

Stado mew, spłoszone, bijąc skrzydłami, porwało się ze skały i zaczęło przesuwać się po nad głowami tych dwojga młodych, apoteozujących zagadkowy czar przyszłości, rozwiewając w słońcu swe śnieżne skrzydła nakształt olbrzymich świéżo rozkwitłych nenufarów, czarowną mocą krążących w przestrzeni.

XII.

Gdy Wielohradzki, wysiadłszy z dorożki, wbiegł na wschody, doznał wrażenia, jakby wlókł za sobą jakiś straszny ciężar moralny i fizyczny, odbierający mu władzę muskułów i myślenia.

Uczucie to nie opuszczało go ani na chwilę w czasie podróży, lecz tu —w téj wschodowéj klatce — spotęgowało się nagle i nabrało większéj wyrazistości i mocy.

Sądził, iż zastanie matkę na dworcu kolejowym; tymczasem szukał jéj napróżno. Musiał jechać do domu sam. Nadomiar złego nie miał na zapłacenie dorożki ani centa. Drogę z Krakowa do Lwowa przebył o głodzie, wypiwszy w Przemyślu tylko kawy za ostatnie trzydzieści centów, które mu pozostały w kieszeni.

Odrazu więc wpadł w całą nędzę prozy życiowéj.

Za nim stróż niósł kuferek, gdyż Wielohradzki, który często czyścił sobie sam buty, uznałby się

znieważonym przez zaniesienie na górę tłomoczka. Stanąwszy przede drzwiami, z przyzwyczajenia klucza po kieszeniach szukał, lecz drzwi otworzyły się same, tak, jak to zwykle czyniła Wielohradzka, gdy ukryta w przedpokoju kroki syna poznawała niemal od pierwszego piętra.

Wielohradzki ujrzał jakąś postać kobiecą majaczącą w przedpokoju. Szybko poskoczył i rzucił się jéj na szyję, lecz natychmiast uczuł jakieś drobne ramiona, odpychające go z taką nerwową siłą, iż zatoczył się i oparł o ścianę.

Równocześnie posłyszał głos Teci, głos pokorny, matowy.

— Przepraszam pana!...

Zrozumiał, ze wziąwszy Tecię za matkę, rzucił się jéj na szyję. Ogarnęła go złość i wpadł nagle w swój dawny zły humor. Odebrał z rąk stróża walizkę, zaczął udawać, iż szuka po kieszeniach pieniędzy.

— Nie mam drobnych!... — wyrzekł wyniośle— jutro Mateuszowi zapłacę!

Mateusz skinął głową.

— A *Einspänner?* *)

Wielohradzki doznał dziwnego uczucia. Chciał zwrócić się do Teci i zażądać od niéj guldena, lecz gniew i wstyd zatamował mu słowa. Postanowił

*) Jednokonna dorożka w żargonie galicyjskim.

czekać powrotu matki. Odwrócił się do stróża i rzucił z niechcenia:

— Niech mu Mateusz powié, żeby zaczekał. Biorę go na godzinę!...

I porwawszy walizkę, wpadł do swego pokoju.

Tam—znalazł wszystko na swojém miejscu. Podłoga aż lśniła się od wosku. Kołdra opięta świeżém prześcieradłem czerwieniła się zdaleka. Na stole w szklanym wazoniku stał bukiet rozmaitych kwiatów. Obok niego buteleczka wody kolońskiéj, jeszcze nieodetkana, i nowy, imitujący szyldkret, grzebień.

Wielohradzki usiadł na łóżku i ze ściśniętém sercem patrzył dokoła. Ten pokoik mały, ciemny, ubogi, podobny do jakiegoś pretensyonalnego więzienia, sprawił na nim przygniatające wrażenie. Ów bukiecik, flaszeczka wody kolońskiéj, grzebień tani z celuloidu — te niespodzianki, prezenty, które na niego czekały, powiększyły jeszcze wrażenie nędzy i szarego niedostatku, w które wpadał.

W dodatku owo niespodziewane znalezienie się w objęciach Teci, jéj rozpaczliwe a tak dziwnie pogardliwe odepchnięcie przejmowało go szalonym niesmakiem.

Miał ochotę otworzyć drzwi i powiedzieć téj dziewczynie, iż była to jedynie pomyłka z jego strony, iż w ciemności wziął ją za matkę, któréj nieobecności nie umiał sobie wytłómaczyć; miał ochotę, a nie śmiał, czuł się jak sparaliżowany, związany

wobec téj dziewczyny, któréj gniew, wzgardę, wstręt odczuwał doskonale, pomimo, iż minął ją, przebiegając przez pokój, nie spojrzawszy nawet w jéj stronę.

Ukrył więc głowę w dłonie, i tak siedział na łóżku, skurczony, zgarbiony, nie mając ani odwagi ani chęci obmyć się z kolejowéj sadzy i podróżnego pyłu.

Z zamyślenia tego wyrwało go wejście matki. Wielohradzka wbiegła w kapeluszu, kolecie i rękawiczkach. Porwała go w swe objęcia i witała ze łzami w oczach; poczém szybko mówić zaczęła. Spóźniła się na pociąg... szła bowiem piechotą... nie lubiąc tramwajów.

Wielohradzki całował jéj ręce, ciągle zamyślony, znużony, z ustami zaciętemi w niewytłómaczoném milczeniu.

Lecz Wielohradzka gorączkowo go pytać zaczęła:

— I cóż? i cóż?..

On powolnym ruchem wskazał na drzwi, po za któremi była Tecia.

— *Quand nous serons seuls!...* — wyrzekł w formie odpowiedzi.

— Ona zaraz wyjdzie...—odparła matka.

Nagle rozległ się dzwonek.

Wielohradzka zbliżyła się do drzwi.

— Kto tam? Zobacz, Teciu, kto dzwoni.

Rozległ się głos Mateusza.

— *Einspänner* pyta, czy ma czekać dłużéj?

Na Wielohradzkiego uderzyły płomienie. Po raz

pierwszy uczuł się skrępowanym, sięgając do kieszeni matczynéj. Stracił przyzwyczajenie ciągłego proszenia się o pieniądze potrzebne na uprzyjemnienie egzystencyi.

Wolał zastawić się kłamstwem.

— Mateczko!... nie mam drobnych .. niech mateczka zapłaci dorożkarzowi...

Wielohradzka zafrasowała się widocznie.

— Dawno czeka?

— Nie wiem... może pół godziny, może trzy kwadranse...

Wielohradzka zaczęła szybko mrugać oczami.

— Daj to, co masz!... Tecia rozmieni.

Wtedy zdjęła go jakaś rozpaczliwa energia. Zwrócił się ku matce, pobladły cały i zmęczony zdenerwowaniem, które go od chwili wstąpienia na próg domu dławiło.

— *Je n'ai rien!* — wykrztusił prawie tragicznym głosem.

Wielohradzka wysunęła się za drzwi i przymknęła je.

Tadeusz słyszał dokładnie, jak kazała zejść stróżowi i powiedzieć dorożkarzowi, aby jeszcze zaczekał chwilkę. Poczém szeptała coś z Tecią, i dziewczyna wybiegła szybko, mówiąc półgłosem:

— Wezmę od babki.

Wielohradzki zrozumiał, że i matka nie miała ani centa i że pożyczone przez Tecię pieniądze zapłacą

jego dorożkę. Ten fakt zwiększył jego rozdrażnienie. Postanowił natychmiast poprosić matkę, aby nigdy od Teci, ani jéj rodziny, nie przyjmowała żadnéj pieniężnéj przysługi.

Lecz Wielohradzka weszła, i Tadeusz nie powiedział ani słowa. Zaczął tylko porządkować drobiazgi na półkach i układać książki. Z kieszeni palta wyjął dużą książkę w żółtéj oprawie i położył ją na wierzchu. Było to *Salammbô* Flaubert'a, które Tadeusz kupił na jednéj z kolejowych stacyj, skracając czytaniem nudy podróży.

Tymczasem Wielohradzka, trochę zaniepokojona zachowaniem się Tadeusza, stała w milczeniu koło stołu i układała kwiaty w bukiecie. Twarz jéj wydawała się bardzo bladą, a pasma włosów, zakrywających dawną modą uszy, jeszcze więcéj zbielały.

Ubrana była, jak zawsze, starannie, nawet elegancko.

Tylko rękawiczki, które miała jeszcze na ręku, były bardzo zniszczone i miały palce zasmarowane atramentem.

Wreszcie widząc, iż syn nie zdejmuje nawet palta i coraz więcéj zacina usta, które już teraz wązką linijką znaczyły się wśród twarzy, odezwała się sama jakimś niepewnym, nieśmiałym głosem:

— Czy panie Dobrojowskie pozostały w Concarneau?

Tadeusz poskoczył ku niéj i porwał ją za rękę.

— Mamciu złota!... — zaczął gorączkowo — ja mamcię błagam, niech mama mnie o nic dziś nie pyta... Jestem znużony, rozdrażniony, zdenerwowany... *enfin, que sais-je!...*

Wielohradzka protestowała.

— Chciałam się tylko dowiedzieć...

— Jutro... mamcia dowie się o wszystkiém... sam powiem! Dziś nie mogę!... nie mogę!...

Zęby mu dzwoniły, oczy miał łez pełne, zdawało się, że wloką go na średniowieczne tortury.

Wielohradzka przeraziła się jego zdenerwowaniem.

— Dobrze!... dobrze!... — wyrzekła uspokajająco. — Powiesz, kiedy chcesz i co zechcesz... Teraz umyj się, przebierz i odpocznij. Przyniosę ci gorącéj wody, doléj trochę gliceryny, bo inaczéj ta sadza kolejowa zniszczy ci cerę na kilka tygodni.

I stając już u drzwi dodała:

— Do herbaty przygotowałam ci świeże masło, twarożek i trochę kiszki pasztetowéj... Czy dobrze?

— Do ust Tadeusza nabiegła ślina.

— Och!... ja nic jeść nie będę! — mruknął, zdejmując palto.

Niemniéj przeto, tak, jak zresztą zawsze, do stołu usiadł i zjadł pół bochenka chleba, maselniczkę masła i ćwierć funta kiszki pasztetowéj. Dopiero, gdy zabrał się do twaroga, spostrzegł, że matka pije czystą herbatę.

— A mamcia? — zapytał, odzyskując razem z napełnionym żołądkiem przebłyski lepszego usposobienia.

Wielgradzka zawahała się chwilę.

— Ja?... Nie zważaj na mnie... ja suszę!...

Tadeusz zadziwił się niemało.

— Dlaczego? wszak to dziś środa?

— Właśnie na twoją intencyę... do świętego Józefa...

I pochylając się ku synowi, z niezrównanym, niemal dziewczęcym wdziękiem, dodała:

— Patrona małżeństw szczęśliwych!...

Tadeusz brwi ściągnął, miał ochotę wstać od stołu, uciec do swego pokoju i zamknąć się na klucz. Ta alluzya do małżeństwa z Muszką sprawiła mu ból niemal fizyczny. Lecz zastanowił się i z chmurną miną sięgnął po salatareczkę, w któréj bielił się twaróg. Poczém zabrał się do drugiéj połowy chleba i wyskrobał pustą już maselniczkę. Lecz gdy najedzony do sytości znalazł się w swoim pokoju i, szybko rozebrawszy się, wlazł pod kołdrę, porwał go straszny żal, smutek, tęsknota za tą przejrzystą przestrzenią, gdzie opalowe morze pod turkusową kopułą oświecone było złotą lampą słoneczną, drgającą brylantowemi blaski, za temi wąwozami pełnemi srebra, zieleni, purpury kwiatów i szmaragdu bluszczów, za tą wyśnioną, elegancką postacią Muszki — za jéj rękami (muszlami różowemi), za jéj oczami (gwiazdami

szafiru), za jéj ustami (odblaskiem jutrzenki). Zaczął nadawać jéj w myśli najsłodsze i najpieszczotliwsze nazwy, podniecał się wspomnieniem jéj ukośnych spojrzeń, słów niedomówionych. I znów zdawała mu się niedościgłą, daleką, tak, jak wówczas w Paprotce, gdy niosąc nad czołem złote słońce, stanęła na wyżynie, mając u stóp swoich orszak gwiazd i ciał ludzkich, z których żadne nie mogło doścignąć jéj w doskonałości barwy i linii.

Pomimo ciemności, Tadeusz nerwami czuł, widział nędzne mebelki, zapełniające jego pokoik—stół okryty skromną serwetą, półeczki z książkami, drugi stół z miską, dzbankiem i flakonikami, stanowiący *cabinet de toilette* nędzarza. Zwłaszcza owo okno, umieszczone na górze, okratowane, zasłonięte białą firaneczką, wkręcało mu się w mózg, jak prawdziwe okno celi więziennéj, przysłonięte cieniem „kosza".

Ta uparta wizya okiennego otworu, która, jak zwierzę czuwające, dyszała życiem w ciemności i zdawała się kratami swojemi i szmatką firanki drwić ironicznie z sytuacyi Tadeusza, mieszała się nieustannie w jego myślach ze świeżemi wspomnieniami miłości, dobrobytu, niezmierzonéj przestrzeni, które żyły jeszcze w głębi jego umysłu.

Ogarnęła nim gorączka. Podniósł się i usiadł na łóżku, oddychając ciężko. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Zdawało mu się, że te wszystkie sprzęty, nędzne i ubogie, to mieszkanie niemal pod strychem,

te książki, skupowane za składane przez matkę centy, ta maszyna do szycia, która odpoczywała teraz, jak koń w deptaku spracowany — zdawało mu się, iż te rzeczy nieruchome i nieżyjące utaiły tylko swoje życie i wszystkie w tajemnicy żyją i pracują na jego zgubę. Uwięziły go pomiędzy sobą, jak stado małp złośliwych i nędznych, i codzień szydzą z jego niedołęstwa, ubóstwa i niemożności pozbycia się ich widoku.

Przez umysł jego, jak przez mgłę, przesunął się tryumfalny okrzyk Muszki:

— *Vive l'avenir.*

Mignął biały płat jéj beretu, zaświeciły szafiry oczu...

Chciał odegnać dręczące go mary tém magiczném zaklęciem, lecz napróżno. Groza jego i strach wobec téj armii niby uśpionéj, a przecież tak potężnéj, wzrosły. Szybko ukrył głowę pod poduszkę i naciągnął kołdrę — bał się, jak małe dziecko wieczorami przez niańkę straszone.

I wtłoczywszy rękę w usta, zaczął łkać cicho, ale boleśnie, zanosząc się, jak kobieta schorowana i życiem zmęczona.

. . . . . .

Lecz gdy wstał nazajutrz, obudzony turkotem maszyny, poczuł się dziwnie rzeźkim, żwawym i peł-

nym fantazyi. Ubrał się szybko i uśmiechnięty wszedł do pokoju, w którym matka, odziana w pikowy szlafrok, ustawiała właśnie na tacy przybory do jego śniadania.

Widząc wchodzącego syna, zdziwiła się niezmiernie.

— Jakto? już wstałeś?... a, mój Boże!... pewnie maszyna nie dała ci spać...

Lecz Tecia, nie podnosząc głowy, odparła:

— Proszę pani... jeżeli mamy odnieść tę bluzkę o jedenastéj, to jakże było czekać!

Lecz Wielohradzki po dawnemu do lustra podszedł.

— Nic nie szkodzi, matusiu!... nic nie szkodzi. Wyspałem się doskonale. Teraz proszę o kawę i zalczstangę... Idę do biura!

Przyglądał się sobie z zadowoleniem. Był bardzo blady i miał błękitne pod oczyma smugi. Ale to tylko dodawało mu wdzięku. Obejrzał zęby i rozszerzał usta, wykrzywiając je w dziwacznym uśmiechu, tuż przed taflą lustrzaną.

Wielohradzka, uradowana zmianą jego usposobienia, nalewała mu kawę.

— Wypijesz tutaj, czy w swoim pokoju?

— Nie, tutaj, razem z paniami!

— Maszyna turkoce, rozboli cię głowa...

— Och! niema obawy.

— Pyszności!... a co za kożuszek!... tylko u nas w kraju umieją przyrządzać kawę.

Pił powoli, smakując, wyskrobując garnuszek.

Wielohradzka patrzała na niego z po za swych binokli, z sedeczném uradowaniem.

— Smakuje ci?... — zapytała.

— Bardzo! ..

Usiłował nie spojrzéć na Tecię, lecz dziewczyna, powstawszy od maszyny, zbliżyła się ku Wielohradzkiéj.

— Proszę pani — spytała — co zrobimy u szyi? kołnierz marynarski? czy plisowaną falbanę, czy stojący zwykły kołnierzyk?

Była tak blizko Tadeusza, iż ten mimowoli oczy podniósł i spojrzał na nią przelotnie. Zdziwił się wielką zmianą, jaka w niéj zaszła.

Była teraz jeszcze więcéj „dziewczynką" niż kiedykolwiek, tak bardzo schudła, zbladła i zmizerniała. Ubranie jéj składało się z szaréj płóciennéj sukienki i białego fartuszka. Włosy, z powodu ciągłego bólu głowy, czesała teraz gładko i spinała w węzeł, niemal na samym karku. Nadawało to jéj cechę szlachetniejszą, odsłaniając bardzo kształtną i małą głowę.

Miała zupełnie wygląd pensyonarki.

Wielohradzka zwróciła się ku synowi.

— Powinszuj Teci — wyrzekła. — Tydzień temu odbyły się jéj zaręczyny z panem Janczewskim.

Tadeusz chwilkę zawahał się.

Był tak wielkim egoistą, iż te zaręczyny, których pragnął i które uwalniały go od Teci, zadrasnęły go lekko. Szybko jednak opamiętał się i z wielką dystynkcyą i kurtuazyą powstał i skłonił się przed panną Pikniewiczówną, trzymając w ręce łyżeczkę pełną kożuchów.

— Serdecznie się cieszę!... winszuję!... szczęścia życzę!...

Tecia nie skinęła nawet głową, tylko odebrawszy z rąk Wielohradzkiéj bluzkę, powróciła do maszyny i, usiadłszy, ową sławną „Silencieuse" z hukiem i turkotem stebnować zaczęła.

Tadeusz tymczasem zawijał w papier cukier i rogalik i, włożywszy na głowę kapelusz, do lustra raz jeszcze podszedł.

XIII.

Minęły długie trzy tygodnie.

Tadeusz przez ten czas raz jeden prowadził tańce w ogrodzie namiestnictwa, podczas zwykłéj dwutygodniowéj *garden party*. Niedobitki arystokracyi lwowskiéj włóczyły się wśród spiekoty i kurzu ulic lub kryły się po za spuszczonemi storami okien. Przeważnie młodzież zapełniająca biura namiestnictwa była w komplecie, uzyskując urlopy z trudnością i starając się zachować je na miesiące jesienne, w chwili otwarcia polowań.

Namiestnikowa zbierała tych kilkanaście osób, nudzących się piekielnie, pod cieniem kasztanów obszernego ogrodu i starała się wynaléźć im jakie takie rozrywki. Grano w krokieta, nawet w wolanta. I był to raj dla panien namiestnikówien, które same, bez niebezpiecznéj rywalizacyi, kręciły się wśród tych rasowych *konceps-praktykantów*, z których niemal każdy dźwigał na swojéj ostrzyżonéj głowie koronę

hrabiowską, baronowską, ba... czasem mitrę książęcą.

Wielohradzki powoli wszedł w swoje dawne towarzystwo.

Nerwy jego uspokoiły się. Przestał lękać się mebli i owego zakratowanego okna, osłoniętego płachtą firanki. Zrozumiał, że w dniu przyjazdu ogarnęło go zanadto brutalne przejście z poezyi i piękna w ciemną szarotę smutnéj rzeczywistości. Uchwycił się teraz drugiéj połowy swojéj egzystencyi, téj sztucznéj, błyskotliwéj, złożonéj z przebywania w kołach arystokracyi, i mówienia „ty" arystokratycznym kolegom biurowym.

Miłość Muszki rozwinęła w nim szaloną pychę. Teraz niemal z politowaniem patrzył na Charłupkę, na Pozbitowskiego, na tych innych, którzy nie byli wyróżnieni przez pannę Dobrojowską. Małżeństwo Malewicza z bogatą panną Statnicką było już rzeczą postanowioną i ogólnie wiadomą. I Wielohradzki z radością widział, iż nikt się temu związkowi nie dziwił, wszyscy mówili o nim jako o fakcie zupełnie naturalnym i stosownym. Malewicz, nie posiadający ani centa, brał pannę mającą trzykroć sto tysięcy guldenów posagu. I nie spadał bynajmniéj w opinii świata. Owszem, od chwili zaręczyn stał się „kimś", nabrał więcéj znaczenia, zaczynał się „liczyć", tak jak Bodocki, Pozbitowski i inni. Wielohradzki każdy ten objaw śledził ciekawie. I mimowoli prostował

się także, chętniéj i częściéj mieszał się do rozmów „tych panów", którzy — dobrzy chłopcy —odpowiadali mu uprzejmie, lubiąc go za jego ładną twarz, doskonałe maniery i umiejętność w noszeniu dobrze skrojonéj odzieży.

Powoli także ogarniała go chęć ciągłego paplania o Muszce i Wielohradzka wiedziała teraz wszystkie szczegóły jego pobytu w Concarneau, z wyjątkiem wszakże niektórych chwil spędzonych sam na sam z Muszką, podczas których flirt ich przechodził po za granice przez flirt zakreślone.

W ten sposób Muszka przedstawiała się Wielohradzkiéj jak rozkochana, trochę lekkomyślna dziewczyna, lecz rozkochana uczciwie, tak, jak ona sama, Wielohradzka, zakochana była przed laty w swoim późniejszym mężu.

I raz na ten terren wszedłszy, Tadeusz zaczął coraz więcéj idealizować i uszlachetniać swój stosunek z panną Dobrojowską, kłamiąc po kobiecemu, lecz kłamiąc z serca, tak, iż na drugi dzień nie wiedział już, co było prawdą a co kłamstwem.

W ciemni nocy Muszka zdawała się inną istotą, niż przy świetle dziennem. Marząc o niéj w gorączkowym śnie, widział ją jako kobietę ciągnącą ku sobie czarem wyzywającéj piękności. Pożądał jéj jak kochanki i nie marzył o małżeństwie. Mając wyobraźnię podnieconą czytaniem „Salammbo", stroił pannę Dobrojowską w czarną szatę córki Hamilkara,

a na jéj ramiona wkładał ciemną purpurę płaszcza, wlokącego się za nią na wzór fal, które wiernie towarzyszyły jéj krokom. Widział ją schodzącą z owych olbrzymich schodów, oświetloną purpurą ogni płonących drzew i mającą po obu stronach dwa długie szeregi bladych ludzi, odzianych biało, niemających ani rzęsów, ani brwi, ani włosów. On sam zaś był ucieleśnieniem *Mâtho* i wił się na lwich skórach, owijając się prześcieradłem, jakby cudownemi fałdami welonu Tanity.

Realistyczna forma dzieła Flauberta porwała go i uniosła, równocześnie każąc mu wśród otoczenia wyszukiwać postaci poznanych z kart książki. Salammbo miała twarz Muszki, i owe usta, otwarte jak „kwiat granatu", były ustami Muszki, ramiona, pokryte sznurami brylantów — ramionami Muszki.

Lecz rano widzenie znikało, i Muszka przeistaczała się w zakochaną, poczciwą dziewczynę, dążącą całą siłą do połączenia się węzłem małżeńskim z człowiekiem wybranym przez siebie wśród tłumu. Ta sympatya, nieledwie uczucie, z którém Wielohradzka wymawiała jéj imię, dodawała jéj uroku dziewczyny normalnéj, wychowanéj przy boku matki, dość cichéj i skromnéj. Odkąd Tadeusz dowiedział się, iż matka jego była w téj saméj sytuacyi względem jego ojca, jak Muszka względem niego, mimowoli często identyfikował postać matki z postacią Muszki. Przy świetle dziennem dwie te kobiety zaczynały łączyć się

w jedno. Często prosił matkę, aby opowiadała mu drobiazgowo, jak zwalczyła wszystkie przeszkody i zdołała połączyć się ze swoim mężem. I gdy Wielohradzka łagodnym głosem opowieść swą po raz setny zaczynała, Tadeusz przymykał oczy i słowa matki w myśli ilustrował, podstawiając jako bohaterkę Muszkę. Był bowiem teraz chwilami bardzo romantycznie usposobiony i, o szaréj godzinie zwłaszcza, romantyzm ten objawiał się zupełnie dziecinnemi, naiwnemi symptomatami.

W biurze zaś działo się przeciwnie.

Zapatrywał się trzeźwo i jasno, lecz trzeźwo i jasno po swojemu. Malewicz był dla niego punktem wyjścia. Bezustannie studyował jego zachowanie się i mimowoli przybrał jego chód, ruchy, noszenie głowy. Zaczynał podrwiwać z Kafthana, który teraz był jeszcze chmurniejszy, tragiczniejszy i bardziéj milczący. Malewicz starał się zostać c. k. szambelanem. Był to pusty tytuł, lecz zawsze jaki taki tytuł. Na to trzeba było wylegitymować się z dostojeństwa rodu. Wielohradzki zaczął interesować się temi szczegółami i uradował się, widząc, z jaką łatwością przyszłoby mu otrzymać szambelanię.

Gdzie obecnie przebywała Muszka — nie wiedział. Pożegnali się wśród gradu pocałunków i pieszczot. Muszka zdawała się nawet mieć łzy w oczach, on zaś płakał, jak dziecko. Mimo to pisać do siebie nie pozwoliła, mówiąc: „po co? wkrótce się zobaczymy!...“

Pewnego wrześniowego popołudnia Wielohradzki siedział w biurze i, oparłszy łokcie na stole, czytał „Salammbô“. Przez otwarte okna widać było ogród namiestnikowski i drzewa, zaczynające lekko żółknieć od szczytów. Po trawnikach biegały panny namiestnikówny w czerwonych bluzkach i czarnych spódniczkach. Zdaleka miały wdzięczne linie młodych dziewcząt. Grały w wolanta zręcznie i z dużą wprawą.

Na sofce, przygotowanéj dla urzędników, którzy mieli nocną inspekcyę, siedział Stanio i Jurek Bodocki. Zjedli śliwki, które Stanio przyniósł w torebce, i ziewali z nudów i gorąca. Zaczęli mówić o przyszłych polowaniach i cieszyli się nadzieją wyjazdu do Szabrówki, zameczku myśliwskiego wśród gór Karpackich, należącego do pewnéj liczby akcyonaryuszów, którzy corocznie, w październiku i listopadzie, na polowania zjeżdżali.

Pozbitowski, który się zajmował kuchnią, niepokoił się, czy jeden kucharz zdoła nakarmić czterdziestu ludzi.

— Zkąd bierzesz czterdziestu? — pytał Bodocki.

— Ze służbą...

— Ach tak!... skoro będziesz liczył służbę i psiarczyków i stajennych, to więcéj naliczysz, niż czterdziestu...

— Trzeba, ażeby ktoś z nas pojechał naprzód

i zobaczył, czy owa kolonia letnia bardzo nie zanieczyściła zameczku?

— Jaka kolonia letnia?

— Prawda, ty nic nie wiesz, nie byłeś na ostatniéj sesyi. Pozwoliliśmy kanoniczce Haden sprowadzić do Szabrówki całą czeredę małych dziewczynek. *C'est une bonne action!... quoi!*

— Zapewne!.. zapewne!...—potwierdził Bodocki.

Rozmowa urwała się, i Wielohradzki, który nie mógł czytać, słysząc obce głosy, wstąpił znowu na szczyt Akropolu.

Lecz Pozbitowski znów zaczął mówić, teraz półgłosem i z jakimś ironicznym uśmiechem.

— I cóż Maleni?

Jurek Bodocki powstał z sofy i, włożywszy ręce w kieszenie, zaczął po pokoju chodzić.

— A no, nic... — odparł — to było dawno do przewidzenia... *ce n'est pas une surprise.*

Zatrzymał się u drzwi prowadzących do drugiego pokoju.

— Jak Boga kocham!... — zawołał szeptem, zaglądając przez szparę — och!... *mais c'est epastrouillant! colossal! pyramidal!*

— Co takiego? — spytał Pozbitowski.

— Pst... cicho... nie skrzyp butami, bo go spłoszysz!

— Kogo?

— Kafthana! stoi ukryty po za framugą okna i patrzy na ogród... och! ale jak patrzy!

— Kto jest w ogrodzie? Wielohradzki, zobacz-no! Tadeusz podniósł głowę i spojrzał przez okno.

— Cesarsko-królewska fornalka!...

— Ach!!!

Wszyscy trzej spojrzeli na siebie.

— Czyżby?...—zaczął Pozbitowski i urwał, wybuchając śmiechem.

— *Oh!... non! non!...* — protestował Bodocki— *ça serait trop cocasse!...*

Śmiali się jeszcze długą chwilę i Bodocki powrócił na dawne miejsce.

— *Quel animal!...*—rzucił, wzruszając ramionami.

Pozbitowski ułożył się na sofie, zwijając się w kłębek.

— Spać mi się chce!... — wyrzekł powoli. — Byłem wczoraj na kolacyi u Brandmagla.

— Po co tam chodzicie?...

— A cóż z czasem zrobić? w lecie niepodobna we Lwowie wytrzymać...

I układał się do snu jak wielki kot czarny, błyskając tylko bielą pikowéj kamizelki.

— Nie wiesz kiedy Maleni wróci? — spytał Bodocki.

— Nie wiem! jeżeli wróci, to w każdym razie nie na długo...

Wielohradzki zamknął książkę *i*, oparłszy głowę

na ręku, mimowoli rozmowy swych kolegów słuchać zaczął.

— Dlaczego nie na długo? — ciągnął daléj Bodocki.

— No, przecież przenoszą go do Wiednia... Po ślubie będą w Wiedniu mieszkali...

Wielohradzkiego ogarnęła ciekawość. Maleni się żenił; był to fakt niezwykłéj doniosłości w dziejach arystokracyi lwowskiéj.

— Maleni się żeni? — zapytał, podnosząc się i wysuwając cokolwiek głowę z po za półeczek biurka.

— Tak! — odparł Bodocki, który teraz także układał się do snu na drugim końcu sofy, znużony nadmiarem pracy i gorąca.

— Z kim? — pytał Wielohradzki.

— Z Muszką Dobrojowską! — zabrzmiała odpowiedź.

Głowa Wielohradzkiego znikła szybko po za półkami biurka.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

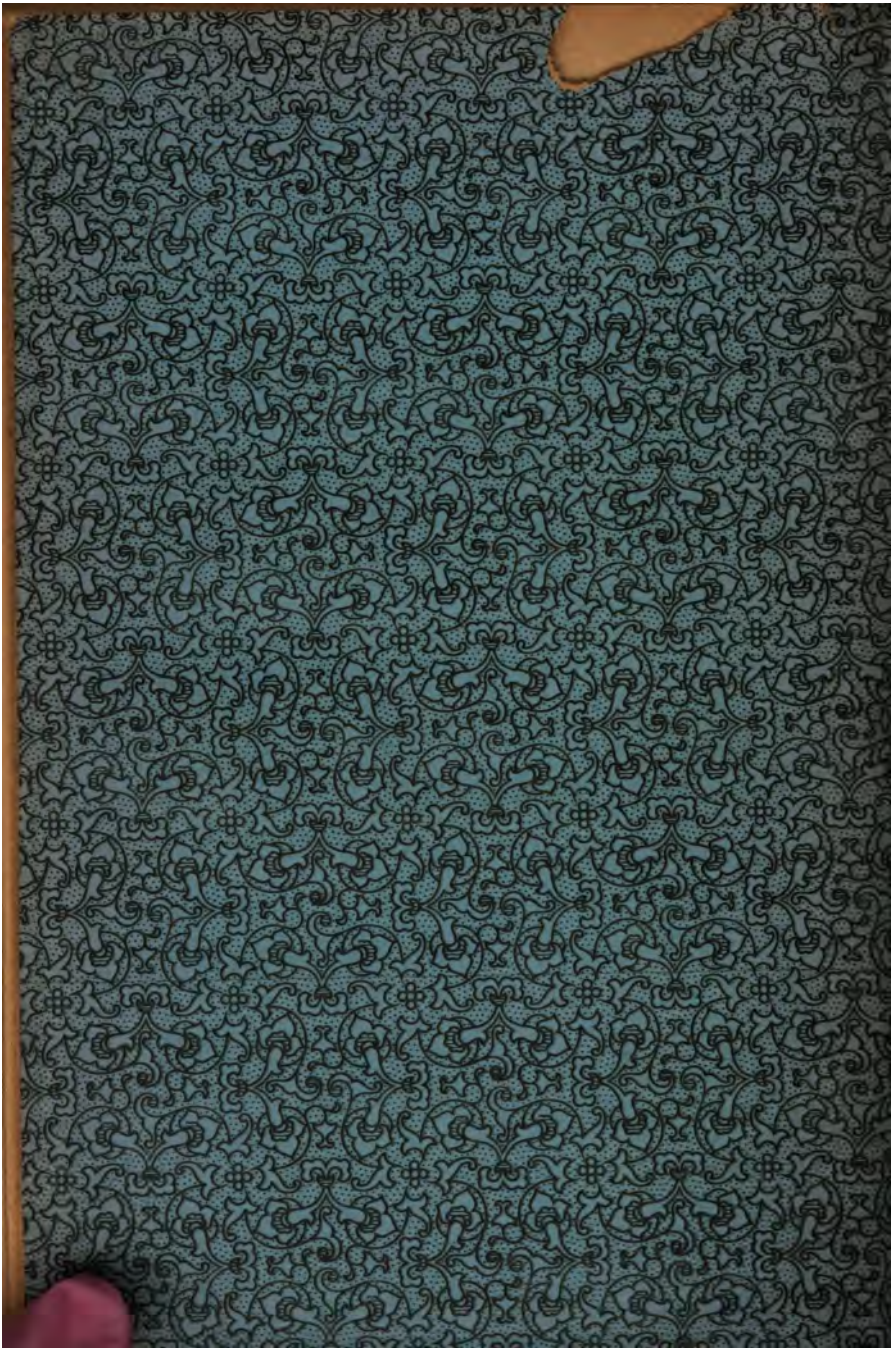

Stanford University Libraries
3 6105 015 048 866

PG
715
Z3
W6
V.1

Date Due

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA
94305